

# Roger Zelazny



**ZNAK CHAOSU**

**Roger Zelazny**

**Znak Chaosu**

# Rozdział 1

---

Czułem się trochę niepewnie, choć nie umiałbym wyjaśnić dlaczego. W końcu to chyba nic niezwykłego: popijać piwo z Królikiem, niskim człowieczkiem podobnym do Bertranda Russella, uśmiechniętym Kotem i moim starym przyjacielem Lukiem Raynardem. Luke śpiewał irlandzkie ballady, a za jego plecami dziwny pejzaż przechodził od fresku w rzeczywistość. Owszem, wielki niebieski Gąsienica, pałacy nargile na czubku gigantycznego grzyba, robił spore wrażenie – ponieważ wiedziałem, jak łatwo gaśnie wodna fajka. Ale nie w tym rzecz. Lokal był przyjemny, a wiedziałem, że Luke często obraca się w dziwnym towarzystwie. Więc skąd ten niepokój?

Piwo było dobre i nawet podawali darmowy lunch.

Demony torturujące przywiązaną do pala rudowłosą kobietę błyszcząły tak, że aż oczy bolały. Zniknęły teraz, ale cała scena była przepiękna. Wszystko było przepiękne. Kiedy Luke śpiewał o Zatoce Galway, skrzyły się tak ślicznie, że miałem ochotę wskoczyć i zatracić się w niej. Smutne też. Miało to jakiś związek z uczuciem... Tak. Zabawny pomysł. Kiedy Luke śpiewał smętną pieśń, ogarniała mnie melancholia. Kiedy śpiewał wesołą, byłem rozradowany. W powietrzu unosiła się niezwykła dawka empatii. To chyba bez znaczenia. Światła pracowały doskonale...

Sączyłem piwo i obserwowałem, jak Humpty kołysze się na końcu baru. Przez moment usiłowałem sobie przypomnieć, skąd się tu wzięłem, ale ten akurat cylinder miał niesprawny zapłon. W końcu i tak będę wiedział. Miła impreza...

Patrzyłem, słuchałem, smakowałem, dotykałem i czułem się świetnie. Cokolwiek zwróciło moją uwagę, było fascynujące. Czy chciałem spytać o coś Luke'a? Chyba tak, ale był zajęty śpiewem, a ja i tak nie pamiętałem, o co chodziło.

Co właściwie robiłem, zanim zjawiłem się w tym miejscu? Próba przypomnienia sobie nie wydawała się warta wysiłku. Zwłaszcza że tu i teraz wszystko było takie ciekawe.

Chociaż miałem wrażenie, że to coś ważnego. Może dlatego jestem niespokojny? Może zostawiłem jakąś sprawę, do której powinienem wrócić? Odwróciłem się, żeby zapytać Kota, ale on znowu znikał, wciąż lekko rozbawiony. Przyszło mi wtedy do głowy, że też bym tak potrafił. To znaczy zniknąć i pójść gdzie indziej. Czy w taki sposób tu przybyłem i tak mógłbym odejść? Możliwe. Odstawiłem kufel, potarłem oczy i skronie. Miałem wrażenie, że w głowie też wszystko mi pływa.

Nagle przypomniałem sobie własny wizerunek. Na wielkiej karcie. Atucie. Tak. Właśnie tak się tu dostałem. Przez kartę... Czyjaś dłoń opadła mi na ramię. Odwróciłem się: to był Luke. Z uśmiechem przeciskał się do baru, by napełnić kufel.

– Świetne przyjęcie, co? – zapytał.

– Świetne – przyznałem. – Jak znalazłeś ten lokal?

Wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam. Czy to ważne?

Odwrócił się, a zamieć kryształków zawirowała na moment między nami. Gąsienica wydmuchał fioletową chmurę. Wschodził błękitny księżyc. Co nie pasuje do tego obrazka?, zapytałem sam siebie. Ogarnęło mnie nagłe przekonanie, że moje zdolności krytyczne padły zestrzelone w bitwie, ponieważ nie potrafiłem się skupić na anomaliach. A czułem, że muszą tu istnieć. Wiedziałem, że zostałem pochwycony przez chwilę bieżącą...

Zostałem pochwycony...

Pochwycony...

Jak?

Chwileczkę. Wszystko się zaczęło, kiedy uściśnąłem własną rękę. Nie. Błąd. To brzmi jak w Zen, a przecież było całkiem inaczej. Dłoń wysunęła się z przestrzeni, zajmowanej poprzednio przez mój wizerunek na karcie, która zniknęła. Tak, to było to... W pewnym sensie. Zacisnąłem zęby. Znowu zagrała muzyka. Rozległo się ciche skrobanie przy mojej dłoni opartej o bar. Kiedy spojrzałem, kufel znowu był pełny. Może za dużo już wypilem. Może to właśnie przeszkadza mi się zastanowić.

Odwróciłem się. Spojrzałem na lewo, poza miejsce, gdzie fresk na ścianie stawał się rzeczywistym pejzażem. Czy przez to ja sam stawałem się częścią fresku?, pomyślałem nagle. Nieważne. Gdybym tylko potrafił się skupić... Ruszyłem biegiem... w lewo. Coś w tym miejscu uderzyło mi do głowy, a chyba niemożliwa była analiza tego procesu, póki sam byłem jego elementem. Musiałem się stąd wydostać, żeby pomyśleć rozsądnie... określić, co się właściwie dzieje.

Minąłem bar i wbiegłem na obszar sprzęgu, gdzie namalowane drzewa i skały nabierały trójwymiarowości. Pracowałem łokciami, pędząc przed siebie. Słyszałem wiatr, choć go nie czułem.

Nic, co leżało przede mną, nie zbliżyło się ani trochę. Poruszyłem się, ale...

Luke znów zaczął śpiewać.

Stałem. Obejrzałem się wolno, bo miałem wrażenie, że stoi tuż za mną. Stał. Ledwie o kilka kroków oddaliłem się od baru. Luke uśmiechnął się i wciąż śpiewał.

– Co tu się dzieje? – zapytałem Gąsienicę.

– Jesteś zapętłony w pętli Luke'a – odparł.

– Możesz powtórzyć?

Wydmuchał pierścień niebieskiego dymu i westchnął.

– Luke jest zamknięty w pętli, a ty zagubiłeś się w wierszach. To wszystko.

– Jak to się stało?

– Nie mam pojęcia.

– A... tego... jak można się wypętlić?

– Tego też nie wiem.

Zwróciłem się do Kota, który po raz kolejny kondensował się wokół uśmiechu.

– Nie masz pewnie pojęcia... – zacząłem.

– Zobaczyłem go, jak wchodził, a jakiś czas później zobaczyłem ciebie – odparł z krzywym uśmiechem. – I nawet jak na to miejsce, wasze pojawienie było trochę... niezwykle. Doprowadziło mnie do wniosku, że przynajmniej jeden z was ma związku z magią.

Przytaknąłem.

– Twoje pojawiania i znikania też mogą człowieka zadziwić – zauważyłem.

– Trzymam łapy przy sobie – rzekł. – To więcej, niż Luke mógłby powiedzieć.

– Co masz na myśli?

– Wpadł w zaraźliwą pułapkę.

– A jak działa taka pułapka?

Ale on już zniknął, i tym razem rozwiął się także uśmiech. Zaraźliwą pułapka? To by sugerowało, że to Luke miał problem, a ja zostałem tylko jakoś do niego wciągnięty. Chyba rzeczywiście, ale wciąż nie miałem pojęcia, co to za problem i co powinienem zrobić.

Sięgnąłem po kufel. Skoro nie umiem znaleźć wyjścia z tej sytuacji, mogę się chociaż zabawić. Kiedy pociągnąłem pierwszy łyk, dostrzegłem nagle niezwykle parę bladych, płomiennych oczu, wpatrujących się we mnie. Wcześniej ich nie zauważyłem. Najdziwniejsze było to, że tkwiły w ciemnym kącie fresku, na drugim końcu sali... i że się poruszały: sunęły wolno w lewą stronę.

Wyglądały fascynująco, a nawet kiedy zniknęły, mogłem śledzić ich ruch dzięki kołysaniu traw, przemieszczającemu się w obszar, do którego niedawno próbowałem dobiec. A daleko, daleko po prawej – za Lukiem – odkryłem szczupłego dżentelmena w ciemnym surducie, z paletą i pędzlem w rękach, który wolno poszerzał fresk. Łyknąłem znowu i powróciłem do obserwacji tego, co przechodziło z płaskiej rzeczywistości w trzy wymiary. Czarny, matowy pysk pojawił się między skałą i krzakiem. Nad nim błysnęły blade oczy; niebieska ślina ściekała z paszczy i dymiła na ziemi. Stwór był albo bardzo niski, albo przykucnął. Nie umiałem zdecydować, czy wpatruje się w całą naszą grupę, czy konkretnie we mnie.

Wychyliłem się i złapałem Humpty'ego za pasek czy krawat, cokolwiek to było. Właśnie miał przewrócić się na bok.

– Przepraszam – powiedziałem. – Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co to za stwór?

Wyciągnąłem rękę, a on akurat się wynurzył: wielonogi, ognisty, ciemno łuskowany i szybki. Pazury miał czerwone. Uniósł ogon i popędził ku nam. Wodniste oczy Humpty'ego spojrzały ponad moim ramieniem.

– Nie po to tu przyszedłem, drogi panie – zaczął – by leczyć pańską zoologiczną ignora... O Boże! To...

Stwór zbliżał się szybko. Czy teraz dotrze do punktu, w którym bieg staje się marszem w miejscu? A może ten efekt dotyczył tylko mnie, kiedy próbowałem się stąd wydostać? Segmenty jego cielska przesuwały się z boku na bok; syczał jak nieszczelny szybkar, a ślad dymiącej śliny znaczył jego drogę od fikcji malowidła. Zamiast zwolnić, chyba jeszcze zwiększył szybkość.

Lewa ręka podskoczyła mi w górę, jakby z własnej woli, a ciąg słów nieproszony spłynął z warg. Wypowiedziałem je w chwili, gdy stwór mijał obszar sprzęgu, przez który ja nie zdołałem się przebić. Stał na tylnych nogach, przewracając pusty stolik, i podkurczył łapy, szykując się do skoku.

– Banderzwierz! – krzyknął ktoś.

– Pogromny Banderzwierz! – poprawił Humpty.

Wymówiłem ostatnie słowa i wykonałem zamykający gest, a obraz Logrusu rozbłysnął mi przed oczami. Czarny potwór, który wysunął właśnie przednie szpony, nagle cofnął je, przycisnął do górnej lewej części piersi, przewrócił oczami, jęknął cicho, zadyszał ciężko i runął na podłogę. Przewalił się na grzbiet i znieruchomiał z łapami wyciągniętymi w górę.

Nad stworem pojawił się koci uśmiech. Poruszyły się wargi.

– Martwy pogromny Banderzwierz – oznajmiły.

Uśmiech popłynął w moją stronę; reszta Kota pojawiała się wokół jakby po namyśle.

– To było zakłęcie zawału serca, prawda? – zapytał.

– Chyba tak – przyznałem. – Zareagowałem odruchowo. Tak, teraz pamiętam. Rzeczywiście zawiesiłem sobie takie zakłęcie.

– Tak myślałem. Byłem pewien, że magia jest w to zamieszana.

Obraz Logrusu, który pojawił się przede mną podczas działania czaru, posłużył też jako słabe światełko na zakurzonym poddaszu mojego umysłu. Magia. Naturalnie. Ja – Merlin syn Corwina – jestem czarodziejem z rodzaju, jaki rzadko spotyka się w okolicach, które odwiedzałem przez ostatnie lata. Lucas Raynard, znany także jako książę Rinaldo z Kashfy, jest również czarodziejem, choć różnimy się stylem. Kot, który chyba orientował się w tych sprawach, mógł mieć rację twierdząc, że znaleźliśmy się wewnątrz zakłęcia. Taka lokalizacja jest jednym z nielicznych środowisk, gdzie wrażliwość i trening nie pomogłyby mi odgadnąć natury mego położenia. A to dlatego, że moje zdolności także wplotłyby się w manifestację czaru i podlegały jej mocom, o ile

miałaby choćby elementarną wewnętrzną spójność. To coś podobnego do daltonizmu. Bez pomocy z zewnątrz w żaden sposób nie mogłem stwierdzić, co właściwie zachodzi.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, gdy za wahadłowymi drzwiami przed wejściem stanęli konie i żołnierze Króla. Żołnierze weszli i umocowali liny do cielska Banderzwierza. Konie wywlokły go na zewnątrz. Tymczasem Humpty zsunął się na podłogę i wyszedł do toalety. Po powrocie odkrył, że nie potrafi wleźć na barowy stołek. Wołał na pomoc żołnierzy Króla, ale ignorowali go, zajęci przeciąganiem między stolikami trupa bestii. Podszedł uśmiechnięty Luke.

– Więc to był Banderzwierz – stwierdził. – Zawsze chciałem wiedzieć, jak wygląda. Gdyby teraz wpadł jeszcze Dżabbersmok...

– Psst! – ostrzegł Kot. – Z pewnością jest gdzieś tam na fresku i możliwe, że słucha. Nie zakłócaj mu spokoju. Może sapgulcząc wynurzyć się spomiędzy Tumtum drzew i złapać cię za tyłek. Pamiętaj o szponach jak kły i tnących szczękach! Nie szukaj gu...

Kot zerknął na ścianę, po czym kilka razy szybko przefazował się w niebyt i z powrotem. Luke nie zwrócił na to uwagi.

– Myślałem o ilustracji Tenniela.

Kot zmaterializował się na końcu baru i wychylił kufel Kapelusznika.

– Słyszę grzmudnienie, a płomienne oczy płyną w lewo – oznajmił.

Również spojrzałem na fresk. Dostrzegłem parę ognistych oczu i usłyszałem dziwny odgłos.

– To może być cokolwiek – zauważył Luke.

Kot przeskoczył na półki za barem i zdjął ze ściany niezwykłą broń, migoczącą i błyszczącą wśród cienia. Opuścił ją; przejechała po barze i zatrzymała się przed Lukiem.

– Najlepiej mieć pod ręką miecz migbłystalny. Tyle tylko powiem.

Luke roześmiał się, ale ja patrzyłem z ciekawością na klingę. Sprawiała wrażenie wykonanej ze skrzydeł motyli i składanego światła księżycy. I znowu usłyszałem grzmudnienie.

– Nie stój tak w czarsmutśleniu – rzucił Kot, osuszył szklanekę Humpty'ego i zniknął.

Wciąż chichocząc, Luke wyciągnął kufel, by go napełnić. Ja stałem w czarsmutśleniu. Zakłęcie, którego użyłem przeciw Banderzwierzowi, w przedziwny sposób odmieniło mój sposób myślenia. Przez krótką chwilę miałem wrażenie, że rezonans czaru rozjaśnia mi umysł. Uznałem, że to efekt obrazu Logrusu, jaki pojawił się na moment. Dlatego przywołałem go ponownie.

Znak zawisł przede mną. Zatrzymałem go. Popatrzyłem. Zdawało się, że zimny wiatr dmuchnął mi przez głowę. Dryfujące okruchy wspomnień skupiły się, utworzyły pełny splot, dołączyło zrozumienie. Oczywiście...

Grzmudnienie rozbrzmiewało głośniejsze. Dostrzegłem szybujący wśród drzew cień Dżabbersmoka z oczami jak światła samolotu, z mnóstwem ostrych krawędzi do gryzienia i szarpania...

Nie miało to żadnego znaczenia. Pojąłem bowiem, co się właściwie dzieje, kto jest za to odpowiedzialny, jak i dlaczego. Pochyliłem się tak nisko, że kostki palców musnęły czubek prawego buta.

– Luke – rzuciłem. – Mamy problem.

Stałem plecami do baru.

– O co chodzi? – zapytał.

Ci, co pochodzą z krwi Amberu, zdolni są do olbrzymich wysiłków. Potrafimy też wytrzymać naprawdę straszne lanie. Dlatego też, między nami, cechy te w pewnej mierze równoważą się wzajemnie. Zatem, jeśli już ktoś chce się brać do takich rzeczy, powinien odpowiednio się przygotować...

Z całej siły uderzyłem pięścią od samej podłogi. Trafiłem Luke'a w szczękę, a cios poderwał go w

powietrze i rzucił na stolik, który załamał się pod ciężarem. Luke sunąc dalej wzdłuż baru, aż wylądował bezwładnie u stóp spokojnego dżentelmena w wiktoriańskim surducie. Ten upuścił pędzel i odstąpił pospiesznie. Lewą ręką uniosłem kufel i wylałem zawartość na prawą pięść. Miałem wrażenie, że uderzyłem nią o skałę. Światła przygasły i na chwilę zapanowała absolutna cisza.

Energicznie postawiłem kufel na barze. Cały lokal ten właśnie moment wybrał, by zadygotać, jakby zatrzęsała się ziemia. Dwie butelki spadły z półki, zakółysała się lampa, a grzmudnienie przycichło. Obejrzałem się; dziwaczny cień Dżabbersmoka cofnął się między Tumtum drzewa. Co więcej, malowana część krajobrazu sięgała teraz spory kawałek dalej i jakby wydłużała się, zamrażając ten skrawek świata w płaskim bezruchu. Sapgulczenie świadczyło wyraźnie, że Dżabbersmok porusza się, że biegnie na lewo, uciekając przed spłaszczeniem. Tweedledum, Tweedledee, Dodo i Żaba zaczęli pakować instrumenty.

Ruszyłem do rozciągniętego na podłodze Luke'a. Gąsienica demontował nargile, a jego grzyb przechylił się mocno. Biały Królik dopadł nory na tyłach. Słyszałem przekleństwa Humpty'ego, który kołysał się na barowym stołku, gdzie właśnie udało mu się wejść.

Podchodząc skłoniłem się dżentelmenowi z paletą.

– Przepraszam, że zakłócam pracę – powiedziałem. – Ale proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej.

Podniosłem bezwładnego Luke'a i zarzuciłem go sobie na ramię. Obok przefrunęło stado kart do gry. Cofnąłem się, gdy śmigały koło mnie.

– Wielkie nieba! Przestraszył Dżabbersmoka! – zawołał mężczyzna, spoglądając gdzieś poza mnie.

– Co takiego? – spytałem nie do końca pewien, czy rzeczywiście chcę wiedzieć.

– On – odparł, wskazując frontowe drzwi baru.

Spojrzałem, zachwiałem się i wcale się nie dziwiłem Dżabbersmokowi.

Do baru wkroczył właśnie czterometrowy Ognisty Anioł – brunatny, ze skrzydłami jak witraże. Obok przypomnienia o śmiertelności kojarzył mi się z modliszką, z kolczastą obrozą i szponami jak ciernie, sterczącymi z krótkiej sierści na każdym zgięciu. Jeden z nich wyrwał z zawiasów wahadłowe drzwi. Anioł był bestią Chaosu – rzadko spotykaną, śmiertelnie groźną i wysoce inteligentną. Nie widziałem ich od lat i nie miałem ochoty oglądać teraz. Przez moment żałowałem, że zakłęcie zawału serca zmarnowałem na zwykłego Banderzwierza... do chwili, gdy przypomniałem sobie, że Ogniste Anioły mają po trzy serca. Rozejrzałem się szybko; bestia dostrzegła mnie, zawyla cicho i ruszyła.

– Żałuję, że nie mogę z panem porozmawiać – przeprosiłem artystę. – Lubię pańskie dzieła. Niestety...

– Rozumiem.

– Do widzenia.

– Życzę szczęścia.

Wsunąłem się do króliczej nory i ruszyłem biegiem, mocno pochylony z powodu niskiego stropu. Luke bardzo utrudniał marsz, zwłaszcza na zakrętach. Daleko z tyłu słyszałem drapanie i krótkie, zawodzące wołania. Pocieszała mnie jednak świadomość, że aby się precyzyjnie przemieszczać, Ognisty Anioł będzie musiał poszerzać spore odcinki tunelu. Problem w tym, że był do tego zdolny. Te stwory są niesamowicie silne i praktycznie niezniszczalne.

Biegłem, póki nie urwała się przede mną podłoga. Wtedy zacząłem spadać. Próbowałem przytrzymać się wolną ręką, ale trafiłem tylko na pustkę. Ziemia zniknęła. Dobrze. Miałem nadzieję i właściwie oczekiwałem, że to nastąpi. Luke jęknął cicho, ale nie poruszył się..

Spadaliśmy. Niżej, niżej i niżej. Znalazłem się w studni albo bardzo głębokiej, albo lecieliśmy bardzo powoli. Wokół panował mrok i nie widziałem ścian szybu. Umysł rozjaśnił mi się jeszcze

bardziej i wiedziałem, że tak będzie, jak długo zachowam kontrolę nad jedną zmienną: Lukiem. Wysoko w górze ponownie zabrzmiał łowiecki zew. A zaraz po nim dziwny, sapgulczący odgłos. Frakir zaczęła pulsować, ale właściwie nie mówiła nic, czego bym wcześniej nie wiedział. Uciszyłem ją.

Jaśniejsze myśli. Zacząłem sobie przypominać... Atak na Twierdzę Czterech Światów, odbicie Jasry, matki Luke'a. Napad wilkołaka. Dziwne odwiedziny u Vinty Bayle, która nie była tym, kim się wydawała... Kolacja w Alei Śmierci... Mieszkaniec, San Francisco i kryształowa grota... Coraz lepiej. I coraz głośniej rozbrzmiewało nade mną wycie Ognistego Anioła. Musiał pokonać tunel i teraz leciał w dół.

Niestety, miał skrzydła, podczas gdy ja mogłem tylko spadać.

Spojrzałem w górę, ale jeszcze go nie dostrzegłem. Wyżej było chyba ciemniej niż w dole. Miałem nadzieję, że to znak, iż docieramy do czegoś w rodzaju światełka w tunelu, gdyż żaden inny sposób ucieczki nie przychodził mi do głowy. Było za ciemno na Atut i nie widziałem okolicy dostatecznie wyraźnie, by rozpocząć przemianę cienia.

Miałem teraz wrażenie, że dryfujemy raczej, niż spadamy – w tempie, które umożliwi może w miarę bezpieczne lądowanie. Gdyby było inaczej, miałem pewien pomysł na spowolnienie upadku – adaptację jednego z zaklęć, jakie wciąż miałem do dyspozycji. Jednakże rozważania takie na nic by się nie przydały, gdybyśmy w drodze na dół zostali pożarci... Całkiem realna możliwość, chyba że nasz prześladowca nie jest aż tak głodny. Wtedy może rozszarpie nas tylko na strzępy, pewnie trzeba będzie przyspieszyć, żeby bestia nas nie dogoniła... Co spowoduje, naturalnie, że roztrzaskamy się o dno studni.

Decyzje, decyzje...

Luke poruszył się lekko. Miałem nadzieję, że nie odzyska przytomności: nie było czasu na zabawy z zaklęciem snu, a moja pozycja utrudniała porządny cios, Pozostawała tylko Frakir. Gdyby jednak Luke był na granicy jawy, duszenie może go rozbudzić zamiast uśpić. W dodatku potrzebowałem go w dobrym stanie. Posiadał zbyt wiele informacji, których ja nie miałem: informacji, które były mi niezbędne.

Minęliśmy nieco jaśniejszy odcinek i po raz pierwszy zobaczyłem ściany szybu. Pokrywały je napisy w nie znanym mi języku. Przypomniałem sobie takie niesamowite opowiadanie Jamaiki Kincaid, ale nie nasunęło mi żadnych nowych pomysłów. A gdy tylko przelecieliśmy przez tę warstwę jasności, dostrzegłem w dole niewielki krążek światła. I natychmiast rozległo się wycie, tym razem bardzo blisko.

Podniosłem głowę. Przez blask przelatował Ognisty Anioł. Jednak tuż za nim dostrzegłem inny kształt: miał na sobie kamizelkę i sapgulczał: to Dżabbersmok także podążał w dół i wyraźnie był z nas najszybszy. Natychmiast wyniknął problem, jego zamiarów; doganiał nas, a krążek światła rósł w dole. Luke zadrżał znowu. Jednak kwestia Dżabbersmoka rozwiązała się sama, gdy tylko doścignął Ognistego Anioła i zaatakował. Sapgulczenie, wycie i grzmudnienie odbijały się echem od ścian szybu, wraz z sykiem, drapaniem i od czasu do czasu warkotem. Obie bestie zwały się i szarpały; z oczami jak konające słońca i szponami jak bagnety tworzyły piekielną mandalę w blasku docierającym od dołu. Wprawdzie zajmowały się tym zbyt blisko, bym patrzył na nie z całkowitym spokojem, ale walka przyhamowała ich lot. Nie musiałem już ryzykować źle dobranego zaklęcia i niewygodnych manewrów, by wynurzyć się z szybu o własnych siłach.

– Arrg! – zauważył Luke, obracając się w moim uchwycie.

– Masz rację – przyznałem. – Ale nie ruszaj się, dobrze? Za chwilę spadniemy na ziemię...

– ...i spłoniemy – dokończył. Przekręcił głowę, by spojrzeć na walczące potwory, potem w dół,



kiedy zrozumiał, że my również spadamy. – Co to za odlot?

– Ciężki – odparłem i nagle mnie olśniło: to właśnie to.

Otwór rozrastał się, a nasza szybkość pozwalała na w miarę bezpieczne lądowanie. Gdybym rzucił zakłęcie, które nazwałem Kląpssem Olbrzyma, pewnie stanęlibyśmy w miejscu albo nawet podlecieli kawałek do góry. Lepiej zarobić parę siniaków, niż stać się przeszkodą na drodze. Rzeczywiście, ciężki odlot. Myślałem o słowach Randoma, kiedy pod wariackim kątem wlecieliśmy w otwór, uderzyliśmy i potoczyliśmy się po ziemi. Zatrzymaliśmy się w jaskini, niedaleko wyjścia. W prawo i w lewo wybiegały tunele. Wyjście miałem za plecami. Szybki rzut oka w tamtą stronę ukazał mi zalaną blaskiem, zapewne bujną i bardziej niż trochę zamgloną dolinę. Luke leżał nieruchomo tuż obok. Poderwałem się szybko, chwyciłem go pod pachy i odciągnąłem od ciemnego otworu, z którego przed chwilą wypadliśmy.

Odgłosy walki potworów rozlegały się bardzo blisko. Dobrze, że Luke znów stracił przytomność. Jeśli się nie pomyliłem, to był w marnym stanie, nawet jak na Amberytę. Jednak dla kogoś o zdolnościach magicznych stanowiło to bardzo niebezpieczną niewiadomą, z jaką nigdy jeszcze się nie spotkałem. Nie byłem pewien, jak sobie z tym poradzę.

Ciągnąłem go do tunelu po prawej, ponieważ był węższy i teoretycznie łatwiejszy do obrony. Ledwie zdążyliśmy się w nim schronić, gdy dwie bestie wpadły do groty, dusząc i szarpiąc się nawzajem. Zaczęły przetaczać się po podłodze, drapały pazurami, syczały i świszczały. Zupełnie chyba o nas zapomniały, więc kontynuowałem odwrót, póki nie znaleźliśmy się głęboko w tunelu.

Mogłem tylko uznać, że domysły Randoma są prawdziwe. W końcu był muzykiem i grywał po całym Cieniu. Poza tym żadne lepsze wyjaśnienie nie przychodziło mi do głowy.

Przywołałem Znak Logrusu. Kiedy zobaczyłem go wyraźnie i wplotłem w niego ręce, mogłem zadać cios walczącym bestiom. Jednak nie zwracały na mnie uwagi, a ja wołałem o sobie nie przypominać. Nie miałem też pewności, czy odpowiednik uderzenia sztachetą wywrze na nich jakieś wrażenie. Poza tym przygotowałem już zamówienie i najważniejsza teraz była jego realizacja.

Sięgnąłem w Cień.

Trwało to nieskończenie długo. Musiałem pokonać wyjątkowo rozległy obszar, nim wreszcie trafiłem na to, czego szukałem. A potem musiałem powtórzyć operację. I znowu. Potrzebowałem kilku drobiazków, a żaden z nich nie znajdował się blisko.

Tymczasem walczący nie wykazywali śladów zmęczenia, a ich szpony krzeszały iskry ze ścian groty. Zadali sobie nieskończenie wiele ran i teraz pokrywała ich ciemna posoka. Luke przebudził się, uniósł na łokciach i z fascynacją obserwował niezwykle zmagania. Nie wiedziałem, na jak długo przyciągną jego uwagę. Już za chwilę będzie mi potrzebny przytomny, ale dobrze, że na razie nie myślał jeszcze o innych sprawach. Nawiasem mówiąc, kibicowałem Dżabbersmokowi. Był zwyczajną groźną bestią i wcale nie musiał właśnie mnie atakować, gdy jego uwagę odwróciła ta niesamowita nemezis. Ognisty Anioł rozgrywał tu zupełnie inną partię. Nie było żadnego powodu, by błąkał się tak daleko od Chaosu – chyba że został wysłany. To piekielne stwory: trudno je schwytać, jeszcze trudniej wyszkolić, niebezpiecznie trzymać blisko siebie. Wiążą się z niemałymi wydatkami i ryzykiem. Dlatego mało kto lekkomyślnie inwestuje w Ogniste Anioły. Głównym celem ich życia jest zabijanie, a o ile wiem, nikt spoza Dworców Chaosu nigdy ich nie wykorzystywał. Dysponują szerokim zakresem zmysłów, po części paranormalnych, i można ich używać jako psów gończych w Cieniu. Same przez Cień nie wędrują, a przynajmniej ja nic o tym nie słyszałem. Lecz idącego przez Cienie można śledzić, a Ogniste Anioły potrafią wyczuć nawet wystygły trop, gdy już nauczą się rozpoznawać ofiarę.

Przeatutowałem się do tego zwariowanego lokalu. Nie sądziłem, by Ognisty Anioł mógł mnie

ścigać drogą przeskoku przez Atut, jednak przyszło mi na myśl kilka innych możliwości... na przykład, że ktoś mnie odszukał, przetransportował stwora gdzieś niedaleko i poszczuł na mnie. Cokolwiek to oznaczało, jedno było pewne: ten zamach nosił znak firmowy Chaosu. Stąd też moje szybkie wstąpienie w szeregi fandomu Dżabbersmoka.

– Co się dzieje? – zapytał nagle Luke, a ściany groty przybladły na moment i usłyszałem strzęp muzyki.

– Trudno wytłumaczyć – odparłem. – Pora na lekarstwo.

Wysypałem garść tabletek B12, które właśnie sprowadziłem, i odkorkowałem także przywołaną butelkę wody.

– Jakie lekarstwo? – spytał, gdy wręczyłem mu to wszystko.

– Z polecenia lekarza. Szybciej staniesz na nogi.

– Dobra.

Wrzucił tabletki do ust i popił.

– Teraz te.

Otworzyłem fiolkę thorazyny. Tabletki były po 200 mg i nie wiedziałem, ile mu podać. Zdecydowałem się na trzy. Dołożyłem też tryptophan i trochę phenylaniny. Patrzył na pigułki. Ściany znowu przybladły, zabrzmiała muzyka. Bar pojawił się nagle, przywrócony do tego, co w tej okolicy uchodziło za rzeczywistość. Ustawiono poprzewracane stoliki, Humpty kiwał się przy barze, fresk powstawał ciągle.

– O, jest klub! – zawołał Luke. – Powinniśmy wracać. Impreza chyba się właśnie rozkręca.

– Najpierw lekarstwa.

– Od czego to?

– Dostałeś niedawno jakieś świństwo. Pomogą ci wyjść z tego bez komplikacji.

– Nic mi nie dolega. Właściwie to czuję się świetnie...

– Zjedz to!

– Dobrze, dobrze...

Połknął całą garść.

Dżabbersmok i Ognisty Anioł rozwiewali się powoli, a gdy wykonałem niechętny gest w okolicy blatu baru, ręka napotkała pewien opór, choć lada nie była jeszcze w pełni materialna. Nagle zauważyłem Kota, którego sztuczki z egzystencją sprawiały w tej chwili, że wydawał się bardziej rzeczywisty niż cokolwiek innego.

– Wchodzisz czy wychodzisz? – zapytał.

Luke zaczął się podnosić. Światło jaśniało mocniej, choć było też bardziej przymglone.

– Em... Luke, spójrz na to. – Wskazałem palcem.

– Na co? – Odwrócił głowę.

Przyłożyłem mu po raz drugi. Kiedy upadł, bar zaczął zanikać. Ściany jaskini zogniskowały się na powrót. Usłyszałem głos Kota.

– Wychodzisz – mruknął.

Z pełną głośnością wróciły dźwięki, lecz tym razem dominującym odgłosem był pisk jakby kobzy. Wydawał go Dżabbersmok, przyciśnięty do ziemi i szarpany przez Ognistego Anioła. Zdecydowałem się na zakłęcie Czwartego Lipca, które zostało mi z ataku na cytadelę. Wzniosłem ręce i wypowiedziałem słowa. Równocześnie wyszedłem przed Luke'a, by zasłonić mu widok. Odwróciłem głowę i zacisnąłem mocno powieki. Nawet z zamkniętymi oczami widziałem jaskrawy błysk.

– Hej... – odezwał się Luke, jednak wszystkie inne dźwięki ucichły nagle.

Spojrzałem. Obie bestie leżały oszołomione i nieruchome pod ścianą grotu. Złapałem Luke'a za rękę i zarzuciłem go sobie na ramię w uchwycie strażackim. Ruszyłem do grotu. Raz poślizgnąłem się na krwi, sunąc wzdłuż ściany do wyjścia. Potwory zaczęły się poruszać, ale raczej instynktownie niż świadomie. Stałem w otworze jaskini; przed sobą zobaczyłem olbrzymi ogród w rozkwicie. Wszystkie kwiaty były co najmniej mojego wzrostu, a podmuchy wiatru niosły oszałamiające zapachy.

Po chwili usłyszałem za plecami bardziej stanowcze poruszenia. Odwróciłem się. Dżabbersmok wstawał na nogi. Ognisty Anioł wciąż siedział skulony i popiskiwał cicho. Dżabbersmok zatoczył się do tyłu, rozłożył skrzydła, zamachał i odleciał do otworu rozpadliny w tylnej ścianie grotu. Rozsądny pomysł, uznałem i ruszyłem do ogrodu.

Aromaty były tu jeszcze silniejsze, a kwiaty w większości właśnie kwitnące – tworzyły fantastycznie barwny baldachim. Zasapałem się po chwili, ale biegłem dalej. Luke był ciężki, lecz wolałem zostawić jaskinię możliwie daleko za sobą. Biorąc pod uwagę, jak szybko potrafi się poruszać nasz prześladowca, nie byłem pewien, czy mam dość czasu na zabawę z Atutami.

Zaczynałem odczuwać lekkie zawroty głowy, a kończyny jakby oddaliły się ode mnie. Natychmiast pomyślałem, że kwiaty mogą mieć lekko narkotyczne działanie. Doskonale. Tylko tego było mi trzeba: wpaść w narkotyczny haj, kiedy akurat próbowałem wyciągnąć z niego Luke'a. Dostrzegłem przed sobą polankę na niewielkim wzniesieniu. Ruszyłem ku niej. Może zdołam tam chwilę odpocząć, zebrać myśli i postanowić, co dalej.

Jak dotąd nie słyszałem żadnych odgłosów pościgu. Biegłem czując, że zaczynam się zataczać. Coś zakłócało mi zmysł równowagi. Nagłe ogarnął mnie strach przed upadkiem, zbliżony trochę do akrofobii. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że jeśli się przewrócę, może nie zdołam już powstać, że zapadnę w otępienie i we śnie zabije mnie stwór z Chaosu. Nade mną barwy kwiatów zlewały się, płynęły i mieszały niczym masa jaskrawych wstążek w jasnym strumieniu. Staralem się oddychać płytko, by wciągać do płuc jak najmniej wyziewów. Nie było to łatwe wobec narastającego zmęczenia.

Nie upadłem jednak, choć usiadłem ciężko obok Luke'a, gdy wreszcie ułożyłem go na trawie pośrodku polanki. Wciąż był nieprzytomny i na twarzy miał wyraz spokoju. Wiatr owiewał nasz wzgórek od strony, gdzie wyrastały nieprzyjemne, kolczaste rośliny bez kwiatów. Tym samym nie musiałem już wdychać oszałamiających zapachów rozległego kwietnego pola i po chwili w głowie zaczęło mi się przejaśniać. Z drugiej strony, jak sobie uświadomiłem, bryza unosiła nasz zapach w kierunku grotu. Nie wiedziałem, czy Ognisty Anioł zdoła go rozpoznać w powodzi mocnych aromatów, ale nawet tak drobne ułatwienie mu pościgu trochę mnie niepokoiło.

Wiele lat temu, jeszcze przed dyplomem, spróbowałem raz LSD. Przestraszyło mnie to tak okropnie, że od tego czasu ani razu nie zażyłem żadnych środków halucynogennych. To nie był zwyczajny ciężki odlot. Prochy oddziaływały na moją zdolność podróży przez cienie. To rodzaj truizmu, że Amberycki mogą odwiedzić każde miejsce, jakie potrafią sobie wyobrazić, gdyż wszystko gdzieś tam istnieje w Cieniu. Łącząc ruch z pracą umysłu, dostrajamy się do cienia naszych pragnień. Niestety, ja nie panowałem wtedy nad własną wyobraźnią. I niestety, zostałem przeniesiony w te miejsca. Wpadłem w panikę, a to jeszcze pogorszyło sytuację. Łatwo mogłem zginąć, gdyż wędrowałem przez zmaterializowane dzungle własnej podświadomości i spędziłem trochę czasu tam, gdzie żyją potwory. Kiedy doszedłem do siebie, odnalazłem drogę do domu, zjawiłem się roztrzęsiony u drzwi Julii i przez kilka dni byłem nerwowym wrakiem. Później, gdy opowiedziałem o tym Randomowi, dowiedziałem się, że miał podobne doświadczenia. Z początku zatrzymał tę wiedzę dla siebie jako potencjalną tajną broń przeciwko krewniakom. Potem, gdy wszyscy jakoś się

pogodzili, dla ogólnego bezpieczeństwa postanowił zdradzić te informacje. Przekonał się ze zdziwieniem, że Benedykt, Gerard, Fiona i Bleys wiedzieli o tym – choć eksperymentowali z innymi halucynogenami. To niezwykle, ale jedynie Fiona rozważała wykorzystanie tego efektu jako broni. Zrzuciła jednak projekt z powodu nieprzewidywalności zjawiska. Działo się to kilka lat temu i Random zapomniał o całej sprawie wobec natłoku problemów. Zwyczajnie nie pomyślał, że kogoś nowego w rodzinie, jak mnie, powinno się może uprzedzić. Luke mówił, że próbował zdobyć Twierdzę, wprowadzając tam oddział żołnierzy na lotniach, i że atak się nie udał. Kiedy tam byłem, widziałem wewnątrz murów porozbijane lotnie, mogłem więc sensownie założyć, że Luke został uwięziony. Zatem, logicznie rzecz biorąc, to czarnoksiężnik Maska zrobił to, co zrobił, by doprowadzić Luke'a do takiego stanu. Wymagało to chyba tylko wprowadzenia doży halucynogenu do więziennego posiłku, a potem wypuszczenia jeńca na wolność, żeby chodził sobie i gapił się na kolorowe światła.

Na szczęście, w przeciwieństwie do mnie, jego myślowe wędrówki nie prowadziły w żadne miejsca bardziej groźne niż co przyjemniejsze sceny z Lewisa Carrolla. Może miał serce czystsze od mojego. Ale to dziwne. Maska mógł go przecież zabić, trzymać w lochach albo dodać do swojej kolekcji wieszaków. Tymczasem, choć oczywiście istniało pewne ryzyko, w końcu halucynogen przestanie działać i Luke, wprawdzie cierpiący, znajdzie się na wolności. To raczej klaps po rękę niż prawdziwa zemsta. I to wobec przedstawiciela rodu, który niedawno władał w Twierdzy i z pewnością zechce tam wrócić. Czyżby Maska był aż tak pewny siebie? A może nie uważał Luke'a za groźnego?

Wiedziałem również, że nasze zdolności chodzenia wśród cieni i zdolności czarodziejskie pochodzą ze zbliżonych źródeł: Wzorca albo Logrusu. Kto miesza się do jednego z nich, miesza się też do drugiego. To wyjaśniałoby niezwykłą umiejętność Luke'a nadania tak potężnego atutowego wezwania, chociaż w istocie nie było żadnego Atutu: jego wzmocniona prochami siła wizualizacji była tak intensywna, że fizyczny wizerunek na karcie okazał się zbędny. A wypaczone zdolności czarnoksiężskie tłumaczyły tę wstępną grę, te dziwaczne, zniekształcające rzeczywistość doznania, jakie przeżyłem, nim nastąpił kontakt. Co oznaczało, że w pewnych narkotycznych stanach obaj możemy być bardzo niebezpieczni.

Będę musiał to zapamiętać. Miałem nadzieję, że nie ocknie się wściekły na mnie za ten cios; zdążę chyba najpierw z nim pogadać. Z drugiej strony, środki uspokajające powinny go trochę przyhamować, a cała reszta pomoże w detoksykacji.

Roztarłem obolały mięsień lewej nogi i wstałem. Złapałem Luke'a pod pachy i odciągnąłem go ze dwadzieścia metrów dalej. Potem odetchnąłem głęboko i wróciłem na miejsce. Nie miałem już czasu, by uciekać. Tymczasem wycie nabierało siły, a wielkie kwiaty pochylały się wzdłuż linii wskazującej prosto na mnie. Widziałem już między łodygami ciemniejszą sylwetkę. Wiedziałem wtedy, że Dżabbersmok uciekł, a Ognisty Anioł wrócił do pracy. Jeżeli starcie było i tak nieuniknione, to polanka była miejscem nie gorszym od innych, a lepszym od wielu.

## Rozdział 2

---

Odczepiłem od pasa migotliwy przedmiot i zacząłem go rozkładać. Pstrykał cicho. Miałem nadzieję, że dokonałem wyboru najlepszego z możliwych, a nie – powiedzmy – tragicznej pomyłki.

Potwór nadchodził poprzez kwiaty wolniej, niż się spodziewałem. Mogło to oznaczać, że ma problemy z odnalezieniem mojego tropu pośród egzotycznych zapachów. Liczyłem jednak, że odniósł rany w starciu z Dżabbersmokiem, tracąc przy tym nieco prędkości i siły. Tak czy tak, ostatnie łodygi pochyliły się w końcu i zostały zdeptane. Kanciasty stwór wtoczył się na polanę i przystanął, spoglądając na mnie bez mrugnięcia. Frakir wpadła w panikę, więc uspokoiłem ją. Ten przeciwnik nie należał do jej sfery. Zostało mi jeszcze zakłęcie Ognistej Fontanny, ale nawet go nie próbowałem. Wiedziałem, że nie powstrzyma Anioła, a mógłby zacząć się zachowywać w sposób nieprzewidywalny.

– Mogę ci wskazać drogę powrotną do Chaosu! – zawołałem. – Pewnie tęsknisz za domem.

Zawył cicho i ruszył na mnie. To tyle, jeśli chodzi o sentymenty.

Zbliżał się wolno, ociekając posoką z tuzina ran. Zastanawiałem się, czy potrafiłby jeszcze na mnie skoczyć, czy też obecne tempo było wszystkim, na co go stać. Ostrożność nakazywała przewidywać najgorsze, więc rozluźniłem mięśnie, gotów do reakcji na każdą próbę ataku. Nie skoczył. Zbliżał się tylko niczym mały czołg z łapami. Nie wiedziałem, gdzie w jego cielsku znajdują się wrażliwe punkty – anatomia Ognistych Aniołów nie zajmowała wysokiej lokaty na liście moich zainteresowań. Spróbowałem zaliczyć kurs przyspieszony, obserwując uważnie potwora. Niestety, doszedłem tylko do wniosku, że wszystkie ważne organy są dobrze osłonięte. Szkoda.

Wolałem nie atakować na wypadek, gdyby próbował mnie do czegoś sprowokować. Nie miałem pojęcia o sztuczkach, jakie stosuje w walce, ani chęci, żeby się odsłonić tylko po to, by je poznać. Lepiej trzymać gardę, powiedziałem sobie, i niech on zrobi pierwszy ruch. Ale on tylko podchodził, bliżej i bliżej. Wiedziałem, że zaraz będę musiał coś zrobić, choćby tylko się cofnąć...

Jedna z tych długich, zwiniętych przednich kończyn wystrzeliła ku mnie, a ja odskoczyłem na bok i ciałem. Ciach! Łapa leżała na ziemi i poruszała się ciągle. Więc ja również się ruszyłem. Raz-dwa! Raz-dwa! I ciach! I ciach!

Potwór przewrócił się wolno na lewy bok, ponieważ odrąbałem wszystkie członki po tej stronie ciała. Potem, zanadto pewny siebie, przebiegłem zbyt blisko, by stanąć z drugiego boku i powtórzyć wyczyn, póki Anioł był oszołomiony i niesprawny. Mignęła inna łapa. Jednak byłem za blisko, a on padał. Zamiast pochwycić w szpony, trafił mnie w pierś odpowiednikiem goleni czy przedramienia. Odleciałem do tyłu.

Kiedy odpełzałem jak najdalej i próbowałem wstać, usłyszałem senny głos Luke'a.

– Co się tu dzieje?

– Później! – krzyknąłem nie oglądając się.

– Zaraz! Walnąłeś mnie! – dodał.

– Bez złych zamiarów. To element kuracji.

Stanąłem na nogach i ruszyłem znowu.

– Aha... – usłyszałem jeszcze.

Potwór leżał na boku, a ta wielka łapa wyciągała się gwałtownie w moją stronę. Odskakiwałem, jednocześnie badając jej zasięg i kąt uderzenia. I ciach! Łapa upadła na ziemię, a ja wziąłem się do dzieła.

Zadałem trzy ciosy, które przeszły przez całą jego głowę, nim zdołałem ją odciąć. Cmokała stale, a kadłub przesuwiał się i pełzał na pozostałych kończynach. Nie wiem, ile cięć jeszcze zadałem. Nie przerywałem, póki stwór nie był dosłownie w plasterkach. Przy każdym ciosie Luke krzyczał: "ole!" Byłem już trochę spocony i zauważyłem, że rozgrzane powietrze – albo coś innego powoduje, że dalekie kwiaty w polu widzenia falują dość niepokojąco. Czułem, że dowiodłem zdolności przewidywania: miecz migbłystalny, który zabrałem z baru, okazał się wspaniałą bronią. Machnąłem nim wysoko, co – jak się zdaje – dokładnie oczyściło klingę, po czym zacząłem go składać do wyjściowej, zwartej formy. Był miękki jak płatki kwiatów i wciąż lśnił słabym, matowym blaskiem...

– Brawo! – odezwał się znajomy głos. Odwróciłem się; zobaczyłem uśmiech, a po nim Kota, który lekko klaskał łapami.

– Kalej! Kalu! – dodał. – Niezła robota, cudobry chłopcze!

Tło falowało mocniej, a niebo pociemniało.

– Co jest?! – zawołał Luke.

Wstał właśnie i podchodził. Kiedy znów odwróciłem głowę, dostrzegłem bar formujący się za Kotem, pochwycałem błysk mosiężnej poręczy. Zakręciło mi się w głowie.

– Normalnie pobieramy kaucję za migbłystalny miecz – stwierdził Kot. – Ale skoro oddajesz go bez uszkodzeń...

Luke stanął obok mnie. Usłyszał muzykę i zaczął nucić. Teraz to polanka i zarżnięty Ognisty Anioł wydawały się nałożonym obrazem, bar zaś nabierał trwałości... pojawiały się niuanse kolorów i odcieni.

Jednak lokal sprawiał wrażenie mniejszego. Stoliki stały bliżej siebie, muzyka grała ciszej, fresk był jakby węższy, a malarz gdzieś zniknął. Nawet Gąsienica i jego grzyb cofnęli się do mrocznego kąta i obaj skurczyli wyraźnie, a niebieski dym nie wydawał się już tak gęsty.

Uznałem to za dobry znak, ponieważ jeśli nasza obecność tutaj była rezultatem stanu umysłu Luke'a, to może właśnie uwalniał się od tego natręctwa.

– Luke? – rzuciłem.

– Tak? – Stał obok mnie przy barze.

– Wiesz, że jesteś na haju, prawda?

– Ja nie... Nie jestem pewien, co masz na myśli.

– Kiedy Maska trzymał cię w niewoli, mógł ci podać jakiś kwas – wyjaśniłem. – Czy to możliwe?

– Kto to jest Maska? – zdziwił się.

– Nowy boss w Twierdzy.

– Aha, chodzi ci o Sharu Garrula! – zawołał. – Rzeczywiście, przypominam sobie, że nosił niebieską maskę.

Nie widziałem powodów, by zagłębiać się w tłumaczenie, dlaczego Maska nie może być Sharu. Zresztą, pewnie i tak by zapomniał. Kiwnąłem tylko głową.

– Szef – powiedziałem.

– Czy ja wiem... Tak, chyba mógłby mi coś podać przyznał. – To znaczy, że to wszystko... Szerokim gestem wskazał całą salę.

Przytaknąłem.

– Oczywiście, jest rzeczywiste – stwierdziłem. – Ale my potrafimy przetransportować siebie do halucynacji. Wszystkie są gdzieś rzeczywiste. Kwas by to załatwił.

– Niech mnie diabli... – mruknął.

– Podałem ci trochę leków, które powinny pomóc – dodałem. – Ale to może potrwać.

Oblizwał wargi i rozejrzał się.

– Nie ma pośpiechu. – Uśmiechnął się, gdy zabrzmiał odległy krzyk: to demony zaczęły wyczyniać brzydkie rzeczy z płonąca kobietą we fresku. – Podoba mi się tutaj.

Ułożyłem na barze poskładaną broń. Luke zastukał o blat i zamówił następną kolejkę. Wycofałem się, kręcąc głową.

– Muszę już iść – wyjaśniłem. – Ktoś na mnie poluje i tym razem niewiele brakowało.

– Zwierzęta się nie liczą – oświadczył Luke.

– Stwór, którego posiekałem, liczy się jak najbardziej – odparłem. – Został wysłany.

Spojrzałem na wyłamane drzwi myśląc, co może się w nich zjawić jako następne. Ogniste Anioły często polują parami.

– Ale muszę z tobą porozmawiać... – mówiłem dalej.

– Nie teraz. – Odwrócił się.

– Wiesz, że to ważne.

– Nie potrafię skupić myśli.

Zapewne miał rację, a nie było sensu ciągnąć go stąd do Amberu czy gdziekolwiek indziej. Rozwiałyby się i pojawił znowu tutaj. Dopiero kiedy przejaśni mu się w głowie, a obsesja przestanie go nękać, możemy omówić nasze wspólne problemy.

– Pamiętasz, że twoja matka jest więźniem w Amberze? – spytałem jeszcze.

– Tak.

– Wezwij mnie, kiedy wrócisz do normy. Musimy pogadać.

– Wezwę.

Odwróciłem się, wyszedłem za drzwi i w ścianę mgły. Z oddali usłyszałem, że Luke śpiewa jakąś smutną balladę. Kiedy chodzi o przejścia przez cienie, mgła jest niemal tak niewygodna jak absolutna ciemność. Jeśli w ruchu nie widać punktów odniesienia, nie ma sposobu, by dokonać przeskoku. Z drugiej strony jednak, chciałem tylko zastanowić się w samotności, zwłaszcza że mogłem już jasno myśleć. Jeżeli ja nikogo nie widziałem w tych oparach, to i mnie nikt nie zobaczy. I nie słyszałem żadnego dźwięku, jedynie własne kroki na brukowanej powierzchni.

Co osiągnąłem? Kiedy w Amberze przebudziłem się po krótkiej drzemce, by obserwować niezwykle wezwanie Luke'a, byłem śmiertelnie zmęczony po niezwykłych trudach. Zostałem przeniesiony do niego, przekonałem się, że ma odlot, nakarmiłem czymś, co powinno szybciej doprowadzić go do normy, porąbałem Ognistego Anioła i zostawiłem Luke'a tam, gdzie go zastałem na początku. Dwie rzeczy udało mi się załatwić, myślałem, maszerując przez kłęby mgły. Udaremniłem Luke'owi wszelkie plany, jakie mógłby jeszcze snuć co do Amberu. Wiedział, że jego matka jest naszym więźniem i w tych okolicznościach nie wyobrażałem sobie, by podjął jakieś bezpośrednie działania. Pomijając nawet techniczne problemy związane z przetransportowaniem go tak, by pozostał cały, to był główny powód, że mogłem go zostawić samego... co właśnie zrobiłem. Jestem przekonany, że Random wolałby mieć go nieprzytomnego w celi w podziemiach, ale byłem też pewien, że wystarczy mu Luke z wyrwanymi kłami i na swobodzie. Zwłaszcza że prędzej czy później pewnie nawiąże z nami kontakt w sprawie Jasry. Mogłem pozwolić, by doszedł jakoś do siebie i zjawił się u nas, kiedy będzie mu to odpowiadało.

W mojej poczekalni tkwiły już moje własne problemy, choćby Ghostwheel, Maska, Vinta... i nowe widmo, które właśnie wzięło numerkę i zajęło miejsce. Może to Jasra wykorzystała przyciąganie niebieskich kamieni, by posłać za mną zabójców. Miała możliwość i motyw. Chociaż prawdopodobne, że to Maska. Według mnie miał taką sposobność... i chyba miał też motyw, choć go nie rozumiałem. Jasrę usunąłem jednak z drogi. Zamierzałem w końcu rozstrzygnąć sprawę z Maską, ale już teraz wierzyłem, że wyzwoliłem się z wpływu niebieskich kamieni. Wierzyłem też, że nasze

niedawne spotkanie w Twierdzy choć trochę go wystraszyło. Tak czy tak, to zupełnie nieprawdopodobne, by Maska lub Jasra, niezależnie od swej mocy, potrafili zdobyć wyszkolonego Ognistego Anioła. Nie; jest tylko jedno miejsce, z którego one pochodzą, czarownicy z Cieni zaś nie trafiają na listę klientów.

Podmuch wiatru porwał na moment mgłę i zobaczyłem mroczne budynki. Doskonale. Przeskoczyłem. Mgła przesunęła się znowu niemal natychmiast i nie były to już budynki, ale formacje skalne. Kolejne rozstąpienie szarości i pojawił się skrawek porannego czy wieczornego nieba z wylaną strugą jasnych gwiazd. W krótkim czasie wiatr przegnał mgłę i zobaczyłem, że idę gdzieś wysoko po skale, w blasku gwiazd tak jasnym, że mógłbym przy nich czytać. Dążyłem ciemną dróżką prowadzącą do krawędzi świata...

Cała ta sprawa z Lukiem, Jasrą, Daltem i Maską była czymś w rodzaju łamigłówki – całkowicie zrozumiała w pewnych punktach i zamglona w innych. Trochę czasu i pracy wyjaśni wszystko. Luke i Jasra byli chwilowo unieszkodliwieni. Tajemniczy Maska miał chyba do mnie jakieś osobiste pretensje, ale dla Amberu raczej nie stanowił zagrożenia. Za to Dalt owszem, zwłaszcza ze swym nowym uzbrojeniem... ale Random znał sytuację, a Benedykt wrócił do domu. Byłem więc spokojny, że uczyniono w tej sprawie wszystko, co możliwe.

Stałem na krawędzi świata i spoglądałem w bezdenną przepaść pełną gwiazd. Moja góra chyba nie zaszczycała swą obecnością powierzchni planety. Jednakże po lewej stronie dostrzegłem most prowadzący w mrok, do ciemnego, przesłaniającego gwiazdy kształtu – może kolejnej dryfującej góry. Ruszyłem w tamtą stronę. Problemy dotyczące atmosfery, grawitacji czy temperatury nie miały znaczenia w tym miejscu, gdzie mogłem w pewnym sensie na bieżąco kreować rzeczywistość. Wszedłem na most i przez jedną chwilę kął był odpowiedni: zobaczyłem drugi most po przeciwnej stronie mrocznej bryły, prowadzący w inną ciemność.

Zatrzymałem się pośrodku. Wzrok sięgał daleko we wszystkie strony. Uznałem, że to miejsce bezpieczne i odpowiednie. Wyjąłem talię Atutów i przekładałem je, aż znalazłem kartę, której nie używałem od bardzo, bardzo dawna.

Odłożyłem pozostałe i spojrzałem w niebieskie oczy, na młodą, poważną twarz o ostrych rysach pod masą idealnie białych włosów. Ubrany był w czerń, poza białym kołnierzem i skrawkiem mankietu widocznym spod lśniącej, dopasowanej kurty. W dłoni ukrytej rękawicą trzymał ciemne, stalowe kule.

Czasami jest dość trudno dotrzeć aż do Chaosu, więc skupiłem się, sięgając ostrożnie i mocno. Kontakt nastąpił niemal od razu. Siedział na balkonie pod wariacko pasiastym niebem, a Zmienne Góry przesuwały się po lewej stronie. Nogi opierał na niewielkim, szybującym stoliku i czytał książkę. Opuścił ją i uśmiechnął się lekko.

– Merlin – rzekł cichym głosem. – Wyglądasz na zmęczonego.

Przytaknąłem.

– A ty na wypoczętego – zauważyłem.

– Zgadza się. – Zamknął książkę i odłożył ją na stolik. – Masz kłopoty? – spytał.

– Mam kłopoty, Mandorze.

Wstał.

– Chcesz przejść?

Pokręciłem głową.

– Jeśli masz pod ręką jakieś Atuty, które ułatwią ci powrót, wolałbym, żebyś ty przeszedł do mnie.

Wyciągnął rękę.

– Zgoda – powiedział.



Wyciągnąłem rękę, nasze dłonie zetknęły się; zrobił krok i stanął obok mnie na moście. Uścisnęliśmy się. Potem rozejrzał się i spojrzał w otchłań.

– Czy coś ci tu zagraża? – zapytał.

– Nie. Wybrałem to miejsce, ponieważ wydaje się zupełnie bezpieczne.

– I bardzo malownicze – dokończył. – Co się z tobą działo?

– Przez długie lata byłem najpierw studentem, a potem projektantem pewnego rodzaju specjalistycznego sprzętu – wyjaśniłem. – Aż do niedawna żyłem sobie całkiem spokojnie. I nagle rozpętało się piekło... ale większość rozumiem, a sporo elementów już opanowałem. Ta część jest właściwie prosta i niewarta twojej uwagi.

Oparł dłoń o poręcz mostu.

– A ta druga część?

– Moi wrogowie, aż do teraz, pochodzili z okolic Amberu. Aż nagle, kiedy sprawy były na najlepszej drodze do rozwiązania, ktoś wypuścił moim tropem Ognistego Anioła. Nie mam pojęcia, z jakich powodów, a z pewnością nie jest to sztuczka z Amberu. Przed chwilą go zabiłem.

Cmoknął lekko, odwrócił się, odszedł na kilka kroków i znów spojrzał na mnie.

– Masz rację, naturalnie – stwierdził. – Nie przypuszczałem, że dojdzie aż do tego. Inaczej porozmawiałbym z tobą już dawno. Zanim jednak podejmę pewne spekulacje w tej kwestii, pozwól, że nie zgodzę się z tobą co do hierarchii ważności faktów. Chciałbym poznać całą historię.

– Po co?

– Ponieważ bywasz niekiedy wzruszająco naiwny, braciszku. Nie ufam twojej ocenie tego, co jest naprawdę istotne.

– Mogę umrzeć z głodu, zanim skończę.

Z krzywym uśmiechem mój przyrodni brat Mandor uniósł ramiona. Jurt i Despil też są dla mnie przyrodnimi braćmi, zrodzonymi przez moją matkę Darę w związku z księciem Sawallem, Lordem Krańca. Mandor jest synem Sawalla z poprzedniego małżeństwa. Jest sporo starszy ode mnie i w efekcie przypomina mi czasem krewnych z Amberu. Między dziećmi Dary i Sawalla zawsze czułem się trochę obco. W tym sensie Mandor także nie należał do grupy, więc mieliśmy ze sobą coś wspólnego. Niezależnie jednak od początkowych motywów, pasowaliśmy do siebie i zaprzyjaźniliśmy się bardziej chyba niż prawdziwi bracia. Wiele mnie nauczył w ciągu tamtych lat; spędziliśmy razem wiele przyjemnych chwil.

Powietrze zamigotało, a kiedy Mandor opuścił ramiona, między nami bezgłośnie pojawił się stół pokryty białym haftowanym obrusem. Za nim przybyły dwa krzesła. Na stole czekały już nakryte półmiski, porcelana, kryształ i sztuce. Było nawet błyszczące wiaderko z lodem, a w nim wygięta butelka.

– Jestem pod wrażeniem – oświadczyłem.

– Przez ostatnie lata wiele czasu poświęcałem na magię gastronomiczną – odparł. – Siadaj, proszę.

Zajęliśmy miejsca na moście pomiędzy dwoma ciemnościami. Mruczałem z podziwem, kosztując potraw, i dopiero po kilku minutach mogłem zacząć opowieść o zdarzeniach, które doprowadziły mnie do tego miejsca pełnego blasku gwiazd i ciszy. Mandor, nie przerywając, wysłuchał całej mojej historii. Kiedy skończyłem, skinął głową.

– Może jeszcze jedną porcję deseru? – zapytał.

– Chętnie – zgodziłem się. – Jest całkiem niezły.

Kiedy po chwili uniosłem głowę, Mandor się uśmiechał.

– Z czego się śmiesz? – spytałem.

– Z ciebie. Jeśli pamiętasz, zanim wyjechałeś, mówiłem ci, żebyś uważał, kogo obdarzasz

zaufaniem.

– Co z tego? Nikomu o sobie nie opowiadałem. Jeśli chcesz wygłosić kazanie o tym, że zaprzyjaźniłem się z Lukiem, zanim poznałem jego przeszłość, to już je słyszałem.

– A co z Julią?

– O co ci chodzi? Nie dowiedziała się...

– Właśnie. Wydaje się, że mogłeś jej zaufać. Zamiast tego zwróciłeś ją przeciwko sobie.

– No dobre! Może co do niej też się pomyliłem.

– Stworzyłeś niezwykle urządzenie i nie przyszło ci do głowy, że może się stać potężną bronią. Random zrozumiał to natychmiast. Luke również. Przed katastrofą uratowało cię chyba tylko to, że maszyna uzyskała świadomość i nie chciała, by jej rozkazywać.

– Masz rację. Zająłem się głównie problemami technicznymi. Nie pomyślałem o możliwych konsekwencjach.

Westchnął.

– I co z tobą zrobić, Merlinie? Podejmujesz ryzyko, nie wiedząc nawet, że ono istnieje.

– Nie zaufałem Vincie – przypomniałem.

– Uważam, że mogłeś od niej uzyskać więcej informacji – odparł. – Gdyby tak ci się nie spieszyło, by ratować Luke'a, któremu właściwie nic już nie zagrażało. Pod koniec waszej rozmowy ona wyraźnie miękła.

– Może powinienem cię wezwać.

– Zrób to, jeśli znowu ją spotkasz. Zajmę się nią.

Spojrzałem na niego. Mówił poważnie.

– Wiesz, kim ona jest?

– Dowiem się. – Zakręcił jaskrawopomarańczowym napojem w kielichu. – Ale mam dla ciebie propozycję, elegancką w swej prostocie. Posiadam nowy dom na wsi, na odludziu i ze wszystkimi wygodami. Dlaczego nie miałbyś wrócić ze mną do Dworców, zamiast kluczyć między jednym a drugim niebezpieczeństwem? Przyczaisz się na parę lat, użyjesz życia, nadrobisz opóźnienia w lekturze. Dopilnuję, żebyś był dobrze chroniony. Niech minie zagrożenie. Wrócisz do swoich spraw w bardziej sprzyjającym klimacie.

Wypisem niewielki łyk ognistego napoju.

– Nie – odparłem. – A co z tymi sprawami, o których wspomniałeś?, że wiesz o nich, a ja nie?

– Nie będą ważne, jeśli przyjmujesz moją ofertę.

– Jeśli nawet miałbym się zgodzić, chcę wiedzieć.

– Szkoda czasu – mruknął.

– Wysłuchałeś mojej historii. Teraz ja wysłucham twojej.

Wzruszył ramionami, oparł się wygodnie i spojrzał w gwiazdy.

– Swayvill umiera – oznajmił.

– Robi to od lat.

– To fakt, ale teraz poczuł się o wiele gorzej. Niektórzy sądzą, że ma to związek ze śmiertelną klątwą Eryka z Amberu. W każdym razie nie sędzę, by pozostało mu wiele czasu.

– Zaczynam rozumieć...

– Tak, walka o sukcesję nabrała tempa. Ludzie padają na prawo i lewo: trucizny, pojedynki, morderstwa, podejrzane wypadki, wątpliwe samobójstwa. Sporo osób wyjechało nie wiadomo gdzie. A przynajmniej tak można by sądzić.

– Rozumiem, ale nie wiem, jaki ma to związek ze mną.

– Kiedyś nie miało.

– Ale?

– Nie wiesz pewnie, że po twoim wyjeździe Sawall formalnie cię adoptował?

– Co?

– Tak. Nie znam jego motywów, ale jesteś prawym dziedzicem. Stoisz dalej niż ja, ale wyprzedzasz Jurta i Despila.

– Ale i tak jestem bardzo daleko na liście.

– To prawda... – przyznał. – Zainteresowania koncentrują się na ogół u szczytu.

– Powiedziałeś "na ogół".

– Zawsze są wyjątki – odparł. – Musisz zdawać sobie sprawę, że taki okres jest również świetną okazją do spłaty starych długów. Jedna śmierć mniej czy więcej nie zwróci takiej uwagi jak w spokojniejszych czasach. Nawet w stosunkowo wysokich kręgach. – Potrząsnąłem głową, patrząc mu w oczy.

– W moim przypadku to nie ma sensu – stwierdziłem.

Przyglądał mi się długo, aż poczułem niepokój.

– Prawda? – spytałem w końcu.

– No... pomyśl chwilę.

Pomyślałem. I kiedy tylko przyszło mi to do głowy, Mandor przytaknął, jakby znał zawartość mego umysłu.

– Jurt – powiedział. – Wkroczył w ten okres z mieszaniną zachwytu i strachu. Bez przerwy opowiadał o ostatnich zabójstwach, o elegancji i łatwości, z jaką ich dokonano. Przyciszony ton, od czasu do czasu nerwowy chichot. Jego strach i żądza, by zwiększyć własne możliwości czynienia szkód, osiągnęły wreszcie granicę i pokonały dawny lęk...

– Logrus...

– Tak. W końcu spróbował Logrusu i przeszedł.

– Pewnie się bardzo ucieszył. Był dumny. Marzył o tym od lat.

– A tak – zgodził się Mandor. – I jestem pewien, że przeżywał też całkiem inne emocje.

– Poczucie swobody – zgadywałem. – Władzy. – Patrząc na jego ironiczny uśmiezek, musiałem dodać: – I chęć włączenia się do gry.

– Może jest jeszcze dla ciebie nadzieja – pochwalił mnie. – Spróbujesz doprowadzić to rozumowanie do logicznych wniosków?

– Dobrze. – Myślałem o lewym uchu Jurta, po moim cięciu odpływającym w obłoku krwawych paciorków. – Uważasz, że to Jurt wysłał Ognistego Anioła.

– Najprawdopodobniej – zgodził się. – Co dalej?

Pomyślałem o złamanej gałęzi, która przebiła oko Jurta, kiedy walczyliśmy na polanie...

– W porządku – stwierdziłem. – Chce mnie zabić. Może jest to element walki o sukcesję, ponieważ trochę go wyprzedzam, może zwykła niechęć albo zemsta... a może jedno i drugie.

– To właściwie nie ma znaczenia – zauważył Mandor. – Przynajmniej jeśli idzie o rezultaty. Myślałem jednak o tym wilku ze ścietym uchem, który cię napadł. O ile pamiętam, miał tylko jedno oko...

– Tak... – mruknąłem. – Jak Jurt teraz wygląda?

– Odrosło mu już prawie pół ucha. Jest nierówne i brzydkie, ale na ogół zakryte włosami. Zregenerował gałkę oczną, ale jeszcze przez nią nie widzi. Zwykle nosi opaskę.

– To może tłumaczyć ostatnie wypadki – stwierdziłem. – Bardzo nieodpowiednia chwila wobec wszystkiego, co się teraz dzieje. Woda staje się bardziej mętna.

– Między innymi dlatego proponuję, żebyś zniknął gdzieś i odczekał, aż wszystko ucichnie. Jest za

gorąco. Kiedy tyle strzał fruwa w powietrzu, któraś może odnaleźć drogę do twojego serca.

– Potrafię o siebie zadbać, Mandorze.

– Prawie ci uwierzyłem.

Wzruszyłem ramionami, wstałem i podszedłem do poręczy. Spojrzałem w dół, na gwiazdy.

– Masz lepsze pomysły?! – zawołał.

Nie odpowiedziałem, ponieważ właśnie się nad tym zastanawiałem. Rozwazałem to, co Mandor powiedział o mojej nieostrożności, o braku przygotowania... I uznałem, że ma rację. We wszystkim prawie, co mi się przydarzyło do tej chwili – z wyjątkiem wyprawy po Jasrę – głównie reagowałem na rozwój sytuacji. Raczej odpowiadałem na działania innych, niż sam działałem. Owszem, wszystko to następowało bardzo szybko. Ale i tak nie tworzyłem żadnych sensownych planów obrony, poznania przeciwników czy kontrataku. Było chyba kilka spraw, którymi mógłbym się zająć...

– Kiedy tak wiele jest powodów do zmartwienia – rzucił – najlepiej wyjdiesz, nie narażając się bez potrzeby.

Miał prawdopodobnie rację z punktu widzenia rozsądku, bezpieczeństwa i ostrożności. Jednak związany był wyłącznie z Dworcami, gdy ja miałem dodatkowe zobowiązania lojalności, które jego nie dotyczyły. Możliwe – choćby dzięki moim kontaktom z Lukiem – że będę mógł uczynić coś, co zwiększy bezpieczeństwo Amberu. Póki istniała taka szansa, musiałem próbować ją wykorzystać. A poza tym, z czysto osobistych względów, byłem nazbyt ciekawy, by porzucić tak liczne pytania, gdy mogłem szukać odpowiedzi.

Zastanawiałem się właśnie, jak najlepiej wytłumaczyć to Mandorowi, kiedy znowu ktoś podjął działanie wobec mnie. Poczulem delikatne dotknięcie, jak gdyby kot skrobał o ściany mego umysłu. Nabierało mocy, zagłuszając inne myśli, aż poznałem, że to wezwanie przez Atut, nadane gdzieś z bardzo daleka. Pomyślałem, że to pewnie Random chce się dowiedzieć, co zaszło od mojego zniknięcia z pałacu. Otworzyłem się więc, zapraszając do kontaktu.

– Co się dzieje, Merlinie? – zapytał Mandor.

Uniosłem dłoń na znak, że jestem zajęty. Zauważyłem, że odkłada serwetkę i wstaje.

Wizja rozjaśniała się z wolna. Zobaczyłem Fionę; stała z surową miną. Miała za sobą skały, a nad głową bladozielone niebo.

– Merlinie – powiedziała. – Gdzie jesteś?

– Daleko – odparłem. – To długa historia. O co chodzi? Gdzie jesteś?

Uśmiechnęła się blado.

– Daleko.

– Oboje trafiliśmy w bardzo malownicze miejsca – zauważyłem. – Czy wybrałaś to niebo, żeby podkreślało barwę twoich włosów?

– Dość – rzuciła. – Nie po to cię wezwałam, żeby porównywać notatki z podróży.

W tej właśnie chwili Mandor stanął obok i położył mi dłoń na ramieniu, co raczej nie pasowało do jego charakteru i co uznawałem za bardzo nieeleganckie w chwili, gdy najwyraźniej trwa kontakt przez Atut. Podobnie jak umyślne podniesienie słuchawki drugiego aparatu i wtrącenie się do cudzej rozmowy. Mimo to...

– No, no! – powiedział. – Czy zechcesz nas sobie przedstawić, Merlinie?

– Kto to? – zapytała Fiona.

– To mój brat Mandor – odparłem. – Z rodu Sawalla w Dworcach Chaosu. Mandorze, to moja ciocia Fiona, księżniczka Amberu.

Mandor skłonił się.

– Słyszałem o tobie, księżniczko – powiedział. – To wielka przyjemność.

Na moment otworzyła szeroko oczy.

– Słyszałam o tym rodzie – odpowiedziała. – Ale nie miałam pojęcia, że Merlin jest z nim spowinowacony. Cieszę się, że mogę cię poznać.

– Rozumiem, że masz do mnie jakąś sprawę, Fi – wtrąciłem.

– Tak – odparła, patrząc na Mandora.

– Oddałę się – oświadczył. – Jestem zaszczycony tym spotkaniem, księżniczko. Żałuję, że nie mieszkasz nieco bliżej Krawędzi.

– Zaczekaj. – Uśmiechnęła się. – Ta sprawa nie dotyczy tajemnic państwowych. Przeszedłeś inicjację Logrusu?

– Tak – potwierdził.

– ...I nie sędzę, żebyście spotkali się tutaj, by stoczyć pojedynek?

– Raczej nie – uspokoiłem ją.

– W takim razie chętnie poznam także jego opinię. Czy zechcesz przejść do mnie, Mandorze?

Skłonił się znowu, co uznałem za lekką przesadę.

– Gdziekolwiek każesz, pani.

– Chodźcie więc.

Wyciągnęła rękę. Chwyciłem ją. Mandor dotknął jej nadgarstka. Zrobiliśmy krok. Stanęliśmy przed nią wśród skał. Było wietrznie i trochę chłodno. Gdzieś z daleka dobiegał przytłumiony warkot, jakby silnika.

– Kontaktowałaś się ostatnio z kimś z Amberu? – zapytałem.

– Nie – odparła.

– Zniknęłaś dość niespodziewanie.

– Miałam powody.

– Na przykład rozpoznanie Luke'a?

– Wiesz, kim on jest?

– Tak.

– A inni?

– Powiedziałem Randomowi – wyjaśniłem. – I Florze.

– Zatem wiedzą wszyscy – stwierdziła. – Wyjechałam szybko i zabrałam Bleysa, ponieważ on byłby następny na liście Luke'a. W końcu to ja usiłowałam zabić jego ojca i prawie mi się udało. Bleys i ja byliśmy najbliższymi krewnymi Branda i zwróciliśmy się przeciw niemu.

Spojrzała przenikliwie na Mandora. Uśmiechnął się.

– Jak rozumiem – oznajmił – w tej chwili Luke pije w barze razem z Kotem, Dodo, Gąsienicą i Białym Królikiem. Rozumiem także, że skoro jego matkę więzicie w Amberze, jest wobec was bezradny.

Przyjrzała mi się z uwagą.

– Rzeczywiście miałeś sporo pracy – stwierdziła.

– Staram się.

– ...Tak że możesz chyba wracać bezpiecznie – dokończył Mandor.

Uśmiechnęła się do niego, po czym znów spojrzała na mnie.

– Twój brat jest dobrze poinformowany – zauważyła.

– On także jest rodziną – odrzekłem. – I przez całe życie pomagamy sobie nawzajem.

– Jego życie czy twoje? – zainteresowała się.

– Moje. Jest starszy.

– Czym jest kilka stuleci w tę czy tamtą stronę? – wtrącił Mandor.

– Miałam wrażenie, że wyczuwam pewną dojrzałość ducha – oświadczyła. – Mam ochotę zaufać ci bardziej, niż początkowo zamierzałam.

– To pięknie z twojej strony – odparł. – I doceniam to uczucie...

– Ale wolałbyś, żebym nie przesadzała?

– Istotnie.

– Nie mam zamiaru wystawiać na próbę twojej lojalności wobec ojczyzny i tronu, zwłaszcza po tak krótkiej znajomości. Sprawa dotyczy i Amberu, i Dworców, ale nie dostrzegam w niej konfliktu.

– Nie wątpię w twoją ostrożność, chciałem tylko jasno przedstawić swoje stanowisko.

Zwróciła się do mnie.

– Merlinie – rzekła. – Myślę, że mnie okłamałeś.

Zmarszczyłem czoło, próbując sobie przypomnieć, przy jakiej okazji mogłem wprowadzić ją w błąd. Pokręciłem głową.

– Jeśli nawet, to nie pamiętam.

– Było to kilka lat temu. Kiedy prosiłam cię, żebyś spróbował przejść Wzorzec swojego ojca.

– Aha... – Czuję, że się rumienię i zastanawiałem się, czy jest to widoczne w tym niezwykle oświetleniu.

– Wykorzystałeś to, co ci powiedziałam o oporze, jaki stawia Wzorzec. Udałeś, że nie pozwala ci postawić na nim stopy. Jednak nie było żadnych widocznych oznak oporu, takich jak wtedy, gdy ja próbowałam tego dokonać.

Przyglądała mi się, jakby czekała na potwierdzenie.

– Co dalej? – spytałem.

– Ta sprawa jest teraz o wiele ważniejsza niż wtedy. Muszę wiedzieć: czy udawałeś?

– Tak.

– Dlaczego?

– Gdybym zrobił choć jeden krok, byłbym zmuszony przejść cały Wzorzec – wyjaśniłem. – Kto wie, dokąd by mnie to doprowadziło i w jakiej sytuacji bym się znalazł? Kończyły mi się wakacje i chciałem wracać do szkoły. Nie miałem czasu na to, co mogło się okazać długą wyprawą. Powiedziałem ci, że mam trudności. Uznałem, że to najlepszy sposób, by się wykręcić.

– Sądzę, że chodziło o coś więcej – oznajmiła.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Sądzę, iż Corwin powiedział ci o Wzorcu coś, czego my nie wiemy... albo zostawił wiadomość.

Uważam, że wiesz więcej, niż mówisz.

Wzruszyłem ramionami.

– Przykro mi, Fiono. Nie odpowiadam za twoje podejrzenia. Żałuję, ale nie mogę ci pomóc.

– Możesz – stwierdziła.

– Powiedz jak.

– Chodź ze mną w to miejsce, gdzie leży nowy Wzorzec. Chcę, żebyś go przeszedł.

Pokręciłem głową.

– Mam o wiele ważniejsze sprawy – odparłem – niż zaspokajanie twojej ciekawości w kwestii tego, co ojciec uczynił całe lata temu.

– To coś więcej niż ciekawość. Mówiłam ci już, co moim zdaniem kryje się za zwiększoną częstością sztormów Cienia.

– A ja podałem ci inne wyjaśnienie i całkiem inne przyczyny. Uważam, że to chwilowe zakłócenia związane z częściowym zniszczeniem i odtworzeniem starego Wzorca.

– Podejdź tutaj – rzuciła, odwróciła się i ruszyła w górę.

Spojrzałem na Mandora, wzruszyłem ramionami i poszedłem za nią. On również. Wspinaliśmy się ku zębatej ścianie skał. Fiona dotarła pierwsza i skręciła na nierówną półkę biegnącą wzdłuż urwiska. Wreszcie stanęła przed rozcinającą skały szeroką, trójkątną szczeliną. Czekwała tam zwrócona do nas plecami, a blask z zielonego nieba wyczyniał niezwykle rzeczy z jej włosami.

Przystanąłem obok i podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem. Na odległej równinie, pod nami i nieco z boku, wirował jak bąk ogromny czarny lej. Był chyba Źródłem tego ryku, który słyszeliśmy. Ziemia pod nim wydawała się popękana. Patrzyłem przez kilka minut, ale lej nie zmienił kształtu ani pozycji.

Odchrząknąłem.

– Wygląda jak wielkie tornado – stwierdziłem. – Nigdzie się nie przesuwa.

– Dlatego właśnie chcę, żebyś przeszedł nowy Wzorzec – odpowiedziała. – Uważam, że nas zniszczy, jeśli my nie będziemy pierwsi.

# Rozdział 3

---

Gdyby ktoś miał wybór między zdolnością wykrywania kłamstwa a zdolnością znajdowania prawdy, co powinien wybrać? Dawno temu sądziłem, że to jedno i to samo, powiedziane na dwa różne sposoby, teraz już w to nie wierzę. Na przykład większość moich krewnych równie sprawnie potrafi rozszyfrować oszustwo, jak je popełnić. Nie jestem pewien, czy w ogóle dbają o prawdę. Z drugiej strony zawsze wyczuwałem, że jest w poszukiwaniu prawdy coś szlachetnego, wyjątkowego... tego właśnie szukałem, budując Ghostwheela. Jednak Mandor skłonił mnie do zastanowienia. Czyżby wszystko to sprawiło, że zacząłem przyciągać to, co jest prawdy przeciwieństwem?

Oczywiście, problem nie jest tak klarowny. Wiem, że nie chodzi o typowy układ albo-albo, z wyłączonym środkiem, ale raczej określenie mojego podejścia. Mimo wszystko, skłonny byłem przyznać, że posunąłem się za daleko – do granic brawury. I że zbyt długo pozwoliłem drzemać pewnym zdolnościom krytycznym. Dlatego zastanowiłem się nad prośbą Fiony.

– Dlaczego jest taki niebezpieczny? – spytałem.

– Chodzi o sztorm Cienia mający formę tornada – odparła.

– Zdarzały się już takie zjawiska.

– To prawda – przyznała. – Ale zwykle się poruszały. Ten ma swoje przedłużenie przez obszar Cienia, ale jest absolutnie stacjonarny. Pojawił się kilka dni temu i od tego czasu nie uległ żadnym zmianom.

– Ile to będzie według czasu Amberu?

– Może pół dnia. Dlaczego pytasz?

Wzruszyłem ramionami.

– Sam nie wiem. Z ciekawości. Wciąż nie rozumiem, dlaczego jest niebezpieczny.

– Mówiłam ci już, że odkąd Corwin wykreślił dodatkowy Wzorzec, takie sztormy zdarzają się coraz częściej. Teraz zmienia się ich charakter, nie tylko częstość występowania. Musimy jak najszybciej zrozumieć ten Wzorzec.

Krótką chwilą namysłu pozwoliła mi pojąć, że ten, kto opanuje Wzorzec taty, stanie się władcą straszliwej mocy. Albo władczynią. Zatem...

– Powiedzmy, że go przejdę – rzekłem. – Co wtedy? Jak zrozumiałem z opowieści taty, zwyczajnie znajdę się w środku, tak jak na Wzorcu w domu. Czego można się z tego dowiedzieć?

Obserwowałem jej twarz, szukając jakichś oznak emocji, jednak moi krewni dostatecznie nad sobą panują, by nie zdradzać się w tak prosty sposób.

– O ile wiem – odparła – Brand potrafił się przeatutować, kiedy Corwin stał na środku.

– Zgadza się.

– ...Więc kiedy dojdiesz do końca, mogę przejść przez Atut do ciebie.

– Przypuszczam, że tak. I wtedy będzie nas dwoje stojących na środku Wzorca.

– ...A stamtąd będziemy mogli przenieść się do dowolnego istniejącego miejsca.

– Czyli gdzie? – zapytałem.

– Do pierwotnego Wzorca, który leży poza tamtym.

– Jesteś pewna, że istnieje coś takiego?

– Musi. Naturą takiego tworu jest, że musi być wykreślony nie tylko na zwykłym, ale na bardziej fundamentalnym poziomie egzystencji.



– A w jakim celu mielibyśmy się udać w takie miejsce?

– Tam właśnie kryją się tajemnice, tam możemy poznać najgłębszą magię.

– Rozumiem. I co potem?

– Tam możemy się dowiedzieć, jak zażegnać problemy, które wywołuje Wzorzec.

– I to wszystko?

Zmrużyła oczy.

– Naturalnie, dowiemy się wszystkiego, co możliwe. Moc to moc, a póki nie zostanie zrozumiana, stanowi zagrożenie.

Wolno kiwnąłem głową.

– Ale w tej chwili w dziale zagrożeń mam kilka bardziej naglących spraw – stwierdziłem. – Ten Wzorzec musi poczekać na swoją kolejkę.

– Nawet jeśli reprezentuje moce potrzebne do rozwiązania innych problemów? – spytała.

– Nawet. Ta sprawa może zająć wiele czasu, a nie sądzę, żebyśmy aż tyle go mieli.

– Ale nie wiesz na pewno...

– To prawda. Jednak gdy, już raz postawię na nim stopę, nie będzie odwrotu.

Nie dodałem, że nie mam najmniejszego zamiaru zabierać jej ze sobą do pierwotnego Wzorca i zostawiać tam samej. Przecież kiedyś próbowała już przejąć władzę. I gdyby Brandowi udało się wtedy zasiąść na tronie Amberu, stałaby przy nim, niezależnie od tego, co mówi dzisiaj. Chciała mnie chyba prosić, żebym przeniósł ją do pierwotnego Wzorca. Zrozumiała jednak, że przemyślałem to już i że odmówię. Nie chcąc tracić twarzy, zrezygnowała i wróciła do wyjściowej argumentacji.

– Sugeruję, żebyś znalazł chwilę czasu – ostrzegła. – Jeśli nie chcesz patrzeć, jak dookoła rozpadają się światy.

– Nie uwierzyłem, kiedy pierwszy raz mi to powiedziałaś. Teraz też ci nie wierzę. Nadal uważam, że te częste sztormy Cienia są rezultatem uszkodzenia i naprawy oryginalnego Wzorca. Sądzę też, że jeśli zaczniemy majstrować przy nowym Wzorcu, o którym nic nie wiemy, ryzykujemy, że pogorszymy tylko sytuację, zamiast ją poprawić...

– Nie chcę przy nim majstrować – odparła. – Chcę zbadać...

Znak Logrusu rozbłysnął nagle między nami. Musiała dostrzec go jakoś albo wyczuć, bo cofnęła się równocześnie ze mną.

Obejrzałem się, absolutnie pewien tego, co zobaczę. Mandor wspiał się na skalną ścianę. Ze wzniesionymi ramionami stanął na szczycie tak nieruchomy, jakby był jej częścią. Pohamowałem odruch, by krzyknąć, żeby się powstrzymał. Wiedział, co robi. Zresztą nie zwróciłby pewnie uwagi na moje krzyki.

Wszedłem w szczelinę, w której zajął pozycję, i spojrzałem na wir ponad splekaną równiną w dole. Poprzez wizerunek Logrusu wyczuwałem mroczny, przerażający prąd mocy, którą odsłonił przede mną Suhuy w swej końcowej lekcji. Mandor przyzywał ją teraz i kierował w sztorm Cienia. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że siła Chaosu, jaką uwalniał, musi się rozszerzać, póki nie pochłonie wszystkiego? Czy nie rozumiał, że jeśli ten sztorm był w istocie manifestacją Chaosu, to własnoręcznie przemieniał go w zjawisko prawdziwie straszne?

Wir rósł. Ryk był coraz głośniejszy. Samo patrzenie budziło lęk.

Za plecami usłyszałem jęk Fiony.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz! – zawołałem.

– Przekonamy się za chwilę – odpowiedział, opuszczając ramiona.

Znak Logrusu zgasł.

Obserwowaliśmy, jak kręci się ten przeklęty wir, coraz większy i głośniejszy.

– Czego to dowodzi? – spytałem wreszcie.

– Że nie masz cierpliwości – odparł.

Zjawisko nie było szczególnie pouczające, ale przyglądałem się mimo to. Nagle huk stał się urywany. Mroczny wir zadygotał i zwarł się, rozrzucając kawałki wessanego do leja gruzu. Po chwili odzyskał swoje poprzednie rozmiary, hałas powrócił do dawnego natężenia i wyrównał się.

– Jak to zrobiłeś! – zapytałem.

– To nie ja – odparł. – Sam się wyregulowałem.

– Nie powinien – stwierdziła Fiona.

– Rzeczywiście – przyznał.

– Chyba się zgubiłem – wtrąciłem.

– Powinien ryczeć dalej, coraz głośniejszy i potężniejszy... kiedy twój brat tak go wzmocnił – wyjaśniła Fiona. – Ale to, co nim steruje, ma chyba inne plany. Stąd ta regulacja.

...I jest to zjawisko pochodzące z Chaosu – mówił dalej Mandor. – Dowodzi tego sposób, w jaki chłonoło z Chaosu energię, gdy tylko stworzyłem taką możliwość. Ale sztorm przekroczył pewną granicę i nastąpiła korekta. Ktoś tam bawi się pierwotnymi mocami. Kto albo co i dlaczego... nie mam pojęcia. To jednak wskazówka, że Wzorzec nie ma z tym nic wspólnego. Nie z takimi grami z Chaosem. Czyli: Merlin miał chyba rację. Myślę, że ta sprawa ma swój początek gdzie indziej.

– No dobrze – ustąpiła Fiona. – Dobrze. Co nam pozostaje?

– Tajemnica – rzekł. – Ale raczej nie bezpośrednie zagrożenie.

Jakaś ledwie widoczna iskierka domysłu błysnęła mi w głowie. Mógł być absolutnie błędny, choć nie z tego powodu postanowiłem zachować go dla siebie. Prowadził bowiem w obszar, którego nie mogłem zbadać natychmiast, a nie lubię dzielić się takimi okruciami rozwiązań. Fiona przyglądała mi się, ale zachowałem obojętny wyraz twarzy. Widząc, że jej sprawa jest beznadziejna, nagle zmieniła temat.

– Mówiłeś, że zostawiłeś Luke'a w dość niezwykłych okolicznościach. Gdzie jest teraz?

Na pewno nie chciałbym jej naprawdę rozzłościć. Ale nie mogłem napuścić jej na Luke'a w jego obecnym stanie. Mogła przecież planować zabicie go jako formę ubezpieczenia na życie. A nie chciałem, aby Luke zginął. Miałem wrażenie, że zachodzi w nim jakaś przemiana, i postanowiłem zostawić mu jak najwięcej czasu. Wciąż byliśmy sobie coś winni, choć trudno było prowadzić dokładne rachunki. Nie można też zapominać o dawnych latach. Według mojej opinii, minie jeszcze sporo czasu, zanim Luke wróci do jako takiej formy. A wtedy miałem zamiar porozmawiać z nim o kilku sprawach.

– Przykro mi – powiedziałem. – W tej chwili on należy do mnie.

– Ja też jestem nim zainteresowana – odparła chłodno.

– Oczywiście – przyznałem. – Ale ja bardziej, a możemy wchodzić sobie w drogę.

– Sama potrafię to ocenić.

– No dobrze. Ma odlot po prochach. Informacje, jakie od niego uzyskasz, mogą być niezwykle barwne, ale też w wysokim stopniu rozczarowujące.

– Jak to się stało?

– Mag imieniem Maska podał mu chyba jakiś narkotyk, kiedy trzymał go w niewoli.

– Gdzie to było? Nie znam żadnego Maski.

– W miejscu zwanym Twierdzą Czterech Światów – wyjaśniłem.

– Sporo czasu minęło, od kiedy ostatni raz słyszałam o Twierdzy – mruknęła. – Panował tam czarodziej, niejaki Sharu Garrul.

– Teraz służy za wieszak – stwierdziłem.

– Co?

– To długa historia. W tej chwili rządzi tam Maska.

Patrzyła na mnie i widziałem, że sobie uświadamia, jak mało wie o ostatnich wypadkach. Moim zdaniem zastanawiała się, które z kilku oczywistych pytań powinna teraz zadać. Postanowiłem zaatakować pierwszy, póki nie odzyskała jeszcze równowagi.

– Jak się czuje Bleys? – zapytałem.

– O wiele lepiej. Sama go leczyłam i szybko wraca do zdrowia.

Miałem właśnie spytać, gdzie jest teraz. Wiedziałem, że odmówi odpowiedzi. Była szansa, że oboje się uśmiechniemy, gdy tylko zrozumie, do czego zmierzam: nie ma adresu Bleysa – nie ma adresu Luke'a. Zachowujemy swoje sekrety i pozostajemy przyjaciółmi.

– Hej! – usłyszałem głos Mandora. Oboje spojrzeliśmy w kierunku, który wskazywał: dalej, poza szczelinę. Ciemny kształt tornada zmalował do połowy swych początkowych rozmiarów i na naszych oczach zmniejszał się nadal. Zapadał się do wnętrza, kurczył i kurczył, aż po mniej więcej trzydziestu sekundach zniknął zupełnie. Nie zdołałem skryć uśmiechu, ale Fiona nawet go nie zauważyła. Patrzyła na Mandora.

– Myślisz, że to z powodu tego, co zrobiłeś? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Ale to całkiem możliwe.

– Czy coś ci to mówi?

– Może temu, kto za to odpowiadał, nie spodobało się, że ingeruję w jego eksperyment.

– Naprawdę wierzysz, że stoi za tym jakaś inteligencja?

– Tak.

– Ktoś z Dworców?

– To chyba bardziej prawdopodobne niż ktoś z waszego końca świata.

– Chyba tak... – przyznała. – Czy domyślasz się tożsamości tej osoby?

Uśmiechnął się.

– Rozumiem – rzuciła pospiesznie. – Wasza sprawa. Ale powszechne zagrożenie jest sprawą nas wszystkich. To właśnie próbowałam wytłumaczyć.

– To prawda – zgodził się. – Dlatego proponuję zbadanie jej. Nie mam chwilowo nic do roboty. Rzecz może się okazać zajmująca.

– Niezręcznie mi prosić o informacje o twoich odkryciach – zaczęła. – Nie wiem, czyje interesy mogą wchodzić w grę...

– Doceniam tę delikatność – odparł. – Jednak, wedle mojej wiedzy, warunki układu są przestrzegane. Nikt w Dworcach nie planuje żadnych działań przeciw Amberowi. Właściwie... Jeśli zechcesz, możemy badać tę sprawę razem, przynajmniej początkowo.

– Mam czas – oświadczyła szybko.

– A ja nie – wtrąciłem. – Mam za to kilka pilnych spraw do załatwienia.

Mandor spojrział na mnie.

– Co do mojej propozycji... – zaczął.

– Nie mogę.

– Jak chcesz. Ale nie skończyliśmy jeszcze rozmowy. Skontaktuję się później.

– Dobrze.

Fiona także zwróciła się w moją stronę.

– Będziesz mnie informował o stanie Luke'a i jego zamiarach – oznajmiła.

– Oczywiście.

– Do zobaczenia więc.

Mandor machnął mi jeszcze na pożegnanie, a ja odpowiedziałem tym samym. Ruszyłem przed siebie, a gdy tylko zniknąłem im z oczu, rozpocząłem przemianę. Znalazłem drogę do skalnego zbocza. Tam zatrzymałem się i wyjąłem Atut Amberu. Uniosłem go, skoncentrowałem się i przeskoczyłem, gdy tylko wyczułem otwarte przejście. Liczyłem, że główny hol będzie pusty, chociaż w tej chwili specjalnie mi na tym nie zależało.

Przeszedłem obok Jasry, która na wyciągniętym ramieniu trzymała dodatkowy płaszcz. Wymknąłem się na pusty korytarz przez drzwi po lewej stronie i dotarłem do tylnych schodów. Kilka razy słyszałem głosy i nadkładałem drogi, by ominąć mówiących. Udało mi się przedostać do moich komnat, nie będąc zauważonym.

Ostatni odpoczynek, który teraz wydawał się oddalony o półtora wieku, to ta piętnastominutowa drzemka, zanim wzmocnione narkotykiem czarodziejskie zdolności Luke'a ściągnęły mnie przez halucynatoryczny Atut do Baru po Drugiej Stronie Lustra. Kiedy? Z tego, co wiem, mogło to być wczoraj – a był to bardzo męczący dzień.

Zaryglowałem drzwi i powlokłem się do łóżka, na które padłem, nie zdejmując nawet butów. Pewnie, powinienem zająć się najrozmaitszymi sprawami, ale nie byłem w stanie. Wróciłem do domu, ponieważ wciąż w Amberze czułem się najbezpieczniej... chociaż Luke już raz mnie tu dosięgnął.

Po tym wszystkim, co ostatnio przeszedłem, ktoś z wysoko wydajną podświadomością mógłby mieć cudowny, tłumaczący wszystko sen. Przebudziłyby się, dysponując całą serią olśnień i rozwiązań, w szczegółach określających jego dalsze działania. Ja nie miałem. Raz obudziłem się trochę przestraszony, nie wiedząc, gdzie jestem. Ale otworzyłem oczy i wyjaśniłem sobie tę kwestię, po czym zasnąłem znowu. Później – mam wrażenie, że dużo później – wracałem do jawy stopniowo, niczym kawałek drewna popychany przez kolejne fale coraz dalej na piasek. Nie miałem ochoty podążać tą drogą aż do przebudzenia, póki nie uświadomiłem sobie, że bołą mnie stopy. Wtedy usiadłem i ściągnąłem buty – była to jedna z sześciu największych rozkoszy mojego życia. Szybko zdjąłem skarpety i rzuciłem je w kąt pokoju. Dlaczego nikt inny w tym fachu nie obciera sobie nóg? Nalałem wody do miski i moczyłem je jakiś czas. Postanowiłem przez najbliższe kilka godzin chodzić boso.

W końcu wstałem, rozebrałem się, umyłem, włożyłem parę lewisów i fioletową, flanelową koszulę, którą lubię.

Niech diabli porwą miecze, sztylety i płaszcze – przynajmniej na jakiś czas. Otworzyłem okiennice i wyrząłem na zewnątrz. Było ciemno. Przez chmury nie widziałem gwiazd i nie miałem pojęcia, czy jest wczesny wieczór, późna noc czy prawie ranek.

W holu panowała cisza. Nic słyszałem żadnych głosów, kiedy tylnymi schodami szedłem na dół. W kuchni nie zastałem nikogo; paleniska były przygaszone i ogień ledwie się tlił. Nie chciałem rozpalać w piecu, powiesiłem tylko kociołek z wodą na herbatę. Znalazłem trochę chleba i konfitur. W chłodni trafiłem też na dzban czegoś, co smakowało jak sok grapefruitowy.

Siedziałem, grzejąc nogi i pozerając z wolna bochenek chleba, gdy nagle zacząłem odczuwać niepokój. Popijając herbatę, uświadomiłem sobie, o co chodzi. Miałem wrażenie, że powinienem teraz coś zrobić, ale zupełnie nie wiedziałem co. Dziwnie się czułem, mając wreszcie chwilę wytchnienia. Uznałem więc, że należy znów się zastanowić. Kiedy skończyłem jedzenie, miałem już kilka planów. Przede wszystkim ruszyłem do głównego holu. Zdjąłem z Jasry wszystkie płaszcze i kapelusze, po czym wzięłem ją pod pachę. Później, kiedy niosłem jej sztywne ciało w stronę moich pokoi, otworzyły się jakieś drzwi i wyrzwał zaspany Droppa.

– Dla mnie dwie takie! – zawołał. – Przypomina mi pierwszą żonę – dodał jeszcze i zamknął

drzwi.

Kiedy ustawiłem ją u siebie, przysunąłem krzesło i usiadłem przed nią. Jaskrawy strój, pewnie część złośliwego żartu, nie krył jej niewątpliwej urody. Raz już zagroziła mi śmiertelnie i nie zamierzałem jej uwalniać w takiej chwili – mogłaby spróbować po raz drugi. Ale rzucone na nią zaklęcie interesowało mnie z wielu powodów. Chciałem dokładnie je przestudiować.

Bardzo ostrożnie zacząłem badać czar, który ją więził. Nie był przesadnie skomplikowany, ale widziałem, że prześledzenie wszystkich jego bocznych ścieżek może chwilę potrwać. Dobrze; nie miałem zamiaru teraz przerywać. Wcisnąłem się głębiej w zaklęcie, po drodze robiąc w pamięci notatki.

Pracowałem przez długie godziny. Kiedy rozwiązałem zaklęcie, postanowiłem dołożyć kilka własnych. W końcu, czasy były ciężkie. Zamek budził się wolno wokół mnie. Pracowałem, a dzień płynął wolno. Wreszcie wszystko było na miejscu, a ja uznałem, że skończyłem. Byłem wygłodzony.

Przesunąłem Jasrę do kąta, wciągnąłem buty, wyszedłem na korytarz i skręciłem do schodów. Miałem wrażenie, że nadeszła pora obiadu, więc sprawdziłem kilka jadalni, gdzie zwykle zasiadała rodzina. Wszystkie były puste, nigdzie nie dostrzegłem przygotowań do posiłku. Nie znalazłem śladów po posiłku niedawno zakończonym.

Możliwe, że wciąż miałem zakłócone poczucie czasu, że było jeszcze za wcześnie lub za późno. Ale dzień trwał już wystarczająco długo, by nastąpiła mniej więcej właściwa pora. Jednak nikt nie siedział przy jedzeniu, więc chyba coś w tym założeniu nie grało...

Wtedy usłyszałem: delikatny brzęk sztućca na talerzu.

Ruszyłem w stronę, skąd dobiegał ten dźwięk. Najwyraźniej obiad podano w miejscu rzadziej wykorzystywanym. Skręciłem w prawo, potem w lewo. Tak, nakryli w bawialni. Nieważne.

Wszedłem do pokoju. Na czerwonej sofie siedziała Llewella, a obok niej Vialle, żona Randoma. Nakrycia leżały na niskim stoliku przed nimi. Michael, który pracował w kuchni, stał obok z wózkiem załadowanym talerzami. Odchrząknąłem.

– Merlin! – zawołała Vialle.

Jej czujność budzi czasem dreszcze – jest przecież całkiem niewidoma.

– Witaj – odezwała się Llewella. – Siadaj z nami. Chętnie posłuchamy, co ostatnio porabiałeś.

Przysunąłem krzesło i usiadłem naprzeciw nich. Podszedł Michael i rozłożył świeże nakrycie. Zastanowiłem się szybko. Wszystko, co usłyszy Vialle, bez wątpienia dotrze do Randoma. Dlatego przedstawiłem im nieco okrojoną wersję ostatnich wypadków, usuwając wszelkie wzmianki o Mandorze, Fionie i odniesienia do Dworców Chaosu. Dzięki temu opowieść była wyraźnie krótsza i szybciej mogłem przystąpić do jedzenia.

– Wszyscy mieli ostatnio tyle zajęć – zauważyła Llewella, kiedy skończyłem. – Czuję się niemal winna.

Obserwowałem delikatną zielenią jej bardziej niż oliwkowej cery, jej pełne wargi i kocie oczy.

– Ale nie całkiem – dodała.

– A w ogóle to gdzie są wszyscy? – spytałem.

– Gerard jest w mieście – odparła. – Sprawdza fortyfikacje portu. Julian dowodzi armią, wyposażoną w część broni palnej i strzegącą podejść do Kolviru.

– To znaczy, że Dalt wyszedł już w pole? Zbliża się?

Pokręciła głową.

– Nie, to tylko środki ostrożności. Z powodu tej informacji od Luke'a. Nikt jeszcze nie widział wojsk Dalta.

– Czy ktoś wie, gdzie może być w tej chwili?

– Też nie. Ale wkrótce spodziewamy się pewnych wiadomości. – Wzruszyła ramionami. – Może Julian już je otrzymał.

– Dlaczego Julian dowodzi? – zapytałem między jednym a drugim kęsem. – Spodziewałem się, że raczej Benedykt obejmie komendę.

Llewella odwróciła głowę i spojrzała na Vialle, która jakby wyczuwała jej wzrok.

– Benedykt z niewielkim oddziałem eskortuje Randoma do Kashfy – wyjaśniła cicho.

– Do Kashfy? – powtórzyłem. – Po co się tam wybrał? Dalt zwykle kręci się wokół miasta i okolica może być niebezpieczna.

Vialle uśmiechnęła się lekko.

– Właśnie dlatego zabrał ze sobą Benedykta i jego gwardię – stwierdziła. – Może nawet oni właśnie mają zbierać dane wywiadowcze, choć nie z tego powodu ruszyli akurat teraz.

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle musieli tam jechać.

Łyknęła wody.

– Niespodziewane zamieszki polityczne – wyjaśniła. – Jakiś generał przejął władzę pod nieobecność królowej i księcia krwi. Generał został ostatnio zamordowany i Randomowi udało się umieścić na tronie własnego kandydata, starszego wiekiem szlachcica.

– Jak tego dokonał?

– Wszystkim zainteresowanym bardziej zależało na tym, by Kashfa została dopuszczona do Złotego Kręgu, co gwarantuje uprzywilejowaną pozycję w handlu.

– Czyli Random kupił ich, aby oddać władzę swojemu człowiekowi – zauważyłem. – Czy traktaty Złotego Kręgu nie dają nam prawa, by praktycznie bez uprzedzenia przeprowadzić wojska przez terytorium partnera?

– Tak – odparła.

Nagle przypomniałem sobie tego twardego z wyglądu emisariusza, którego spotkałem u Krwawego Billa. Płacił rachunek kashfańską walutą. Uznałem, że wolę nie wiedzieć, jak odległe w czasie było nasze spotkanie od zabójstwa tego generała, które umożliwiło zawarcie porozumienia. O wiele silniej poruszyły mnie wynikające stąd wnioski: wyglądało na to, że Random właśnie uniemożliwił Jaszre i Luke'owi odzyskanie zagarniętego tronu – który, uczciwie mówiąc, Jasra sama zagarnęła dawno temu. Wobec tylu zmian u władzy sprawa dziedzictwa była mocno niejasna. Choć jednak normy etyczne Randoma nie były lepsze od ludzi, którzy działali przed nim, to z pewnością nie były gorsze. Gdyby teraz Luke spróbował odzyskać tron matki, sprzeciwił się monarcha mający układ obronny z Amberem. Mogłem się założyć, że traktatowe warunki pomocy wojskowej dopuszczały współdziałanie Amberu podczas zamieszek wewnętrznych, nie tylko podczas zewnętrznej agresji.

Fascynujące. Random wyraźnie próbował odciąć Luke'a od jego zaplecza i uniemożliwić legalne objęcie rządów. Następnym krokiem będzie pewnie skazanie Luke'a jako samozwańca i niebezpiecznego buntownika oraz wyznaczenie ceny za jego głowę. Czy Random przesadzał? Luke nie wydawał się w tej chwili aż tak groźny, zwłaszcza że trzymaliśmy w niewoli jego matkę. Z drugiej strony, właściwie nie miałem pojęcia, jak daleko Random zechce się posunąć. Czy tylko z góry uniemożliwiał wszelkie potencjalnie groźne działania, czy naprawdę rozpoczął polowanie? Ta druga możliwość zaniepokoiła mnie, ponieważ Luke zaczął się zachowywać mniej więcej przyzwoicie i chyba na nowo rozważał swój stosunek do nas. Nie chciałem patrzeć, jak niepotrzebnie rzucają go wilkom na pożarcie w efekcie nazbyt gwałtownej reakcji Randoma.

– Zgaduję, że ma to jakiś związek z Lukiem – zwróciłem się do Vialle.

Milczała przez chwilę.

– To raczej Dalt go martwił – powiedziała w końcu.

W myślach wzruszyłem ramionami. Dla Rando to pewnie jedno i to samo. Uważał Dalta za siłę militarną, za pomocą której Luke zechce odzyskać tron.

– Aha – powiedziałem tylko i wróciłem do jedzenia.

Nie mogły mi podać żadnych dodatkowych faktów ani sugestii, które tłumaczyłyby plany Rando. Rozmawialiśmy więc na obojętne tematy, a ja ponownie rozważyłem swoją sytuację. Wciąż miałem wrażenie, że powinienem podjąć jakieś pilne działanie... i wciąż nie miałem pojęcia, jakie mianowicie. W sposób dość nieoczekiwany plan akcji został przygotowany podczas deseru.

Dworzanin imieniem Randel – wysoki, szczupły, smagły i zwykle uśmiechnięty – pojawił się w drzwiach.

Wiedziałem, że coś się stało, gdyż nie uśmiechał się i poruszył szybciej niż zwykle. Przemknął po nas wzrokiem, spojrzął na Vialle, zbliżył się pospiesznie i odchrząknął.

– Wasza wysokość... – zaczął.

Vialle lekko zwróciła głowę ku niemu.

– Tak, Randelu? – spytała. – O co chodzi?

– Przybyła delegacja z Begmy – odparł. – A ja nie otrzymałem instrukcji co do charakteru powitania i szczegółów organizacyjnych właściwych na tę okazję.

– Ojej! – Vialle odłożyła widelec. – Nie spodziewaliśmy się ich wcześniej niż pojutrze, po powrocie Rando. To jemu chcą się poskarżyć. Co z nimi zrobiłeś?

– Wprowadziłem do Żółtej Komnaty – odparł. – Powiedziałem. Że pójdę zaanonsować ich przybycie.

Skinęła głową.

– Ilu ich jest?

– Przyjechał premier Orkuz, jego sekretarz Nayda, będąca też jego córką. I druga córka, Coral. Jest też czworo służących, dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

– Idź zawiadomić służbę i upewnij się, że przygotowano dla nich odpowiednie kwatery – poleciła.

– Uprzedź kuchnię. Może nie jedli obiadu.

– Oczywiście, wasza wysokość. – zaczął się wycofywać.

– Potem zgłosisz się do mnie w Żółtej Komnacie – dodała. – Udzielę ci dodatkowych instrukcji.

– Twoje polecenia zostaną wypełnione, pani – zapewnił i wyszedł pospiesznie.

– Merlinie, Llewello... – Vialle wstała. – Póki wszystkiego nie zorganizujemy, pomożecie mi bawić gości.

Przełknąłem ostatni kęs deseru i wstałem. Nie miałem szczególnej ochoty na rozmowę z dyplomata i jego świtą, ale byłem pod ręką, a w życiu trzeba czasem wypełniać drobne obowiązki.

– Hm... A tak w ogóle to po co przyjechali? – spytałem.

– Chodzi o jakiś protest w sprawie naszych działań w Kashfie. Ich krajów nigdy nie łączyły przyjazne stosunki, ale nie jestem pewna, czy chcą protestować przeciw możliwemu włączeniu Kashfy do Złotego Kręgu, czy też przeciwko naszemu mieszaniu się w wewnętrzne sprawy tamtych. Może boją się, że ich interesy ucierpią, gdy bliski sąsiad uzyska taką samą uprzywilejowaną pozycję jak oni. A może mieli inne plany co do tronu Kashfy, a my uniemożliwiliśmy ich realizację. Może jedno i drugie. Wszystko jedno... Nie możemy zdradzić im niczego, o czym nie wiemy.

– Chciałem tylko ustalić, jakich tematów unikać.

– Wszystkich powyższych.

– Też o tym myślałam – wtrąciła Llewella. – A także, czy może mają jakieś informacje o Dalcie. Ich służby wywiadowcze z pewnością pilnie uważają na wszystko, co dzieje się w Kashfie i okolicy.

– Nie poruszaj tego tematu – poprosiła Vialle, kierując się do drzwi. – Jeśli coś im się wymknie

lub zechcą coś wyjawić, tym lepiej. Słuchaj uważnie. Ale nie daj poznać, że cię to interesuje.

Vialle ujęła mnie pod ramię. Kierowałem nią w drodze do Żółtej Komnaty. Llewella wyjęła skądś małe lustro, przejrzała się i schowała je, wyraźnie zadowolona.

– Szczęśliwy przypadek sprowadził cię tutaj, Merlinie – zauważyła. – Dodatkowa uśmiechnięta twarz zawsze się przyda w takiej chwili.

– Dlaczego ja nie czuję się szczęściarzem? – mruknąłem.

Dotarliśmy do komnaty, gdzie czekał pierwszy minister z córkami. Służący odeszli już do kuchni na posiłek. Oficjalna delegacja siedziała głodna, co wiele mówi na temat protokołu, zwłaszcza że odpowiednie przybranie tac z jedzeniem zajmuje zwykle sporo czasu. Orkuz był krępy, średniego wzrostu, o czarnych włosach gustownie przyprószonych siwizną. Zmarszczki na jego szerokiej twarzy wskazywały, że o wiele częściej marszczy czoło, niż się uśmiecha, choć w tej chwili zajmował się głównie uśmiechami. Nayda miała ładniej wyrzeźbioną wersję jego twarzy, a choć wykazywała tę samą skłonność do korpulencji, utrzymywała ją na atrakcyjnym poziomie zaokrąglenia. Ona także uśmiechała się często i miała piękne zęby. Coral za to była wyższa od ojca i siostry, szczuplejsza, z rudobrazowymi włosami. Jej uśmiech nie sprawiał tak oficjalnego wrażenia. W dodatku wydawała mi się znajoma. Zastanawiałem się, czy nie spotkałem jej kiedyś, przed laty, na jakimś nudnym przyjęciu. Chociaż gdyby tak, to chyba bym zapamiętał.

Kiedy nas sobie przedstawiono i podano wino, Orkuz wygłosił do Vialle krótką uwagę o "ostatnich niepokojących wieściach" na temat Kashfy. Llewella i ja szybko stanęliśmy przy niej, oferując wsparcie moralne. Vialle jednak stwierdziła tylko, że sprawą tą musi zająć się Random po swoim powrocie. Orkuz zgodził się bez sprzeciwu, a nawet uśmiechnął. Miałem wrażenie, że chce po prostu jak najszybciej poinformować o celu wizyty.

Llewella zaczęła go wypytywać o podróż, a on łaskawie pozwolił zmienić temat. Politycy są cudownie zaprogramowani.

Dowiedziałem się później, że ambasador Begmy nic nie wie o przyjeździe delegacji. Czyli Orkuz podróżował tak szybko, że wyprzedził notę dla ambasady. Nie zadał sobie nawet trudu, by tam zajrzeć, lecz przyjechał wprost do pałacu i wysłał wiadomość. Dowiedziałem się o tym wszystkim, kiedy prosił o jej dostarczenie. Wobec zgrabnych potoków neutralnych wypowiedzi Vialle i Llewelli czułem się tutaj zbędny. Cofnąłem się o krok i zacząłem planować ucieczkę. Jakakolwiek gra się tu toczyła, wcale mnie nie interesowała.

Coral także cofnęła się wzdychając. Potem spojrzała na mnie, uśmiechnęła się, rozejrzała i podeszła.

– Zawsze marzyłam, żeby odwiedzić Amber – oświadczyła.

– Czy jest taki, jakim go sobie wyobrażałaś?

– O tak. Przynajmniej jak dotąd. Oczywiście, wiedziałam bardzo niewiele...

Skinąłem głową i odszedłem dalej od pozostałych.

– Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś? – zapytałem.

– Nie sądzę – odparła. – Nie podróżowałam zbyt często, a nie przypuszczam, żebyś bywał w naszej okolicy. Prawda?

– Tak. Chociaż ostatnio bardzo mnie ona interesuje.

– Wiem, jednak trochę u twoim pochodzeniu – mówiła dalej. – Słyszałam plotki. Wiem, że jesteś z Dworców Chaosu i że uczęszczałeś do szkoły na tym świecie w Cieniu, który wy, Amberyci, tak chętnie odwiedzacie. Często myślałam, jak tam jest.

Chwyciłem przynętę: zacząłem jej opowiadać o szkole i pracy, o kilku miejscach, które odwiedziłem, i rzeczach, które lubiłem robić. W tym czasie przemieściliśmy się na sofę pod ścianą i



usiedliśmy wygodnie. Orkuzowi, Naydzie, Llewelli i Vialle jakoś nas nie brakowało. Jeśli już musiałem tu siedzieć, to przyjemniej było rozmawiać z Coral niż słuchać tamtych. Nie chciałem prowadzić monologu, poprosiłem więc, by opowiedziała coś o sobie.

Zacząła od dzieciństwa spędzonego w Begmie, o swoim zamiłowaniu do koni i żeglowania po rzekach i jeziorach tego regionu, o czytanych książkach i stosunkowo niewinnych eksperymentach z magią. Kobieta ze służby zjawiała się w chwili, gdy Coral zaczęła mi opisywać pewne interesujące rytuały, stosowane przez miejscowe społeczności rolnicze dla zapewnienia urodzaju. Służąca podeszła do Vialle i coś jej przekazała. Kilkoro innych dostrzegłem tuż za drzwiami. Vialle zwróciła się do Orkuza i Naydy, ci przytaknęli i ruszyli do wyjścia. Llewella oderwała się od grupy i zbliżyła do nas.

– Coral – powiedziała. – Twoja komnata jest przygotowana. Pokojówka cię odprowadzi. Może chciałabyś się odświeżyć albo odpocząć po podróży.

Powstaliśmy oboje.

– Nie jestem właściwie zmęczona – oświadczyła Coral. Patrzyła raczej na mnie niż na Llewellę, a cień uśmiechu igrał jej na wargach. Do diabła... Nagle uświadomiłem sobie, że przyjemnie mi w jej towarzystwie. Zatem...

– Jeśli przebierzesz się w coś wygodniejszego – zaproponowałem – chętnie pokażę ci miasto. Albo pałac.

Warto było zobaczyć jej uśmiech.

– To mi bardziej odpowiada – stwierdziła.

– Spotkajmy się więc tutaj za jakieś pół godziny.

Odprowadziłem ją i pozostałych aż do głównych schodów. Wciąż miałem na sobie levisy i fioletową koszulę, więc zastanawiałem się, czy zmienić ubranie na bardziej zgodne z tutejszą modą. Do diabła z tym, uznałem. Mamy tylko pospacerować. Wezmę pas z mieczem, płaszcz i najwygodniejsze buty. Mogę też przystrzyc brodę, skoro mam trochę czasu. I jeszcze szybki manicure...

– Ehm... Merlinie.

To Llewella. Chwyciła mnie za łokieć i pokierowała do wnętrza. Pozwoliłem sobie kierować.

– Tak? – spytałem. – O co chodzi?

– Hm... – mruknęła. – Miła dziewczyna, prawda?

– Chyba tak.

– Masz na nią ochotę?

– Rany, Llewello! Nie wiem. Dopiero ją poznałem.

– ...I umówiłeś się na randkę.

– Daj spokój. Należy mi się odrobina rozrywki. Z Coral przyjemnie się rozmawia. Chętnie pokażę jej okolice. Myślę, że będziemy się dobrze bawić. Co w tym złego?

– Nic – odparła. – Dopóki zachowasz właściwą perspektywę.

– O jaką perspektywę ci chodzi?

– Pomyślałam, że to dość ciekawe... że Orkuz przywiózł swoje dwie przystojne córki.

– Nayda jest jego sekretarzem – przypomniałem. – A Coral już od dawna chciała zobaczyć Amber.

– Aha... i byłoby bardzo wygodne dla Begmy, gdyby jedna z nich złapała członka rodziny.

– Llewello, jesteś potwornie podejrzliwa.

– To dlatego, że żyję już bardzo długo.

– Ja też mam nadzieję na długie życie i wierzę, że nie zacznę się doszukiwać niskich pobudek w każdym ludzkim działaniu.

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Zapomnij, że coś mówiłam – poprosiła wiedząc, że nie zapomnę. – Miłej zabawy.  
Burknąłem coś uprzejmie i ruszyłem do siebie.

## Rozdział 4

---

I tak pośród wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw, intryg, zagrożeń i tajemnic postanowiłem zrobić sobie wakacje i wyjść na spacer z piękną damą. Ze wszystkich możliwości ta wydawała się najbardziej atrakcyjna. Kimkolwiek był nieprzyjaciel, z jakąkolwiek potęgą miałem się zmierzyć, piłka znalazła się teraz po jego stronie kortu. Nie miałem ochoty polować na Jurta, pojedynkować się z Maską ani śledzić Luke'a, póki nie wyląduje i powie, czy wciąż pragnie rodzinnych skalpów. Dalt to nie mój kłopot, Vinta zniknęła, Ghostwheel zamilkł, a Wzorec mojego ojca może poczekać.

Świeciło słońce i wiał lekki wiatr, choć o tej porze roku pogoda mogła się szybko zmienić. Szkoda zmarnować ostatni może ładny dzień w roku na cokolwiek innego niż przyjemności. Podśpiewywałem, szykując się na spotkanie. Zszedłem na dół wcześniej, niż byliśmy umówieni.

Coral była jednak szybsza, niż sądziłem, i już na mnie czekała. Z uznaniem spojrzałem na jej wygodne, ciemnozielone spodnie, grubą koszulę barwy miedzi i ciepły brązowy płaszcz. Buty włożyła odpowiednie na wycieczki, a na głowę wcisnęła zakrywający włosy ciemny kapelusz. U pasa miała sztylet i rękawice.

– Gotowa! – zawołała, kiedy mnie dostrzegła.

– Świetnie – odparłem z uśmiechem i wyprowadziłem ją na korytarz.

Chciała skręcić w kierunku głównej bramy, ale pokierowałem ją w prawo, a potem w lewo.

– Nie zwrócimy niczyjej uwagi, jeśli wykorzystamy boczne wyjścia – wyjaśniłem.

– Widzę, że naprawdę lubicie tajemnice – zauważyła.

– Przyzwyczajenie. Im mniej obcy wiedzą o twoich sprawach, tym lepiej.

– Jacy obcy? Czego się boicie?

– W tej chwili? Całej masy różnych rzeczy. Ale nie chciałbym marnować pięknego dnia na układanie spisów.

Pokręciła głową z wyrazem, który uznałem za połączenie podziwu i niesmaku.

– Więc to prawda, co mówią? – zapytała. – Wasze sprawy są tak skomplikowane, jak stare romanse? I musicie prowadzić notatki?

– Nie miałem ostatnio czasu na żadne romanse – odparłem. – A już zwłaszcza warte zanotowania. Przepraszam – dodałem widząc, że się rumieni. – Moje życie naprawdę się skomplikowało.

– Och – rzuciła, spoglądając na mnie. Wyraźnie czekała, że powiem coś więcej.

– Kiedy indziej. – Zaśmiałem się sztucznie, machnąłem połą płaszcz i zasalutowałem strażnikowi.

Kiwnęła głową i dyplomatycznie zmieniła temat.

– Obawiam się, że pora roku nie jest odpowiednia na zwiedzanie waszych słynnych ogrodów.

– Tak, właściwie nie ma tam teraz czego oglądać... Tylko japoński ogródek Benedykta jest w pewnym sensie opóźniony. Może kiedyś wybierzemy się tam na filiżankę herbaty. Dziś jednak chciałem pokazać ci miasto.

– Nęcąca propozycja – zgodziła się.

Poleciłem wartownikowi przy furtce, by przekazał Hendenowi, szambelanowi Amberu, że wychodzimy do miasta i nie jesteśmy pewni, kiedy wrócimy. Obiecał to zrobić, gdy tylko zejdzie z posterunku, czyli już niedługo.

Doświadczenia z wizyty „U Krwawego Billa” nauczyły mnie, by zostawiać takie wiadomości – nie znaczy to, że obawiałem się jakiegoś niebezpieczeństwa ani że wiedza Llewelli by nie wystarczyła.

Liście szeleściły pod stopami, kiedy szliśmy alejką w stronę bocznej bramy. Słońce świeciło jasno na niebie przesłoniętym tylko kilkoma pasmami cirrusów. Na zachodzie stado czarnych ptaków leciało w stronę oceanu, na południe.

– U nas spadł już śnieg – powiedziała. – Macie szczęście.

– Dociera tu ciepły prąd – wyjaśniłem wspominając, co mówił mi kiedyś Gerard. – Dzięki temu klimat jest wyraźnie łagodniejszy niż w innych okolicach na tej samej szerokości.

– Dużo podróżujesz? – zapytała.

– Więcej, niż mam na to ochotę. Zwłaszcza ostatnio. Chciałbym przynajmniej przez rok posiedzieć w miejscu i wypocząć.

– W interesach czy dla przyjemności? – chciała wiedzieć.

Wartownik wyprowadził nas za bramę i upewnił się szybko, czy nic nam nie grozi.

– Nie dla przyjemności – odparłem. Ująłem ją za łokieć i skierowałem na drogę, którą wybrałem.

Kiedy dotarliśmy do bardziej cywilizowanych okolic, przez pewien czas trzymaliśmy się Głównej Alei. Wskazałem jej kilka ciekawostek i znacześniejszych budynków, w tym ambasadę Begmy. Nie zdradzała jednak chęci, by ją odwiedzić; wspomniała tylko, że przed wyjazdem będzie musiała złożyć swym rodakom oficjalną wizytę.

Zatrzymała się za to w sklepie, jaki znaleźliśmy wkrótce potem. Kupiła parę bluzek; rachunek kazała odesłać do ambasady, a zakupy do pałacu.

– Ojciec obiecał mi wycieczkę po sklepach – wyjaśniła. – A wiem, że o tym zapomni. Kiedy się dowie, zrozumie, że ja pamiętałam.

Obejrzelśmy uliczki różnych rzemieślników i usiedliśmy w przydrożnej kawiarni. Patrzeliśmy na mijających nas pieszych i konnych. Właśnie zacząłem opowiadać jej anegdotę na temat któregoś z jeźdźców, gdy poczułem pierwszy kontakt Atutu. Czekałem kilka sekund i wrażenie stało się silniejsze, ale żadna postać nie nabierała kształtu za przesłaniem. Coral położyła mi dłoń na ramieniu.

– Co się stało? – spytała.

Sięgnąłem myślą, próbując dopomóc w kontakcie, ale tamten jakby się cofał. Wrażenie nie przypominało tej chłodnej obserwacji, gdy Maska przyglądał mi się w mieszkaniu Flory w San Francisco. Może ktoś, kogo znałem, próbował do mnie dotrzeć i miał kłopoty z koncentracją? Może był ranny? Albo...

– Luke – powiedziałem. – Czy to ty?

Ale odpowiedź nie nadeszła i uczucie zaczęło zanikać. Wreszcie odpłynęło.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Coral.

– Tak, wszystko w porządku – odparłem. – Chyba ktoś próbował się ze mną porozumieć, ale zrezygnował.

– Porozumieć? Aha, przez te Atuty, których używacie?

– Tak.

– Ale powiedziałaś "Luke"... – Zastanowiła się. – Nikt z twoich krewnych nie ma na imię...

– Znasz go pewnie jako księcia Rinalda z Kashfy.

Zachichotała.

– Rinny'ego? Pewnie, że znam. Chociaż nie lubił, kiedy wołaliśmy na niego "Rinny".

– Naprawdę znasz? To znaczy osobiście?

– Tak – potwierdziła. – Choć dawno się nie widzieliśmy. Kashfa leży całkiem blisko Begmy. Nasze stosunki są czasem dobre, czasem nie najlepsze. Wiesz, jak to jest. Polityka. Kiedy byłam mała, zdarzały się długie okresy, gdy żyliśmy w bliskiej przyjaźni. Były oficjalne wizyty w obie

strony. Nas, dzieci, często zostawiali gdzieś razem.

– Jaki on wtedy był?

– Taki wysoki, niezgrabny, rudowłosy chłopak... Lubił się popisywać: jaki to jest silny albo szybki. Pamiętam, jak się na mnie rozzłościł, kiedy wyprzedziłam go w biegu.

– Wyprzedziłaś Luke'a?

– Tak. Bardzo dobrze biegam.

– Z pewnością.

– W każdym razie zabierał Naydę i mnie na wycieczki żaglówką albo piesze wyprawy. Co się z nim teraz dzieje?

– Pije z kotem z Cheshire.

– Co?

– To długa historia.

– Chętnie jej wysłucham. Martwię się o niego, odkąd usłyszałam o przewrocie.

Hm... zastanawiałem się pospiesznie, jak zredagować tę opowieść, by córce premiera Begmy nie zdradzić państwowych tajemnic... choćby tej, że Luke jest spokrewniony z rodem Amber. A więc...

– Znam go już od dość dawna – zacząłem. – Ostatnio rozgniewał pewnego czarownika, a ten podał mu narkotyki i odesłał do dziwnego baru...

Mówiłem dość długo, po części dlatego, że musiałem przerwać główny wątek i streścić Lewisa Carrolla. Musiałem też obiecać, że pożyczę jej z pałacowej biblioteki jedno z wydań Alicji w thari. Kiedy wreszcie skończyłem, roześmiała się.

– Dlaczego nie sprowadziłeś go z powrotem? – zapytała.

Oj... Nie mogłem przecież powiedzieć, że póki nie dojdzie do siebie, jego zdolności manipulowania Cieniem na to nie pozwalają.

– To element zaklęcia; działa, czerpiąc z jego własnych czarodziejskich mocy – wyjaśniłem. – Nie można go przenieść, póki narkotyk nie przestanie działać.

– To ciekawe – stwierdziła. – Czy Luke naprawdę jest czarodziejem?

– Ee... tak.

– Jak zdobył te umiejętności? Nie przejawiał ich, kiedy go znałam.

– Czarownicy różnymi metodami dochodzą do swego kunsztu – wyjaśniłem. – Zresztą, sama wiesz o tym.

I nagle uświadomiłem sobie, że jest o wiele sprytniejsza, niż sugerowałaby jej uśmiechnięta, niewinna buzia. Miałem silne wrażenie, że tak kieruje rozmową, bym przyznał, że Luke opanował magię Wzorca. Oczywiście, zdradzałoby to wiele ciekawych rzeczy na temat jego pochodzenia.

– A jego matka, Jasra, też jest czymś w rodzaju czarodziejki.

– Poważnie? Nie wiedziałam o tym. Do licha! Coraz gorzej...

– Widocznie gdzieś się tego nauczyła.

– A co z jego ojcem?

– Trudno mi coś powiedzieć.

– Widziałeś go kiedyś?

– Tylko przelotnie – zapewniłem.

Kłamstwo mogło sprawić, że uzna tę kwestię za naprawdę ważną – wystarczy, że choćby domyśla się prawdy. Dlatego zrobiłem jedyną rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Stolik za Coral był pusty, a za nim już tylko ściana. Poświęciłem jedno z zaklęć; niedostrzegalnie skinąłem dłonią i zamruczałem bezgłośnie.

Stolik przewrócił się, odleciał do tyłu i rozbił o ścianę. Rozległ się spektakularny trzask. Goście

krzyknęli zaskoczeni, a ja zerwałem się z krzesła.

– Nikomu nic się nie stało? – Rozejrzałem się, jakbym wypatrywał ofiar.

– Co to było? – zapytała Coral.

– Jakiś nagły podmuch albo coś w tym rodzaju – odparłem. – Może lepiej ruszajmy stąd.

– Dobrze – zgodziła się, spoglądając na odłamki. – Nie szukam kłopotów.

Rzuciłem na stół kilka monet, wstałem i wyszliśmy na zewnątrz. Przez chwilę mówiłem o wszystkim, co mi wpadło do głowy, byle tylko bezpiecznie oddalić się od tematu. Przyniosło to pożądaný efekt, gdyż nie próbowała powtarzać pytania.

Podczas spaceru kierowałem się generalnie w stronę Zachodniej Winnej. Kiedy tam dotarliśmy, postanowiłem zejść w dół, do portu; zapamiętałem, że lubiła żeglarstwo. Ale chwyciła mnie za rękaw i zatrzymała.

– Przez ścianę Kolviru prowadzą stopnie, prawda? – zapytała. – O ile wiem, twój ojciec próbował kiedyś przeprowadzić tamtędy armię. Wpadł w pułapkę i musiał wywalczyć sobie drogę.

Skinałem głową.

– Tak, to prawda. To stara sprawa. Stopnie pochodzą z dawnych czasów. Dziś mało kto ich używa, ale są całkiem dobrze utrzymane.

– Chciałabym je zobaczyć.

– Dobrze.

Skręciłem w prawo i pomaszerowałem z powrotem pod górę, do Głównej Alei. Minęło nas dwóch rycerzy w barwach Llewelli. Ciekawe, pomyślałem, czy wypełniają jakąś zwyczajną misję, czy też dostali polecenie, żeby mieć mnie na oku. Ta sama myśl musiała przyjść do głowy Coral, gdyż uniosła brew i spojrzała pytająco.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem dalej. Kiedy obejrzałem się po chwili, już ich nie zauważyłem.

Mijaliśmy ludzi w strojach z dziesiątka regionów; ze straganów unosiły się zapachy potraw, mogących zaspokoić dziesiątki gustów. Po drodze zatrzymaliśmy się kilka razy, by spróbować pasztetu, jogurtu, słodyczy.

Pokusa była zbyt silna i tylko wyjątkowo najedzeni mogli się jej oprzeć.

Zauważyłem, jak miękko Coral wymija przeszkody. Nie chodziło tylko o wdzięk, raczej o stan ducha... chyba czujność. Spostrzegłem, że ogląda się w stronę, skąd przyszliśmy. Sam też spojrzałem, ale nie zobaczyłem niczego ciekawego. Raz jakiś człowiek wyszedł nagle z bramy, do której się zbliżaliśmy, błyskawicznie sięgnął do sztyletu u pasa, po czym natychmiast opuścił rękę.

– Jaki tu gwar, jak wiele się dzieje... – zauważyła Coral po chwili.

– Rzeczywiście. Rozumiem, że Begma jest spokojniejsza?

– Zdecydowanie.

– Czy jest tam dość bezpiecznie, by chodzić na spacer?

– O tak.

– Czy nie tylko mężczyźni, ale także kobiety odbywają tam przeszkolenie wojskowe?

– Zwykle nie. Dlaczego pytasz?

– Zwyczajna ciekawość.

– Ale ja pobierałam lekcje walki wręcz i z użyciem broni – dodała.

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Ojciec to wymyślił. Stwierdził, że coś takiego może się przydać krewnym człowieka na wysokim stanowisku. Uznałam, że coś w tym jest. Podejrzewam, że zawsze chciał mieć syna.

– Czy twoja siostra też się tym zajmowała?

- Nie. Jej to nie interesowało.
- Planujesz karierę w dyplomacji?
- Raczej nie. Zwracasz się do niewłaściwej siostry.
- Bogaty mąż?
- Zapewne gruby i nudny.
- Więc co?
- Może później ci powiem.
- Jak chcesz. Zapytam, gdybyś miała zapomnieć.

Szliśmy Aleją coraz dalej na południe. Wiatr dmuchał silniej, w miarę jak zbliżaliśmy się do Krańca Łądu. W dali pojawił się zimowy ocean: ciemnoszary, naznaczony białymi pasami piany. Stada ptaków krążyły ponad falami i jednym bardzo krętym stokiem. Minęliśmy Wielki Łuk i wreszcie stanęliśmy na platformie. Spojrzeliśmy w dół. Widok budził zawroty głowy – szerokie, strome stopnie wzdłuż urwiska sięgającego brunatnoczarnej plaży w dole. Obserwowałem pozostawione przez odpływ ślady na piasku niby zmarszczki na czole starca. Wiatr był tu silniejszy, a wilgotny, słony zapach, coraz wyraźniejszy w miarę zbliżania się do platformy, doprawiał powietrze szczególnie intensywnym aromatem. Coral cofnęła się na chwilę, po czym podeszła znowu.

– Wygląda to trochę groźniej, niż się spodziewałam – wyznała. – Pewnie będzie lepiej, kiedy już na nie wejdziesz.

- Nie wiem – odpowiedziałem.
- Nigdy tędy nie wchodziłeś?
- Nie. Nie miałem powodu.
- Sądziłam, że spróbujesz... skoro twój ojciec przegrał na nich bitwę.

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem sentymentalny w nieco inny sposób.

Uśmiechnęła się.

- Zejdźmy tędy na plażę. Proszę.
- Oczywiście – zgodziłem się.

Ruszyliśmy.

Szerokie schody sprowadziły nas jakieś dziesięć metrów niżej, po czym urwały się nagle w miejscu, gdzie startowała ich o wiele węższa wersja, skręcająca ostro w bok. Przynajmniej stopnie nie były wilgotne ani śliskie.

Daleko w dole poszerzały się znowu tak, że para ludzi mogła iść obok siebie. Na razie jednak schodziliśmy pojedynczo. Zirytowałem się trochę, bo Coral jakoś zdołała mnie wyprzedzić.

- Jeśli się odsuniesz, wyjdę do przodu – powiedziałem.
- Po co?
- Żeby iść przed tobą, gdybyś się poślizgnęła.
- Nie warto – odparła. – Nic mi nie grozi.

Uznałem, że kłótnia nie ma sensu i pozwoliłem jej prowadzić.

Platformy, gdzie linia schodów zawracała, trafiały się dość przypadkowo, wycięte wszędzie tam, gdzie pozwalał na to układ skały. W rezultacie niektóre ciągi stopni były dłuższe od innych i nasza droga prowadziła przez całą szerokość urwiska. Wiatr dmuchał tu silniej niż na górze i odruchowo trzymaliśmy się możliwie blisko ściany. Zresztą nawet bez wiatru robilibyśmy pewnie to samo. Brak jakiegokolwiek poręczy sprawiał, że odsuwaliśmy się od przepaści. Trafiały się miejsca, gdzie skalna ściana tworzyła przewieszki i szliśmy jakby w jaskini. Gdzie indziej przechodziliśmy po wyrzyszeniach i czuliśmy się całkiem odkryci. Nagle podmuchy kilka razy zasłoniły mi oczy połą

plaszcz; zakląłem wspominając, że ludzie rzadko odwiedzają zabytki położone w sąsiedztwie miejsca zamieszkania. Zaczynałem doceniać ich rozsądek. Coral maszerowała w dół i przyspieszyłem kroku, by ją dogonić. Widziałem już platformę oznaczającą pierwszy zwrot trasy. Miałem nadzieję, że zaczeka tam i powie, że zmieniła zdanie co do tej wyprawy. Nic z tego. Zawróciła i szła dalej. Wiatr porwał moje westchnienie i poniósł je do jakiejś baśniowej jaskini, przeznaczonej na skargi przymuszanych.

Przyspieszyłem, kiedy dotarliśmy wreszcie do podestu, od którego schody znów się rozszerzały. Mogliśmy już iść obok siebie. W pośpiechu potknąłem się na samym zakręcie. Nic wielkiego – zdążyłem wyciągnąć rękę i oprzeć się o skałę, kiedy poleciałem w przód. Zdumiało mnie jednak wycucie Coral na zmianę mojego kroku – tylko na podstawie głosu – i jej reakcja. Nagle rzuciła się w tył i obróciła. Równocześnie jej dłonie dotknęły mojego ramienia; pchnęła mnie na bok, przyciskając do skały.

– W porządku! – zawołałem z głębi niemal pustych płuc. – Nic mi się nie stało.

Wstała i otrzepała się.

– Słyszałam... – zaczęła.

– Rozumiem. Ale tylko się potknąłem. To wszystko.

– Skąd miałam wiedzieć?

– Wszystko w porządku. Dziękuję.

Ruszyliśmy dalej ramię w ramię, ale coś się zmieniło. Żywiłem teraz pewne podejrzenie, które wcale mi się nie podobało, ale którego nie mogłem odpędzić. Jeszcze nie. To, o czym myślałem, było bardzo niebezpieczne... gdybym miał rację.

Dlatego...

– W Hiszpanii dżdży, gdy dżdżyste przyjdą dni – oznajmiłem.

– Słucham? – zdziwiła się. – Nie zrozumiałam...

– Powiedziałem, że przyjemnie jest spacerować z piękną damą.

Naprawdę się zarumieniła.

– Ale w jakim języku to powiedziałeś... za pierwszym razem?

– Po angielsku.

– Nie znam go. Mówiłam ci o tym, kiedy wspominałeś o Alicji.

– Wiem. To był taki kaprys – wyjaśniłem.

Plaża, o wiele już bliższa, była ubarwiona w pasy i miejscami błyszcząca. Piana ściekała z niej do morza, a ptaki nurkowały z krzykiem, by zbadać resztki pozostawione przez fale. Na horyzoncie kołysały się żagle, a zasłona deszczu matowiła powierzchnię daleko na południowym wschodzie. Wiatr przycichł, choć podmuchy wciąż atakowały nas z siłą szarpiącą płaszcz.

Schodziliśmy w milczeniu, póki nie stanęliśmy w dole. Przeszliśmy kilka kroków po piasku.

– Port leży w tamtym kierunku. – Wyciągnąłem rękę na zachód. – A tam stoi kościół – dodałem, wskazując ciemny budynek. Tam odbyła się msza pogrzebowa Caine'a i tam przychodzili czasem żeglarze, by modlić się o bezpieczną podróż.

Spojrzała w obie strony, a potem również za siebie i w górę.

– Jacyś ludzie zeszli za nami – zauważyła.

Dostrzegłem trzy postacie niedaleko szczytu schodów. Stały nieruchomo, jakby zeszły tylko kawałek, by podziwiać widoki. Żadna nie nosiła barw Llewelli...

– Też turyści – stwierdziłem.

Przyglądała się im jeszcze przez chwilę, wreszcie odwróciła wzrok.

– Czy nie ma tu w pobliżu jaskiń? – spytała.



Skinąłem głową w prawo.

– Tamtędy. Cały labirynt. Od czasu do czasu ludzie się tam gubią. Niektóre są bardzo malownicze.

Inne pogrążone w ciemności. Kilka to zwykle płytkie zagłębienia.

– Chciałabym je obejrzeć.

– Jasne, żaden problem. Chodźmy.

Ruszyłem. Ludzie na schodach nie drgnęli. Wydawało się, że podziwiają morze. Nie byli chyba przemytnikami. To niezbyt wygodne zajęcie w dzień i w miejscu, gdzie w każdej chwili ktoś może nadejść. Mimo to cieszyłem się, że moja podejrzliwość narasta. Wobec ostatnich wydarzeń była to pożądana cecha. Obiekt moich najsilniejszych podejrzeń szedł naturalnie obok mnie, odwracając czubkiem buta kawałki wyrzuconego przez fale drewna i ze śmiechem kopiąc barwne kamyki... Ale na razie nic nie mogłem na to poradzić. Już wkrótce... Nagle ujęła mnie pod ramię.

– Dziękuję, że mnie zabrałeś – powiedziała. – Podoba mi się ten spacer.

– Och, mnie także. Cieszę się, że wyszliśmy. Nie ma za co.

Wzbudziła we mnie lekkie poczucie winy... Ale przecież nikomu nie stanie się krzywda, gdybym się pomylił.

– Chyba podobałoby mi się życie w Amberze – oznajmiła.

– Mnie też – odparłem. – Nigdy go nie próbowałem przez dłuższy czas.

– Tak?

– Nie mówiłem chyba, ile lat spędziłem na Cieniu – Ziemi, gdzie skończyłem szkołę i miałem pracę, o której ci opowiadałem... – rzekłem i nagle zacząłem wyrzucać z siebie całą autobiografię... czego zwykle unikam.

Z początku nie byłem pewien, skąd ta wylewność, ale zaraz sobie uświadomiłem, że potrzebny był mi ktoś, z kim mógłbym porozmawiać. Jeśli nawet moje niezwykle podejrzenie okaże się prawdą, nic nie szkodzi. Przyjazny z pozoru słuchacz to coś, co od dawna mi się nie przytrafiło. I zanim zdałem sobie z tego sprawę, opowiadałem jej o ojcu... jak ten człowiek, którego prawie nie znałem, przebiegł złożoną historię swych wysiłków, dylematów, decyzji, jakby próbował usprawiedliwić się przede mną, jakby wtedy miał jedyną możliwość, by to uczynić...

I jak słuchałem myśląc, co pomija, o czym zapomina, co może wygładzać czy ozdabiać, jakie żywi uczucia wobec mnie...

– Tam są jaskinie – powiedziałem, przerywając kłopotliwy teraz potok wspomnień. Chciała skomentować jakoś mój monolog, ale ja ciągnąłem dalej: – Widziałem je tylko raz.

Zrozumiała mój nastrój.

– Chciałabym do którejs zająrzeć – stwierdziła tylko.

Skinąłem głową. Jaskinia była odpowiednim miejscem dla tego, co zaplanowałem. Wybrałem trzecią z kolei. Wejście miała większe niż dwie poprzednie i mogłem zajrzeć spory kawałek w głąb.

– Spróbujmy tamtej. Nie jest chyba zbyt ciemna. Weszliśmy w chłodny cień. Mokry piasek towarzyszył nam jeszcze przez chwilę, z wolna ustępując miejsca żwirowi i kamieniom. Strop opadał i wznosił się na przemian. Zakręt w lewo doprowadził nas do korytarza wiodącego chyba do innego wyjścia, gdyż za sobą widzieliśmy więcej światła. Korytarz zagłębiał się coraz dalej. Z miejsca, gdzie stanęliśmy, ciągle było słychać echa pulsu morza.

– Te jaskinie mogą sięgać bardzo głęboko – zauważyła.

– Sięgają – zgodziłem się. – Zakręcają, krzyżują się i zapętłają. Bez mapy i światła wolałbym nie wchodzić zbyt daleko. O ile wiem, nigdy nie zostały dokładnie opisane.

Rozejrzała się, studiując wśród mroku obszary czerni, gdzie boczne tunele łączyły się z naszym.

– Jak myślisz, jak daleko prowadzą te korytarze? – zainteresowała się.

– Nie mam pojęcia.

– Pod sam pałac?

– Prawdopodobnie. – Wspominałem boczne tunele, które mijałem w drodze do Wzorca. – To możliwe, że łączą się gdzieś z wielkimi jaskiniami w podziemiach.

– A jak tam jest?

– Pod pałacem? Rozległe i ciemno. Pradawnie...

– Chciałabym to zobaczyć.

– A po co?

– Tam na dole leży Wzorzec. Musi być niezwykle barwny.

– O tak... jaskrawy i wirujący. Chociaż trochę przeraża.

– Jak możesz tak mówić, skoro go przeszedłeś?

– Przejść a lubić to dwie zupełnie różne rzeczy.

– Myślałam po prostu, że jeśli to przejście tkwiło w tobie od urodzenia, powinieneś czuć jakieś pokrewieństwo, jakiś głęboko rezonujący kontakt z Wzorcem.

Roześmiałem się, a echa powtórzyły ten śmiech.

– Wiesz, kiedy już szedłem, wiedziałem, że to we mnie tkwiło. Ale wcześniej nic takiego nie czułem. Byłem zwyczajnie przestraszony. I nigdy tego nie lubiłem.

– Dziwne.

– Niespecjalnie. Wzorzec jest jak morze albo nocne niebo. Jest wielki, jest potężny i jest. To naturalna moc i możesz ją wykorzystać, jeśli potrafisz.

Spojrzała w głąb korytarza.

– Chciałabym go zobaczyć – oświadczyła.

– Wolałbym nie szukać drogi z tego miejsca – odparłem. – A właściwie czemu ci na tym zależy?

– Chcę sprawdzić, jak zareaguję na coś takiego.

– Naprawdę jesteś niezwykła – stwierdziłem.

– Zaprowadzisz mnie tam, kiedy wrócimy? Pokażesz mi go?

Sytuacja rozwijała się zupełnie inaczej niż przewidywałem. Jeśli Coral była tym, kim myślałem, nie rozumiałem tej prośby. Miałem niemal ochotę zaprowadzić ją do Wzorca i sprawdzić, o co jej chodzi. Jednak moimi działaniami kierował pewien system priorytetów i miałem przeczucie, że ona reprezentuje jeden z nich. A w tej kwestii obiecałem coś sobie i podjąłem pewne złożone przygotowania.

– Może – mruknąłem.

– Proszę. Naprawdę chcę go obejrzeć.

Wydawała się szczerą. Ale mój domysł był niemal pewny. Dość czasu upłynęło, aby ten dziwny, zmieniający ciała duch, który w wielu postaciach podążał moim tropem, znalazł nowego gospodarza i odszukał mnie znowu, by po raz kolejny zdobyć zaufanie. Coral idealnie się nadawała do tej roli – przybyła w odpowiedniej chwili, wyraźnie okazywała troskę o moje fizyczne bezpieczeństwo, miała szybki refleks. Chciałbym ją oszczędzić i wypytać, ale wiedziałem, że wobec braku dowodów czy bezpośredniego zagrożenia będzie kłamać. Dlatego ożywiłem zaklęcie, przygotowane i zawieszony w drodze z Arbor House – zaklęcie, które stworzyłem, by wypchnąć panującą jaźń z ciała nosiciela. Zawahałem się jednak. Żywiłem wobec niej uczucia ambiwalentne. Nawet jeśli była tym duchem, mógłbym ją może tolerować, gdybym poznał jej motyw.

Zatem...

– Czego właściwie chcesz? – zapytałem.

– Tylko popatrzeć. Naprawdę – odpowiedziała.

– Nie o to chodzi. Jeśli jesteś tym, kim myślę, że jesteś, odpowiedz mi na zasadnicze pytanie: dlaczego?

Frakir zaczęła pulsować mi nad dłonią.

Coral milczała przez jeden głęboki oddech.

– Jak odgadłeś? – spytała w końcu.

– Zdradziły cię drobne oznaki, dostrzegalne tylko dla kogoś, kto niedawno zaczął wpadać w paranoję – wyjaśniłem.

– Magia – szepnęła. – To jest magia?

– Za chwilę – stwierdziłem. – Będzie mi cię trochę brakowało, ale nie mógłbym ci zaufać.

Wymówiłem sterujące słowa zaklęcia i pozwoliłem, by gładko przesunęły moimi dłońmi przez właściwe gesty. Rozległy się dwa przerażające wrzaski, a zaraz po nich trzeci. Ale to nie Coral krzyczała. Dobiegały zza zakrętu korytarza, który niedawno porzuciliśmy.

– Co...? – zaczęła.

– ...do diabła! – dokończyłem, minąłem ją i wbiegłem za zakręt, wyciągając po drodze miecz.

Zobaczyłem na ziemi trzech ludzi, oświetlonych blaskiem padającym z dalekiego wejścia. Dwaj leżeli nieruchomo, trzeci siedział zgięty wpół. Przeklinał głośno. Podszedłem wolno, kierując ostrze w stronę siedzącego. Odwrócił głowę i podniósł się, wciąż pochylony do przodu. Ścisnął prawą dłonią lewą i cofał się, aż dotknął plecami ściany. Tam stanął, mruczając coś, czego nie rozumiałem. Nadal zbliżałem się ostrożnie, wyęzając wszystkie zmysły. Słyszałem za plecami kroki Coral, potem korytarz się poszerzył i dostrzegłem ją kątem oka po lewej stronie. Wyciągnęła sztylet i trzymała go nisko, przy biodrze. Nie warto się było zastanawiać, jak podziałało na nią moje zaklęcie.

Zatrzymałem się przy pierwszym z leżących. Trąciłem go czubkiem buta, gotów do ciosu, gdyby rzucił się do ataku. Nic. Leżał bezwładnie, bez życia. Nogą odwróciłem go na plecy, a wtedy głowa potoczyła się w kierunku wyjścia z jaskini. Kiedy padło na nią światło, zobaczyłem na wpół przegniłą ludzką twarz. Od kilku chwil nos informował mnie, że to nie iluzja. Podszedłem do drugiego. On także wyglądał jak rozkładający się trup. Pierwszy ścisnął w prawej dłoni sztylet, ale drugi był bezbronny. Natychmiast jednak zauważyłem drugi sztylet na ziemi, u stóp stojącego pod ścianą mężczyzny. Spojrzałem na niego. To wszystko nie miało sensu. Według mojej oceny, tych dwóch na ziemi było martwych przynajmniej od kilku dni i nie miałem pojęcia, co planował żywy człowiek.

– Ehm... możesz mi wytłumaczyć, o co chodzi? – spytałem.

– Bądź przeklęty, Merlinie – warknął, a ja rozpoznałem głos.

Przesuwałem się wolno, po łuku, przestępując nad zwłokami. Coral szła przy moim boku, czujna i ostrożna. Odwrócił głowę, śledząc nasze poruszenia, aż wreszcie światło padło na jego twarz. Wtedy zobaczyłem: Jurt patrzył na mnie ze złością swym zdrowym okiem; drugie zasłaniała opaska. Zobaczyłem również, że brakuje mu prawie połowy włosów, że odsłoniętą skórę czaszki pokrywają szramy czy blizny i nic nie zakrywa odrastającego ucha. Dostrzegłem też, że bandana, która pewnie zasłaniała te rany, zsunęła się na szyję. Krew ściekała mu z lewej dłoni i nagle spostrzegłem, że nie ma małego palca.

– Co ci się stało? – spytałem.

– Padając, jeden z zombich trafił mnie sztyletem w rękę – odparł. – Kiedy odpędziłeś duchy, które ich ożywiały.

Moje zaklęcie, by wygnać ducha władającego ciałem.. Znaleźli się w jego zasięgu...

– Coral – rzuciłem. – Nic ci się nie stało?

– Nie – zapewniła. – Ale nie rozumiem...

– Potem – przerwałem jej.

Nie zapytałem go o stan głowy, gdyż przypomniałem sobie starcie z jednookim wilkołakiem w lesie, na wschód od Amberu – wepchnąłem wtedy łeb bestii do ogniska. Już od pewnego czasu podejrzewałem, że był to Jurt w odmienionej postaci – zanim jeszcze Mandor dostarczył mi informacji, które to potwierdziły.

– Jurt – zacząłem. – Byłem bezpośrednią przyczyną wielu twoich krzywd, ale musisz zrozumieć, że sam je na siebie sprowadziłeś. Gdybyś mnie nie atakował, nie musiałbym się bronić...

Rozległ się trzeszczący, ostry dźwięk. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to zgrzytanie zębów.

– Moja adopcja przez twojego ojca nic dla mnie nie znaczy – zapewniłem. – Tyle tylko, że uczynił mi zaszczyt. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że to zrobił.

– Kłamiesz! – syknął. – Oszukałeś go jakoś, żeby wyprzedzić nas w sukcesji.

– Chyba żartujesz. Wszyscy jesteśmy tak daleko na liście, że to bez znaczenia.

– Nie do Korony, durniu! Chodzi o ród. Nasz ojciec nie czuje się aż tak dobrze!

– Przykro mi to słyszeć. Ale nigdy tak o tym nie myślałem. Zresztą Mandor i tak wyprzedza nas wszystkich.

– A teraz ty jesteś drugi.

– Nie z wyboru. Daj spokój! Nigdy nie doczekam tytułu. Wiesz o tym! Wyprostował się i wtedy dostrzegłem delikatną, pryzmatyczną aureolę, otaczającą jego sylwetkę.

– To nie jest prawdziwa przyczyna – mówiłem dalej. – Nigdy mnie nie lubiłeś, ale nie z powodu dziedziczenia chcesz mnie zabić. Coś ukrywasz. Biorąc pod uwagę wszystkie twoje działania, to musi być coś innego. Przy okazji, czy to ty wysłałeś Ognistego Anioła?

– Tak szybko cię znalazł? – zdziwił się. – Nie byłem pewien, czy mogę na to liczyć. Chyba jednak wart był swojej ceny. Ale... Co się z nim stało?

– Nie żyje.

– Masz szczęście. Za wiele szczęścia – stwierdził.

– O co ci właściwie chodzi, Jurt? Chciałbym załatwić tę sprawę raz na zawsze.

– Ja też – odparł. – Zdradziłeś kogoś, kogo kocham, i tylko twoja śmierć wyrówna rachunki.

– O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

Uśmiechnął się nagle.

– Zrozumiesz – obiecał. – W ostatniej chwili twego życia powiem ci, dlaczego.

– Będę musiał długo czekać. Nie jesteś dobry w takich sprawach. Dlaczego nie powiesz mi teraz, obu nam oszczędzając kłopotów?

Zaśmiał się, a pryzmatyczny poblask nabrał siły. W tym momencie domyśliłem się, co to jest.

– Krócej, niż myślisz – oświadczył. – Gdyż wkrótce stanę się potężniejszy niż wszystko, co do tej pory spotkałeś.

– Ale nie mniej niezręczny – powiedziałem do niego i do osoby, która trzymała Atut, gotowa porwać go w jednej chwili...

– To ty, Masko. Prawda? – zapytałem. – Zabierz go stąd. I nie musisz go więcej przysyłać, żeby patrzeć, jak znowu psuje robotę. Przesuwam cię na liście moich priorytetów i wkrótce wpadnę z wizytą. Upewnij mnie tylko, że to naprawdę ty.

Jurt otworzył usta i powiedział coś. Nie usłyszałem, ponieważ rozwiął się szybko, a wraz z nim jego słowa. Równocześnie coś poleciało w moją stronę; nie musiałem tego odbijać, ale nie zdołałem powstrzymać odruchowej reakcji.

Obok dwóch gnijących trupów i małego palca Jurta, tuzin róż leżał rozrzucony na kamieniach, na samym końcu łączy.



# Rozdział 5

---

Szliśmy wzdłuż plaży w stronę portu, gdy Coral odezwała się w końcu:

– Czy takie rzeczy często się tu zdarzają?

– Powinnaś nas odwiedzić w jakiś naprawdę zły dzień – odparłem.

– Jeśli możesz mi to zdradzić, chciałabym wiedzieć o co chodziło.

– Chyba jestem ci winien wyjaśnienie – zgodziłem się. – Ponieważ niesprawiedliwie cię oceniłem, choć może o tym nie wiesz.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Mów dalej. Jestem naprawdę ciekawa.

– To długa historia... – zacząłem znowu.

Spojrzała przed siebie, na port, a potem na wysoki szczyt Kolviru.

– ...I długi spacer – stwierdziła.

– ...A ty jesteś córką pierwszego ministra kraju, z którym nasze stosunki są w tej chwili nieco napięte.

– O co ci chodzi?

– Niektóre z wyjaśnień mogą być informacją dość delikatną.

Położyła mi dłoń na ramieniu i zatrzymała się. Popatrzyła mi w oczy.

– Potrafię dochować tajemnicy – zapewniła. – W końcu ty znasz moją.

Pogratulowałem sobie poznania w końcu rodzinnej sztuczki panowania nad wyrazem twarzy, nawet kiedy człowiek jest zdziwiony jak diabli. Powiedziała coś w jaskini, kiedy zwróciłem się do niej, jakby była tym duchem.. Coś, co sugerowało, że jej zdaniem odkryłem jej sekret.

Uśmiechnąłem się krzywo i kiwnąłem głową.

– No właśnie – mruknąłem.

– Nie planujecie chyba splądrowania naszego kraju czy czegoś w tym rodzaju? – spytała.

– O ile wiem, nie. To raczej mało prawdopodobne.

– Sam widzisz. Możesz mówić tylko o tym, co wiesz, prawda?

– Rzeczywiście – zgodziłem się.

– Więc mogę wysłuchać tej historii.

– Dobrze.

Szliśmy po piasku, a ja mówiłem przy akompaniamencie głębokiego szumu fal. Raz jeszcze wspomniałem długą opowieść ojca. Czy to cecha rodzinna, myślałem, że jeśli tylko w trudnym okresie trafi się odpowiedni słuchacz, natychmiast streszczamy swoją biografię? Uświadomiłem sobie bowiem, że rozwijam swoją historię ponad konieczność. Zresztą, dlaczego właściwie ona ma być tą odpowiednią słuchaczką?

Kiedy dotarliśmy w okolice portu, poczułem, że jestem głodny. Miałem też jeszcze sporo do opowiadania. Trwał dzień i bez wątpienia okolica była mniej niebezpieczna, niż kiedy zjawiłem się tu nocą. Dlatego skręciłem w Drogę Portową, w dziennym świetle jeszcze brudniejszą niż wtedy. Coral także zgłodniała, więc poszliśmy wokół zatoki. Zatrzymaliśmy się na kilka minut, by popatrzeć, jak wielomasztowe okręty o złocistych żaglach mijają falochron i wpływają do portu. Potem ruszyliśmy krętą drogą na zachodni brzeg, gdzie bez kłopotu odszukałem Zaulek Morskiej Bryzy. Było jeszcze dość wcześnie i minęliśmy kilku trzeźwych marynarzy. W pewnej chwili potężny,

czarnobrody mężczyzna z interesującą blizną na prawym policzku ruszył w naszą stronę, ale drugi, niższy, dogonił go szybko i szepnął coś do ucha. Obaj zawrócili.

– Hej! – zawołałem. – Czego on chciał?

– Niczego – odparł niski. – On niczego nie chce. – Przyglądał mi się z uwagą, wreszcie skinął głową. – Widziałem cię tamtej nocy.

– Aha – mruknąłem, a oni dotarli do rogu, skręcili i zniknęli.

– O co im chodziło? – zapytała Coral.

– Nie doszedłem jeszcze do tej części opowiadania. Jednak pamiętałem wszystko wyraźnie, gdy mijaliśmy miejsce, gdzie to się wydarzyło. Nie pozostały żadne ślady po bójce.

Niewiele brakowało, a minąłbym "U Krwawego Billa", ponieważ nad wejściem wisiał nowy szyld. "U Krwawego Andy'ego" głosiły świeżo wymalowane, zielone litery. Lokal wewnątrz wyglądał zupełnie tak samo, z wyjątkiem człowieka za ladą, wyższego i chudszego niż ten zarośnięty, szorstki osobnik, który obsługiwał mnie poprzednio. Obecny, jak się dowiedziałem, miał na imię Jak i był bratem Andy'ego. Sprzedał nam butelkę Szczyn Bayle'a, a nasze zamówienia przekazał przez dziurę w ścianie. Mój dawny stolik był wolny, więc usiedliśmy przy nim. Na stołku z prawej strony położyłem pas z mieczem, częściowo wyciągniętym z pochwy... zapamiętałem wymogi tutejszej etykiety.

– Podoba mi się to miejsce – oznajmiła Coral. – Jest... inne.

– A tak – zgodziłem się, spoglądając na dwóch śpiących pijaków, jednego przy wejściu, drugiego na tyłach lokalu, i trójkę osobników o nerwowych oczach, przyciszonymi głosami rozmawiających w kącie. Na podłodze zauważyłem kilka potłuczonych butelek i jakieś podejrzanym plamy, na ścianie zaś wisiał niezbyt subtelny obraz miłosnej natury. – Jedzenie podają niezłe – dodałem.

– Nigdy jeszcze nie byłam w takiej restauracji – mówiła dalej, obserwując czarnego kota, który wytoczył się z zaplecza, zajęty zapasami z gigantycznym szczurem.

– Ma swoich wielbicieli, ale smakosze trzymają jej istnienie w tajemnicy.

Kontynuowałem swoją opowieść podczas posiłku, jeszcze lepszego niż ostatnio. Kiedy o wiele później otworzyły się drzwi, przepuszczając kulejącego niskiego człowieczka z brudnym bandażem na głowie, zauważyłem, że zapada mrok. Właśnie skończyłem mówić i nadeszła chyba odpowiednia chwila, by wyjść.

Powiedziałem to, a ona położyła mi rękę na dłoni.

– Wiesz, że nie jestem twoim duchem – powiedziała. – Ale jeśli tylko zdołam ci pomóc, zrobię to.

– Jesteś dobrą słuchaczką – odparłem. – Dziękuję. Lepiej już chodźmy.

Bez wypadków opuściliśmy Aleję Śmierci i Drogą Portową dotarliśmy do Winnej. Słońce szykowało się już do zachodu, kiedy maszerowaliśmy pod górę; kamienie bruku zmieniały kolory od brunatnego po płomienne. Ulice pustoszały. W powietrzu unosiły się zapachy jedzenia, liście szeleściły pod stopami. Mały żółty smok szybował w prądach powietrznych nad nami, a zasłony tęczowego blasku falowały daleko na północy, za pałacem. Czekałem, spodziewając się od Coral więcej pytań niż tych kilka, które dotąd zadała. Nie nadchodziły. Gdybym sam właśnie wysłuchał swej opowieści, miałbym pewnie mnóstwo pytań... chyba że bez reszty by mną wstrząsnęła albo w jakiś sposób zrozumiałbym ją dogłębnie.

– Kiedy wrócimy do pałacu... – zaczęła po chwili.

– Tak?

– ...zaprowadzisz mnie do Wzorca, prawda?

Roześmiałem się. Chyba że zajmie mnie coś innego.

– Natychmiast? Gdy tylko przekroczymy próg? – spytałem.

– Tak.

– Jasne.

Przestała się martwić.

– Twoja historia zmienia mój obraz świata – stwierdziła. – Nie mam podstaw, by ci doradzać...

– Ale...

– ...Mam wrażenie, że Twierdza Czterech Światów skrywa wszelkie potrzebne ci odpowiedzi.

Wszystko inne powinno się rozwiązać, jeśli tylko odkryjesz, co się tam dzieje. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie możesz narysować jej karty i przeatutować się.

– Dobrze pytanie. Do pewnych części Dworców Chaosu nikt nie może się przeatutować, ponieważ zmieniają się bez przerwy i nie można ich przedstawić w sposób trwały. To samo dotyczy miejsca, gdzie umieściłem Ghostwheela. Obszar wokół Twierdzy ulega znacznym przemianom, ale nie sądzę, by to było przyczyną blokady.

To miejsce jest ośrodkiem mocy i podejrzewam, że ktoś przelał jej część w zakłęcie obronne. Dobry mag mógłby pewnie przebić je Atutem, ale mam przeczucie, że niezbędna energia uruchomiłaby jakiś psychiczny alarm. Straciłbym element zaskoczenia.

– A jak wygląda to miejsce? – spytała.

– No... – mruknąłem. – Popatrz. – Z kieszeni koszuli wyjąłem notes i mazak. Zacząłem rysować. –

Widzisz, tutaj leży obszar wulkaniczny. – Naszkicowałem parę kraterów i smugi dymu. – Ta część jest w epoce lodowcowej. – Następne zygzaki. – Tutaj ocean, tu góry...

– Chyba najprościej byłoby skorzystać z Wzorca – stwierdziła, wpatrując się w szkice i kręcąc głową.

– Tak.

– Szybko tego spróbujesz?

– Możliwe.

– Jak ich zaatakujesz?

– Pracuję nad tym.

– Czy mogłabym ci jakoś pomóc? Pytam poważnie.

– Nie mogłabyś.

– Nie bądź taki pewien. Dużo ćwiczyłam, jestem pomysłowa, znam nawet kilka zakłéc.

– Dzięki – mruknąłem. – Ale nie.

– Żadnych dyskusji?

– Żadnych.

– Gdybyś zmienił zdanie...

– Nie zmienię.

– ...Daj mi znać.

Dotarliśmy do Alei i ruszyliśmy wzdłuż niej. Wiatr był tu bardziej porywisty i coś zimnego dotknęło mi policzka. Potem znowu...

– Śnieg! – zawołała Coral. Kilka średnich rozmiarów płatków szybowało w powietrzu. Znikały, gdy tylko dotknęły chodnika.

– Gdyby wasza delegacja zjawiała się we właściwym czasie – zauważyłem – pewnie nie poszlibyśmy na spacer.

– Czasami mam szczęście – odparła.

Śnieg padał już gęsto, gdy dotarliśmy na tereny pałacowe. Znowu skorzystaliśmy z bocznej furtki. Przystanęliśmy w alejce, by spojrzeć na miasto nakrapiane światłami latarni, przesłaniane śniegiem. Widziałem, że przygląda się dłużej ode mnie, gdyż popatrzyłem na nią.



Wydawała się... chyba szczęśliwa, jakby wklejała tę scenę do albumu pamięci. Pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek – uznałem, że to dobry pomysł.

– Och – powiedziała, zwracając ku mnie twarz. – Zaskoczyłeś mnie.

– To dobrze. Nie lubię uprzedzać o takich rzeczach. Uciekajmy z tego mrozu.

Z uśmiechem wzięła mnie pod rękę.

Zatrzymał nas strażnik.

– Księżę, pani Llewella chce wiedzieć, czy zjawicie się na kolacji – poinformował.

– A kiedy będzie kolacja? – spytałem.

– O ile wiem, za jakieś półtorej godziny.

Zerknąłem na Coral. Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak – powiedziałem.

– Jadalnia od frontu, na górze – poinformował. – Czy mam powiadomić sierżanta... wkrótce powinien tu być... żeby przekazał wiadomość? Czy raczej...

– Tak – zgodziłem się. – Tak będzie najlepiej.

– Chcesz się umyć, przebrać... ? – zacząłem, kiedy oddaliliśmy się od posterunku.

– Wzorzec – odparła.

– To wiąże się z jeszcze dłuższymi schodami.

Odwróciła się do mnie, zaciskając wargi, ale spostrzegła, że się uśmiecham.

– Tędy. – Poprowadziłem ją przez główny hol.

Nie znałem strażnika na końcu krótkiego korytarza, wiodącego do schodów. On jednak wiedział, kim jestem, spojrział z zaciekawieniem na Coral, otworzył drzwi, znalazł i zapalił latarnię.

– Podobno jeden stopień się rusza – oznajmił, wręczając mi lampę.

– Który?

Pokręcił głową.

– Księżę Gerard mówił o tym kilka razy, ale nikt prócz niego tego nie zauważył.

– W porządku – mruknąłem. – Dziękuję.

Tym razem Coral nie sprzeciwiała się, bym szedł pierwszy. Z dwóch dróg ta budziła większy lęk niż stopnie na ścianie urwiska. Głównie dlatego, że tutaj człowiek nie widział dna, a po kilku krokach nie widział już niczego – jedynie muszlę blasku, w której się poruszał, schodząc dookoła coraz niżej. A przy tym wyczuwa się tu ogromną przestrzeń. Nigdy nie oglądałem tego miejsca w pełnym świetle, ale domyślam się, że nie jest to mylne wrażenie. To gigantyczna jaskinia. Schodzi się wkoło samym środkiem, myśląc tylko, kiedy się dotrze do dna. Po dłuższej chwili Coral odchrząknęła.

– Możemy zatrzymać się na minutkę? – spytała.

– Pewnie. – Stałem. – Tchu ci brakło?

– Nie. Daleko jeszcze?

– Nie wiem. Za każdym razem, kiedy tu schodzę, mam wrażenie, że odległość jest inna. Jeśli wolisz wrócić i pójść na kolację, możemy odłożyć Wzorzec na jutro. Miałaś ciężki dzień.

– Nie. Ale nie miałabym nic przeciw temu, żebyś objął mnie na chwilę.

Miejsce było niezbyt odpowiednie na romantyczne gesty, domyśliłem się więc, że istnieją, jakieś inne przyczyny. Bez słowa spełniłem jej życzenie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że Coral płacze. Doskonale to ukrywała.

– Co się stało? – spytałem wreszcie.

– Nic – odparła. – Może nerwowa reakcja. Prymitywny odruch. Klaustrofobia. Albo coś takiego.

– Wracajmy.

– Nie.

Ruszyliśmy więc dalej.

Mniej więcej pół minuty później zauważyłem coś białego z boku stopnia poniżej. Zwolniłem. Potem dostrzegłem, że to tylko chusteczka. Jeszcze kawałek dalej zobaczyłem, że jest przybita sztyletem. Były na niej jakieś znaki. Zatrzymałem się, podniosłem ją i rozprostowałem.

TO TEN, DO DIABŁA. GERARD, odczytałem.

– Ostrożnie – uprzedziłem Coral.

Chciałem przeskoczyć stopień, ale pod wpływem nagłego impulsu przycisnąłem go lekko jedną stopą. Żadnego trzeszczenia. Przeniosłem ciężar ciała. Nic. Stałem obiema nogami. To samo.

Wzruszyłem ramionami.

– Wszystko jedno. Uważaj – rzuciłem.

Nic się nie stało, gdy ona stanęła na stopniu. Szliśmy dalej. Po chwili dostrzegłem daleko w dole błysk światła. Poruszał się, więc pomyślałem, że ktoś wyruszył na obchód. Po co?, zastanawiałem się. Czy byli tam jacyś więźniowie, których trzeba karmić i pilnować? Czy pewne korytarze uważano za miejsca niepewne? A co z tym zamykaniem sali Wzorca i wieszaniem klucza na haku obok drzwi? Czyżby stamtąd mogło nadciągnąć niebezpieczeństwo? Jakie? W jaki sposób? Postanowiłem w najbliższych dniach poszukać odpowiedzi na te pytania.

Kiedy jednak stanęliśmy na dole, wartownika nigdzie nie było widać. Kilka latarni oświetlało stół, półki i parę szafek, które tworzyły wartownię, ale strażnik opuścił posterunek. Szkoda. Chętnie dowiedziałbym się, jakie otrzymał rozkazy na wypadek zagrożenia – być może wyjaśniały one także charakter groźby. Po raz pierwszy jednak zauważyłem sznur zwisający z ciemności w cień obok stojaka z bronią. Pociągnąłem bardzo delikatnie; poddał się, a po chwili usłyszałem z wysoka słaby, metaliczny dźwięk. Ciekawe. Najwyraźniej rodzaj dzwonka alarmowego.

– Którędy? – zapytała Coral.

– Chodźmy. – Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem na prawo.

Czekałem na echa naszych kroków, ale nic nie usłyszałem. Od czasu do czasu wznosiłem latarnię. Ciemność cofała się wtedy odrobinę, ale niczego nie widziałem na dodatkowo oświetlonej powierzchni. Coral zwalniała kroku, a ja wyczuwałem jej napięcie, gdy zostawała z tyłu. Szedłem jednak dalej, a ona za mną.

– To już niedaleko – stwierdziłem w końcu, gdy rozległy się bardzo słabe echa.

– To dobrze – odparła, ale nie przyspieszyła kroku.

Wreszcie w polu widzenia pojawiła się szara ściana grotu, a daleko po lewej stronie ciemny otwór tunelu, którego szukałem. Zmieniłem kurs i ruszyłem w tamtą stronę. Kiedy zagłębiliśmy się w korytarz, poczułem, że Coral zadrżała.

– Gdybym wiedział, że tak to na ciebie wpłynie... – zacząłem.

– Naprawdę nic mi nie jest – zapewniła. – I chcę go zobaczyć. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że droga będzie taka... skomplikowana.

– Najgorsze za nami, już niedługo.

Dość szybko minęliśmy pierwsze przejście z lewej. Następne było zaraz potem; zwolniłem i skierowałem światło latarni w głąb tunelu.

– Kto wie – powiedziałem. – Może tutaj zaczyna się jakaś niezwykła trasa z powrotem na plażę.

– Wolalabym raczej nie sprawdzać.

Szliśmy spory kawałek do trzeciego korytarza. Rzuciłem tam okiem. W głębi biegła żyła jakiegoś błyszczącego minerału. Przyspieszyłem, a Coral dotrzymywała mi tempa. Nasze kroki rozbrzmiewały teraz głośno. Minęliśmy czwarty korytarz. Piąty... Zdawało mi się, że skądś dobiegają ciche strzępki

muzyki.

Spojrzała na mnie pytająco, kiedy zbliżyliśmy się do szóstego przejścia, ale nie zwalniałem. Czekałem na siódme, a gdy się w końcu pojawiło, skręciłem i po kilku krokach uniosłem latarnię. Staliśmy przed wielkimi, okutymi żelazem drzwiami.

Zdjąłem klucz z haka w ścianie po prawej, wsunąłem w zamek, przekręciłem i odwiesiłem na miejsce. Oparłem się ramieniem o drzwi i pchnąłem mocno. Wyczułem chwilowy opór, potem powolny ruch, któremu przez moment towarzyszył zgrzyt zawiasu. Frakir ścisnęła mi rękę, ale pchałem dalej, aż wejście stanęło otworem.

Wtedy odsunąłem się i przepuściłem Coral. Minęła mnie, weszła na kilka kroków do tej niezwyklej komory i zatrzymała się. Odstąpiłem, a drzwi zatrzasnęły się za nami.

– Więc to jest on – szepnęła.

W przybliżeniu eliptyczny, złożony rysunek Wzorca lśnił na podłodze białoniebieskim światłem. Odstawiłem na bok latarnię. Nie była tu potrzebna – blask Wzorca zapewniał dostateczne oświetlenie. Poglądziłem Frakir, by ją uspokoić. Fontanna iskier strzeliła na drugim końcu rysunku, zgąsła, pojawiła się znowu bliżej nas. Miałem uczucie, że komorę wypełnia na wpół znajome pulsowanie, którego nigdy wcześniej świadomie nie spostrzegłem.

Odruchowo, by zaspokoić dręczącą mnie od dawna ciekawość, przywołałem Znak Logrusu. To był błąd.

Gdy tylko rozbłysnął przede mną, wzdłuż całej długości Wzorca wybuchły iskry. Zabrzmiało wysokie, upiorne wycie. Frakir oszalała; miałem wrażenie, że ktoś wbija mi w uszy sople lodu, że jaskrawy Znak rani oczy. Natychmiast odpędziłem Logrus i harmider zaczął przycichać.

– Co to było? – zapytała Coral.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale bez specjalnego efektu.

– Niewielki eksperyment, który zawsze chciałem przeprowadzić – odpowiedziałem.

– Nauczył cię czegoś?

– Może tego, żeby więcej nie próbować.

– A przynajmniej nie w towarzystwie – dodała. – To bolało.

– Przepraszam.

Podeszła do krawędzi znowu spokojnego Wzorca.

– Niesamowity – stwierdziła. – Niby światło we śnie. Ale jest wspaniały. Wszyscy musicie go przejść, by zrealizować swe dziedzictwo?

– Tak.

Wolno ruszyła na lewo wzdłuż obwodu. Szedłem za nią. Badała wzrokiem jasny obszar łuków i skrętów, krótkich prostych odcinków i długich rozległych krzywych.

– Przypuszczam, że to trudne?

– Tak. Cała sztuka to napierać bez przerwy i nie ustępować, nawet jeśli przestaniesz się posuwać.

Szliśmy powoli, okrążając dalszą część Wzorca. Rysunek wydawał się umieszczony raczej w podłodze niż na niej, jakby oglądany przez warstwę szkła. Chociaż powierzchnia nigdzie nie była śliska.

Przystanęliśmy na minutę, gdy Coral przyglądała się Wzorcowi z innego kąta.

– I jakie budzi wrażenia? – zainteresowałem się.

– Estetyczne – odparła.

– I to wszystko?

– Moc – oświadczyła. – Mam wrażenie, że coś z niego emanuje. – Pochyliła się i przesunęła dłoń nad najbliższą linią. – To niemal fizyczny ucisk – dodała.

Przeszliśmy dalej, mijając tylną część obwodu rysunku. Ponad Wzorcem widziałem miejsce, gdzie obok wejścia jarzyła się latarnia. Jej blask był prawie niewidoczny wobec większej jasności, na którą patrzyliśmy. Po chwili Coral stanęła znowu. Wyciągnęła rękę.

– Co to za pojedyncza linia, która tutaj się kończy?

– To nie koniec – wyjaśniłem. – To początek. Z tego miejsca rozpoczyna się przejście Wzorca.

Podeszła bliżej i jeszcze raz przesunęła ręką nad ścieżką.

– Tak – przyznała po chwili. – Czuję, że tutaj się zaczyna.

Nic jestem pewien, jak długo tam staliśmy. Wreszcie ujęła mnie za rękę i uściśnęła.

– Dziękuję – powiedziała. – Za wszystko.

Chciałem ją właśnie spytać, skąd taki ostateczny ton wyznania, kiedy postąpiła o krok i postawiła stopę na linii.

– Nie! – krzyknąłem. – Stój!

Ale już było za późno. Noga stanęła na miejscu, a blask obrysował podeszwę jej buta.

– Nie ruszaj się! – poleciłem. – Nawet nie drgnij, cokolwiek się stanie.

Posłuchała. Obliziałem wargi, które nagle wydały się zupełnie wysuszone.

– Teraz spróbuj unieść stopę, którą postawiłaś na linii, i cofnąć ją. Możesz to zrobić?

– Nie – odrzekła.

Ukląknęłam obok i obejrzałam jej nogę. Teoretycznie, kiedy ktoś stanie na Wzorcu, nie ma już odwrotu. Musi iść naprzód i albo zakończyć przejście, albo zostać unicestwiony po drodze. Z drugiej strony, Coral powinna już być martwa. Znowu teoretycznie, nikt, kto nie pochodzi z krwi Amberu, nie może stanąć na Wzorcu i przeżyć. To tyle, jeśli idzie o teorię.

– Fatalny moment na stawianie pytań – stwierdziłem. – Ale dlaczego to zrobiłaś?

– W jaskini sugerowałeś, że moje domysły są słuszne. Powiedziałeś, że wiesz, kim jestem.

Pamiętałem, co mówiłem, ale sądziłem wtedy, że jest tym duchem zmieniającym ciała. Co mogła przez to zrozumieć i jaki miało związek z Wzorcem? Ale, już w chwili, gdy szukałem zaklęcia, które mogłoby uwolnić ją z pułapki, w myślach pojawiło się oczywiste rozwiązanie.

– Twoje związki z rodem...?

– Zanim przyszłam na świat, król Oberon miał podobno romans z moją matką – odparła. – Czas się zgadza. Chociaż... to były tylko plotki. Nikt nie chciał mi podać szczegółów. Dlatego nie miałam pewności. Ale śniłam, że to prawda. Miałam nadzieję, że trafię na jakiś tunel, który doprowadzi mnie tutaj. Chciałam się zakraść i przejść Wzorzec, by otworzyły się przede mną cienie. Ale bałam się też, bo wiedziałam, że zginę, jeśli nie mam racji. I wtedy, kiedy powiedziałeś to, co powiedziałeś, to było jak potwierdzenie mych snów. Ale strach nie minął. Ciągle się boję. Tyle że teraz boję się, że nie będę dość silna, by tego dokonać.

To dziwne wrażenie znajomości, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem... Nagle uświadomiłem sobie, że jego powodem było ogólne rodzinne podobieństwo. Jej nos i brwi przypominały trochę Fionę, broda i kości policzkowe raczej Florę. Wprawdzie oczy, włosy, wzrost i budowa należały do niej, ale z pewnością nie była podobna do swego oficjalnego ojca ani siostry.

Wspomniałem złośliwie uśmiechnięty portret dziadka, który często oglądałem. Wisiał w korytarzu na piętrze, w zachodnim skrzydle. Ten drab naprawdę nie marnował czasu. Chociaż trzeba przyznać, że był przystojny...

Westchnąłem i wstałem. Położyłem jej dłoń na ramieniu.

– Posłuchaj mnie, Coral – zacząłem. – Wszystkich nas pouczano, zanim podejmowaliśmy próbę. Opowiem ci o tym, zanim zrobisz następny krok. Kiedy będę mówił, możesz poczuć, jak energia płynie ode mnie do ciebie. Chcę, żebyś miała jak najwięcej sił. Kiedy zrobisz ten krok, nie zatrzymuj

się, póki nie dotrzesz do środka. Może też będę podawał ci instrukcje po drodze. Rób, co ci powiem, natychmiast, bez zastanowienia. Najpierw opowiem ci o Zasłonach, punktach oporu...

Nie wiem, jak długo mówiłem.

Patrzyłem, jak zbliża się do Pierwszej Zasłony.

– Nie zwracaj uwagi na chłód i wstrząsy – powiedziałem. – Nic ci nie zrobią. Nie pozwól, żeby iskry cię zdekoncentrowały. Za chwilę trafisz na największy opór. Nie oddychaj za szybko.

Przyglądałem się, jak brnie do przodu.

– Dobrze – pochwaliłem, kiedy dotarła do łatwiejszego odcinka. Wolałem nie uprzedzać, że następna zasłona jest jeszcze gorsza. – Przy okazji, nie myśl, że wpadasz w obłąd. Za chwilę Wzorzec zacznie igrać z twoim umysłem.

– Już zaczął – odpowiedziała. – Co mam robić?

– To zwykle tylko wspomnienia – wyjaśniłem. – Niech płyną, a ty uważaj na ścieżkę.

Szła dalej. Ciągłe mówiąc, przeprowadziłem ją przez Drugą Zasłonę. Nim ją minęła, iskry sięgały jej prawie do ramion. Obserwowałem, jak pokonuje kolejne zakręty, ostre łuki na przemian z długimi, zwroty i załamania. W pewnych miejscach posuwała się szybko, w innych niemal stawała bez ruchu. Ale walczyła stale. Wiedziała, w czym rzecz, i chyba miała dość siły woli. Nie sądzę, bym jeszcze był jej potrzebny. Nic już nie mogłem ofiarować; rezultat zależy wyłącznie od niej.

Dlatego zamknąłem się i patrzyłem zirytowany, ale niezdolny do powstrzymania pochyłeń, zwrotów, przesunięć i napięć, jakbym to ja tam szedł, przewidywał i równoważył.

Gdy dotarła do Wielkiego Łuku, zmieniła się w żywy płomień. Posuwała się bardzo wolno, ale nieustępliwie. Niezależnie od rezultatu, wiedziałem, że ulega przemianie, że już jest odmieniona, że Wzorzec rysuje się w niej i że jest blisko końca tego zapisu. Krzyknąłem niemal, gdy wydało mi się, że staje... ale zadrżała tylko i ruszyła dalej. Otarłem rękawem czoło, kiedy dotarła do Końcowej Zasłony. Cokolwiek się stanie, wykazała prawdę swych podejrzeń. Tylko dziecię Amberu mogło przeżyć to, co ona.

Nie wiem, jak długo trwało przebicie Końcowej Zasłony. Wysiętek istniał poza czasem i mnie również objął ten nieskończony moment. Była teraz płonącym studium powolnego ruchu, a otaczająca ją aura rozświetlała całą komorę niby ogromna niebieska świeca. I wreszcie przedarła się, i weszła na ostatni, krótki łuk, ostatnie trzy kroki, które są chyba najtrudniejsze na całym Wzorcu. Jakieś psychiczne napięcie powierzchniowe łączy się z fizyczną inercją, którą trzeba pokonać tuż przed punktem wyjścia.

I znowu myślałem, że się zatrzymała, ale to był jedynie pozór. Zdawało mi się, że oglądam kogoś w tai chi, w bolesnej powolności tria kroków. Ale wykonała je i ruszyła znowu. Jeśli ostatni krok jej nie zabije, zwycięży.

Wtedy możemy porozmawiać...

Ten końcowy moment trwał i trwał... aż w końcu zobaczyłem, jak jej stopa przesuwając się i opuszcza Wzorzec. Po chwili druga poszła śladem pierwszej i Coral zdyszana stanęła pośrodku.

– Gratuluję! – krzyknąłem.

Pomachała mi niepewnie prawą ręką, lewą osłaniając oczy. Stała tak prawie minutę, a ktoś, kto przeszedł już Wzorzec, rozumie to uczucie. Nie odzywałem się już. Pozwoliłem jej wolno dochodzić do siebie, dałem jej ciszę, w której mogła cieszyć się swym tryumfem. Wzorzec jakby rozbłysnął nagle mocniej, co często czyni zaraz po czymś przejściu. Nadał grocie baśniowy wygląd, pograżył ją w błękitnej jasności i cieniach, zmienił w zwierciadło małą, nieruchomą kałużę w kącie, gdzie pływały ślepe ryby. Próbowałem przewidzieć, jakie znaczenie będzie miał ten fakt dla Coral, dla Amberu...

Wyprostowała się nagle.

– Będę żyła – oznajmiła.

– To dobrze – odparłem. – Wiesz, że masz teraz wybór.

– O czym mówisz?

– Zajęłaś pozycję, która pozwala ci rozkazywać, by Wzorzec przetransportował cię, gdziekolwiek zechcesz – wyjaśniłem. – Możesz więc przenieść się tutaj albo zaoszczędzić sobie drugi i znaleźć się w swoim apartamencie. Chociaż twoje towarzystwo sprawia mi dużo radości, proponuję to drugie rozwiązanie. Jesteś bardzo zmęczona. Mogłabyś wziąć długą, ciepłą kąpiel i spokojnie przebrać się do kolacji. Spotkamy się w jadalni. Zgoda?

Dostrzegłem jej uśmiech, gdy pokręciła głową.

– Nie zmarnuję takiej okazji – oświadczyła.

– Posłuchaj: znam to uczucie. Ale powinnaś je opanować. Przeskok w jakieś niesamowite miejsce może być niebezpieczny, a powrót trudny, zwłaszcza że nie masz żadnej praktyki w chodzeniu przez Ciebie.

– Polega na woli i oczekiwaniu, prawda? – spytała. – Idąc trzeba tak jakby nakładać obrazy na realne otoczenie. Zgadza się?

– To nie takie proste – odpowiedziałem. – Musisz się nauczyć, jak wykorzystywać pewne cechy terenu jako punkty wyjścia. Normalnie w pierwszą podróż wyrusza się w towarzystwie kogoś doświadczonego...

– W porządku. Rozumiem, o co chodzi.

– To za mało. Istnieje sprzężenie zwrotne. W pewien sposób wyczuwasz, kiedy zaczyna działać. Tego nie można się nauczyć. To trzeba przeżyć... póki nie jesteś pewna, powinnaś mieć jakiegoś przewodnika.

– Wydaje mi się, że metoda prób i błędów wystarczy.

– Może. Ale powiedzmy, że zagrozi ci niebezpieczeństwo? To fatalny moment, by zacząć naukę.

Rozprasza i...

– Zgoda. Rozumiem twoje zastrzeżenia. Na szczęście nie planuję niczego, co postawiłoby mnie w takiej sytuacji.

– A co planujesz?

Zatoczyła krąg ramieniem.

– Od kiedy dowiedziałam się o Wzorcu, marzyłam, że wypróbuję coś, jeśli dotrę aż tutaj.

– Co takiego?

– Zamierzam poprosić go, by odesłał mnie tam, gdzie powinnam się znaleźć.

– Nie rozumiem.

– Chcę pozostawić wybór Wzorcowi.

Potrząsnąłem głową.

– To nie tak – powiedziałem. – Musisz wydać rozkaz, by cię przerzucił

– Skąd o tym wiesz?

– Po prostu tak jest.

– Czy próbowałaś kiedyś tego, o czym mówię?

– Nie. Nic by się nie stało.

– Czy próbował tego ktokolwiek, kogo znasz?

– To strata czasu. Posłuchaj, mówisz tak, jakby Wzorzec był w jakiś sposób świadomy, zdolny do podjęcia własnej decyzji i jej wykonania.

– Tak – odparła. – I musi dobrze mnie znać po tym wszystkim, co na nim przeżyłam. Dlatego chcę

poprosić go o radę i...

– Czeka! – przerwałem.

– Tak?

– Gdyby coś się stało, choć to mało prawdopodobne, to jak zamierzasz wrócić?

– Chyba pieszko. Więc przyznajesz, że coś może się zdarzyć?

– Tak – zgodziłem się. – Możliwe, że podświadomie pragniesz odwiedzić jakieś miejsce, Wzorzec odczyta życzenie i wykona tak, jakbyś wydała mu rozkaz. To nie wykaże, że jest świadomy... jedynie czuły. Gdybym to ja stał na twoim miejscu, nie podejmowałbym takiego ryzyka. Przypuśćmy, że miałbym skłonności samobójcze, o których nic bym nie wiedział? Albo...

– Przekonujący jesteś – stwierdziła. – Naprawdę.

– Doradzam ci tylko ostrożność. Przed tobą całe życie. Głupio byłoby...

– Wystarczy! – przerwała mi. – Podjęłam decyzję i już jej nie zmienię. Mam przeczucie, że jest właściwa. Do zobaczenia, Merlinie.

– Zaczeka! – krzyknąłem znowu. – Zgoda. Jeśli się upierasz, trudno. Ale pozwól, że najpierw coś ci podaruję.

– Co!

– Metodę, by szybko opuścić niebezpieczne miejsce. Trzymaj.

Wyjąłem talię i odnalazłem swój Atut. Odpiąłem od pasa sztylet razem z pochwą, owinałem kartę wokół rękojeści i przywiązałem chusteczką.

– Wiesz, jak używać Atutu?

– Trzeba patrzeć i myśleć o danej osobie, aż nastąpi kontakt.

– Wystarczy. To mój Atut. Wezwij mnie, gdy zechcesz wrócić do domu. Sprowadzę cię. Rzuciłem od dołu ponad Wzorcem. Złapała bez trudu i zawiesiła sztylet na pasku, obok własnego.

– Dziękuję. – Wyprostowała się. – Myślę, że spróbuję teraz.

– Gdyby naprawdę coś się stało, nie zostawaj za długo. Dobrze?

– Dobrze – obiecała i zamknęła oczy.

I w mgnieniu oka zniknęła. O rany! Podszedłem do brzegu Wzorca i wyciągnąłem rękę ponad nim. Czułem wirujące tam prądy mocy.

– Lepiej, żebyś wiedział, co robisz – powiedziałem. – Chcę ją mieć z powrotem.

Iskra strzeliła w górę i połaskotała mnie w rękę.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę jesteś świadomy?

Wszystko wokół zawirowało. Zawrót głowy minął prawie od razu i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była latarnia przy mojej prawej nodze. Rozejrzałem się: stałem po przeciwnej stronie Wzorca, tuż obok drzwi.

– Znalazłem się w zasięgu twojego pola i jestem już dostrojony – stwierdziłem. – To tylko moje podświadome życzenie powrotu.

Zabrałem latarnię, zamknąłem za sobą drzwi i powiesiłem klucz na haku. Ciągle nie ufałem Wzorcowi. Jeśli naprawdę chciał pomóc, mógł mnie odesłać wprost do moich pokoi i zaoszczędzić mi tych wszystkich schodów.

Szybkim krokiem maszerowałem przez tunel. Z całą pewnością była to najciekawsza pierwsza randka w moim życiu.

# Rozdział 6

---

Kiedy minąłem hol i ruszyłem w stronę korytarza na tyłach, który prowadził do dowolnych schodów, z bocznego przejścia wynurzył się facet w czarnej skórze, ozdobionej kawałkami zardzewiałych i błyszczących łańcuchów. Przyjrzał mi się z uwagą. Włosy miał ścięte na irokeza, a w lewym uchu kilka srebrnych pierścieni, przypominających jakieś urządzenie elektryczne.

– Merlin! – zawołał. – Co u ciebie?

– Chwilowo w porządku – odparłem, podchodząc bliżej. Próbowałem jakoś go umiejscowić.

– Martin! – krzyknąłem wreszcie. – Zmieniłeś się. Zachichotał.

– Wróciłem właśnie z bardzo interesującego cienia – wyjaśnił. – Spędziłem tam ponad rok... to jeden z tych, gdzie czas pędzi jak diabli.

– Moim zdaniem... zgaduję tylko... był wysoko technicyzowany, urbanistyczny...

– Zgadza się.

– Myślałem, że wolisz wieś.

– Już mi przeszło. Teraz rozumiem, dlaczego tato lubi miasta i gwar.

– Też jesteś muzykiem?

– Trochę. Ale w innym stylu. Będiesz na kolacji?

– Zamierzam. Jak tylko się umyję i przebiorę.

– Spotkamy się tam. Musimy pogadać.

– Jasne, kuzynie.

Ścisnął mi ramię i odszedł. Wciąż miał silny chwyt.

Ruszyłem dalej. Nie uszedłem daleko, gdy poczułem wstęp do atutowego kontaktu. Zatrzymałem się i otworzyłem umysł. Byłem przekonany, że to Coral chce wrócić. Zamiast niej zobaczyłem Mandora; uśmiechnął się lekko.

– Doskonale – stwierdził. – Jesteś sam i chyba nic ci nie grozi.

Obraz wyostrzył się. Zauważyłem stojącą obok Fionę. Stojącą bardzo blisko.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Jestem w Amberze. Co u was?

– Cali i zdrowi – odparł, patrząc poza mnie, choć prócz ściany i kilimu nie było tam wiele do oglądania.

– Przejdziecie do mnie? – spytałem.

– Chciałbym zobaczyć Amber – odpowiedział. – Ale ta przyjemność musi poczekać na lepszą okazję. W tej chwili jesteśmy trochę zajęci.

– Odkryliście przyczynę zakłóceń? Spojrzał na Fionę, potem znowu na mnie.

– Tak i nie – stwierdził. – Mamy kilka bardzo ciekawych śladów, ale na razie nic pewnego.

– W takim razie... co mogę dla was zrobić?

Fiona wyciągnęła wskazujący palec i nagle stała się dużo wyraźniejsza. Domyśliłem się, że dotknęła mojego Atutu, wzmacniając kontakt.

– Napotkaliśmy manifestację tej maszyny, którą zbudowałeś – powiedziała. – Ghostwheela.

– I co?

– Masz rację, jest świadoma. To nie tylko techniczna, ale społeczna sztuczna inteligencja.

– Byłem pewien, że przeszedłby test Turinga.

– Bez wątplenia – westchnęła Fiona. – Ponieważ z definicji test Turinga wymaga maszyny zdolnej do okłamywania ludzi i do oszustwa.



– Do czego zmierzasz, Fiono?

– To nie tylko społeczna SI. Jest wręcz aspołeczna – orzekła. – Uważam, że twoja maszyna oszalała.

– A co on zrobił? – zainteresowałem się. – Zaatakował was?

– Nie. Nie w sensie fizycznym. Jest zwariowany, kłamliwy i nieuprzejmy, ale mamy tu zbyt wiele zajęć, by teraz wchodzić w szczegóły. Chociaż nie twierdzą, że nie mógłby być groźny. Nie wiem. Chcieliśmy tylko cię ostrzec, żebyś mu nie ufał.

Uśmiechnąłem się.

– To wszystko? Koniec przekazu?

– Na razie – odparła, opuściła palec i zamglądała się.

Popatrzyłem na Mandora. Chciałem wyjaśnić, że wbudowałem w Ghostwheela cały system zabezpieczeń, żeby nie każdy miał do niego dostęp. Głównie jednak chciałem mu powiedzieć o Jurcie. Lecz połączenie zostało nagle przerwane, jak gdyby ktoś inny próbował nawiązać ze mną kontakt.

Wrażenie zaintrygowało mnie. Zastanawiałem się czasem, co by się stało, gdyby ktoś spróbował połączenia w chwili, kiedy jedno już trwa. Czy nastąpiłoby coś w rodzaju telekonferencji? Czy ktoś usłyszałby sygnał "zajęte"? Czy drugi dzwoniący musiałby czekać? Nie sądziłem, bym kiedyś mógł się przekonać. Statystycznie rzecz biorąc, szansa była niewielka. Jednakże...

– Merlin, dziecinko. U mnie w porządku.

– Luke!

Mandor i Fiona zniknęli na dobre.

– Naprawdę jestem już zdrowy, Merle.

– Jesteś pewien?

– Tak. Jak tylko zacząłem lądować, przeskoczyłem na szybki tor. W tym cieniu od naszego spotkania minęło kilka dni.

Miał na sobie okulary słoneczne i zielone kąpielówki. Siedział przy małym stoliku koło basenu, pod wielkim parasolem. Przed nim widziałem resztki solidnego obiadu. Jakaś dama w niebieskim bikini wskoczyła do wody i zniknęła z pola widzenia.

– Miło to słyszeć, ale...

– Co właściwie mi się przytrafiło? Pamiętam, mówiłeś, że kiedy byłem jeńcem w Twierdzy, ktoś podał mi jakieś prochy. Czy tak?

– To bardzo prawdopodobne.

– Takie są skutki picia wody – westchnął. – No dobrze. Co się działo, kiedy byłem wyłączony? Ile mu powiedzieć? To zawsze był istotny problem.

– Na czym stoimy? – spytałem.

– Ach, to? – mruknął.

– Owszem.

– Wiesz, miałem dość czasu, żeby się zastanowić – rzekł. – I zamierzam uznać sprawę za załatwioną. Nie będzie plamy na honorze. Nie ma sensu ciągnąć wojny ze wszystkimi. Ale nie mam też zamiaru oddawać się w ręce Randoma i czekać na fałszowany proces. Teraz twoja kolej: jaka jest moja sytuacja, jeśli chodzi o Amber? Powiniennem zacząć oglądać się za siebie?

– Nikt jeszcze niczego nie mówił, tak ani tak. Ale Random wyjechał z miasta, a ja dopiero wróciłem. Nie zdążyłem się dowiedzieć, co pozostali sądzą na twój temat.

Zdjął okulary i przyjrzał mi się badawczo.

– Fakt, że Random wyjechał...

– Nie, nie poluje na ciebie – zapewniłem. – Jest w Kash... – Przerwałem o jedną sylabę za późno.

– W Kashfie?

– O ile wiem.

– Co on tam robi, u licha? Amber nigdy dotąd się nami nie interesował.

– Nastąpił... zgon – wyjaśniłem. – Trwają jakieś zamieszki.

– Ha! – zawołał Luke. – Ten bękart dostał w końcu za swoje. Dobrze! Ale... Dlaczego właściwie

Amber włączył się tak nagle?

– Nie mam pojęcia.

Parsknął śmiechem.

– Pytanie retoryczne – mruknął. – Sam widzę, co się dzieje. Muszę przyznać, że Random ma styl.

Słuchaj, daj mi znać, kiedy się dowiesz, kogo posadził na tronie. Lubię wiedzieć, co słyhać w starym kraju.

– Pewno. – Bezskutecznie próbowałem odgadnąć, czy taka informacja może przynieść szkodę.

Wkrótce będzie powszechnie znana... jeśli już nie była.

– Co jeszcze? Ta istota, która była Vintą Bayle...?

– Zniknęła – odparłem. – Nie wiem gdzie.

– Bardzo dziwne. – Zamyślił się. – Chyba jeszcze ją zobaczymy. Jestem pewien, że była też Gail.

Zawiadom mnie, jeśli wróci. Dobrze?

– Dobrze. Znowu chcesz ją sobie załatwić na randkę?

Z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Mogę sobie wyobrazić gorsze sposoby spędzania czasu.

– Masz szczęście, że ciebie nie próbowała załatwić. Dosłownie.

– Nie jestem pewien, czyby chciała – stwierdził. – Dobrze nam było razem. Ale nie dlatego cię

wezwałem.

Skinąłem głową.

– Domyśliłem się tego.

– Co słyhać u mojej matki? – zapytał.

– Nawet nie drgnie – odparłem. – Jest bezpieczna.

– To już coś. Wiesz, to trochę nie wypada, żeby królowa tkwiła w takiej pozycji. Wieszak. Rany!

– Zgadzam się – powiedziałem. – Ale jaka jest alternatywa?

– Chciałbym, no... jakoś ją uwolnić. Jakie byłyby warunki?

– Poruszasz drażliwą kwestię – zauważyłem.

– Sam to odgadłem.

– Mam silne wrażenie, Luke, że to ona stała za tą zemstą. To ona napuściła cię na nas. Na przykład z tą bombą. Albo pomysł, żebyś stworzył prywatną armię uzbrojoną w nowoczesną broń i ruszył z nią na Amber. Albo zamachy na mnie co wiosną. Albo...

– Dobrze, wystarczy. Masz rację. Ale sporo się zmieniło...

– Owszem. Jej plany padły i dostaliśmy ją.

– Nie o to mi chodziło. Ja się zmieniłem. Rozumiem ją teraz i rozumiem siebie lepiej niż wtedy.

Nie pozwolę sobą sterować.

– A to dlaczego?

– Ten odlot... Mocno mną wstrząsnął, moim sposobem myślenia. O niej i o mnie. Miałem kilka dni, żeby się przez to wszystko przegryźć i nie wierzę, by potrafiła tak mnie naciągnąć jak dawniej.

Wspomniałem rudowłosą kobietę przywiązaną do pala. Teraz, kiedy się nad tym zastanowiłem, dostrzegłem pewne podobieństwo.

– Jednak nadal jest moją matką – kontynuował Luke. – I nie chciałbym zostawić jej w takim położeniu. Jaka może być cena za jej wolność?

– Nie wiem, Luke. Nie mówiliśmy jeszcze o tej sprawie.

– Wiesz, ona jest właściwie twoim więźniem.

– Ale jej plany dotyczyły nas wszystkich.

– To fakt, lecz ja nie będę już pomagał w ich realizacji. A ona naprawdę potrzebuje kogoś takiego jak ja, żeby wprowadzić je w życie.

– Rzeczywiście. I skoro ty jej nie pomożesz, co jej przeszkodzi w znalezieniu – jak to ująłeś – kogoś takiego jak ty? Jeśli ją wypuścimy, nadal będzie groźna.

– Ale teraz już o niej wiecie. To mocno utrudni jej działanie.

– Może sprawi, że stanie się bardziej przebiegła.

Westchnął.

– Masz trochę racji – przyznał. – Ale nie jest mniej przekupna od większości ludzi. To tylko kwestia odpowiedniej ceny.

– Nie mogę sobie wyobrazić, by Amber kupował kogoś w ten sposób.

– Ja mogę.

– Nie wtedy, kiedy ta osoba jest już więźniem.

– To rzeczywiście trochę komplikuje sytuację – zgodził się. – Ale nie sądzę, by tworzyło barierę nie do przebycia. Zwłaszcza kiedy byłaby dla was cenniejsza na wolności niż jako element umeblowania.

– Nie nadażam – wyznałem. – Co proponujesz?

– Jeszcze nic. Chciałem cię tylko wysondować.

– Rozumiem. Ale tak na szybko nie bardzo widzę, jak mogłoby dojść do takiej sytuacji. Cenniejsza na wolności niż jako więzień? To chyba kwestia oceny wartości. Zresztą to tylko słowa.

– Spróbuj tylko posiać jedno czy drugie ziarno, a ja popracuję nad resztą. Co jest aktualnie twoim największym problemem?

– Moim? Osobiście? Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Jasne.

– Zgoda. Mój szalony brat Jurt najwyraźniej sprzymierzył się z czarownikiem Maską z Twierdzy. Obaj na mnie polują. Jurt próbował zamachu dzisiejszego popołudnia, ale widzę, że w istocie jest to wyzwanie Maski. Mam zamiar wkrótce się nimi zająć.

– Zaraz! Nie wiedziałem, że masz brata!

– Przyrodniego. Mam też paru innych, ale z nimi żyję dość zgodnie. Jurt już od dawna ma do mnie jakieś pretensje.

– To ciekawe. Nigdy o nich nie wspominałeś.

– Nie rozmawialiśmy o rodzinie. Pamiętasz?

– Tak. I teraz naprawdę przestałem rozumieć. Kto jest tym Maską? Przypominam sobie, że mówiłeś już o nim. To w rzeczywistości Sharu Garrul, prawda?

Pokręciłem głową.

– Kiedy wyniosłem z cytadeli twoją matkę, porzuciła towarzystwo podobnie unieruchomionego staruszka z imieniem RINALDO wrytym na nodze. Wymieniłem wtedy z Maską kilka zaklęć.

– Bardzo dziwne – mruknął Luke. – Jest więc uzurpatorem. I to on podał mi prochy?

– Bardzo prawdopodobne.

– Czyli ja także mam z nim rachunek do wyrównania, niezależnie od tego, co zrobił z mamą. Jak mocny jest ten Jurt?

– Jest dość nieprzyjemny. Ale też niezręczny. A przynajmniej psuł robotę za każdym razem, kiedy walczyliśmy. I zostawił na placu kawałek swojego ciała.

– Może się uczyć na własnych błędach.

– To fakt. Kiedy już o tym wspomniałeś, to pamiętam, że powiedział dzisiaj coś dziwnego. Mówił, że wkrótce stanie się bardzo potężny.

– No no... – Luke zastanowił się. – Wygląda na to, że ten Maska używa go jako królika doświadczalnego.

– Do czego?

– Do Fontanny Mocy, chłopie. Wewnątrz cytadeli bije stałe, pulsujące źródło energii. Międzycieniowe. Bierze się z tego, że cztery światy zderzają się tam ze sobą.

– Wiem. Widziałem je w działaniu.

– Mam przeczucie, że Maska wciąż próbuje je opanować.

– Całkiem nieźle sobie radził podczas naszego spotkania.

– Tak, ale to nie takie proste, jak wetknięcie wtyczki do gniazdka w ścianie. Istnieją wszelkiego rodzaju subtelności, z których pewnie dopiero zdał sobie sprawę i które bada.

– Na przykład?

– Kapiel w Fontannie człowieka, który jest należycie osłonięty, cudownie wzmacnia jego siłę, wytrzymałość i zdolności magiczne. To niezbyt trudne dla kogoś z odpowiednią praktyką. Można się nauczyć. Sam przez to przeszedłem. Ale w laboratorium starego Sharu Garrula były jego notatki i wynikało z nich jeszcze coś. Można podobno część masy ciała zastąpić energią... jakby upakować ją w siebie. Bardzo ryzykowne. Łatwo zginąć. Ale jeśli się uda, wychodzi ktoś wyjątkowy, rodzaj supermana, żywy Atut.

– Słyszałem już to określenie, Luke...

– Zapewne – odparł. – Mój ojciec wypróbował ten proces na sobie...

– Zgadza się! – zawołałem. – Corwin twierdził, że Brand stał się czymś w rodzaju żywego Atutu. Praktycznie nie można go było przytrzymać.

Luke zgrzytnął zębami.

– Przykro mi – zapewniłem. – Ale właśnie od niego o tym słyszałem. Więc to jest wytłumaczenie mocy Branda...

Kiwnął głową.

– Maska uznał chyba, że wie, jak tego dokonać. I chce przeprowadzić eksperyment na twoim bracie.

– Niech to szlag! – zakląłem. – Tego mi tylko potrzeba. Jurt jako istota magiczna czy naturalny żywioł, czy co tam jeszcze... To poważna sprawa. Co wiesz o tym procesie?

– Prawie wszystko, przynajmniej w teorii. Ale nie ryzykowałbym. Sądzę, że odbiera część człowieczeństwa. Potem nie obchodzą cię już inni ludzie ani ich wartości. Myślę, że to właśnie przytrafiło się ojcu.

Co mogłem powiedzieć? Może część z tego była prawdą, a może nie. Z pewnością Luke chciał wierzyć w jakąś zewnętrzną przyczynę zdrady Branda. Wiedziałem, że nigdy nie będę się z nim spierał, choćbym się nawet przekonał, że było inaczej. Dlatego parsknąłem śmiechem.

– W przypadku Jurta nikt nie zauważy różnicy.

Luke uśmiechnął się.

– Możesz stracić życie, walcząc przeciw komuś takiemu, kto ma w dodatku czarownika do pomocy. Zwłaszcza na ich terenie.

– A jaki mam wybór? – spytałem. – Chcą mnie dostać. Lepiej uderzę pierwszy. Jurt nie przeszedł

jeszcze tej próby. Ile potrzebuje czasu?

– No cóż, sprawa wymaga dość długich przygotowań, ale przy części z nich obiekt nie musi być obecny. Wszystko zależy od tego, jak daleko Maska posunął się w pracy.

– Więc lepiej wyruszę jak najszybciej.

– Nie puszcze cię tam samego – stwierdził. – To może być samobójstwo. Znam to miejsce. Mam również obozujący w Cieniu niewielki oddział najemników. W każdej chwili są gotowi do akcji. Jeżeli wprowadzimy ich do wnętrza, mogą powstrzymać obrońców, a może nawet ich usunąć.

– Czy ta specjalna amunicja tam działa?

– Nie. Próbowaliśmy podczas ataku na lotniach. Trzeba będzie walczyć wręcz. Może pancerze i maczety... Muszę się zastanowić.

– My możemy użyć Wzorca, ale żołnierze nie... A nie można tam polegać na Atutach.

– Wiem. To również będę musiał przemyśleć.

– Czyli walka będzie między nami dwoma a Jurtem i Maską. Jeśli powiem o tym jeszcze komuś tutaj, spróbuje mnie zatrzymać do powrotu Randoma. A wtedy może już być za późno.

Uśmiechnął się.

– Wiesz, mama byłaby tam naprawdę przydatna. Wie o Fontannie więcej ode mnie.

– Nie! – oznajmiłem. – Próbowala mnie zabić.

– Spokojnie, chłopie. Tylko spokojnie. Wysłuchaj mnie.

– Poza tym już raz przegrała z Maską. Dlatego służy teraz za wieszak.

– Tym więcej ma powodów do ostrożności. Zresztą, przegrała przez jakąś sztuczkę, nie przez brak umiejętności. Jest dobra. Maska musiał ją zaskoczyć. Będzie cennym nabytkiem, Merle.

– Nie! Chce nas wszystkich pozabijać.

– Szczegóły – odparł. – Po Cainie reszta z was to tylko symboliczni wrogowie. Maska jest wrogiem rzeczywistym. Coś jej odebrał i wciąż to trzyma. Wobec takiego wyboru ruszy na Maskę.

– A jeśli nam się uda, zwróci się przeciw Amberowi.

– Wcale nie – zapewnił. – Na tym polega całe piękno mojego planu.

– Nie chcę o nim słyszeć.

– Ponieważ już teraz wiesz, że się zgodzisz. Prawda? Właśnie wymyśliłem sposób rozwiązania wszystkich waszych problemów. Oddajcie jej Twierdzę, kiedy już ją zdobędziemy. Coś w rodzaju daru pokoju... żeby zapomniała o dawnych nieporozumieniach.

– Dać jej tę straszliwą moc?

– Gdyby chciała jej użyć przeciwko wam, już dawno by to zrobiła. Boi się. Kashfa spłynęła do ścieku, więc wykorzysta każdą możliwość, by cokolwiek jeszcze uratować. To dla niej najważniejsze.

– Naprawdę tak uważasz?

– Lepiej być królową w Twierdzy niż wieszakiem w Amberze.

– Niech cię diabli porwą, Luke. Najgłupsze propozycje przedstawiasz tak, że wydają się atrakcyjne.

– To gałąź sztuki – oświadczył. – Co ty na to?

– Muszę się zastanowić – westchnąłem.

– Lepiej myśl szybko. W tej chwili Jurt może właśnie nabierać połysku.

– Nie poganiaj mnie. Powiedziałem, że się zastanowię. To tylko jeden z moich problemów. Teraz idę na kolację i przemyślę wszystko.

– Opowiesz mi o pozostałych kłopotach? Może uda mi się rozwiązać je w komplecie?

– Nie, do diabła. Odezwę się... niedługo. Zgoda?

– Zgoda. Ale lepiej, żebym był na miejscu, kiedy uwolnisz mamę. Żeby jakoś załagodzić sytuację. Odkryłeś już, jak przełamać zaklęcie, prawda?

– Tak.

– Dobrze wiedzieć. Nie byłem pewien, jak to zrobić, a teraz mogę już nie łamać sobie głowy. Skończę kurację tutaj i poćwiczę trochę żołnierzy – dodał, zerkając na damę w bikini, która właśnie wyszła z basenu. – Wezwij mnie.

– Dobrze – odpowiedziałem, a on zniknął.

Do licha. Niesamowite. Nic dziwnego, że Luke zdobywał te nagrody dla najlepszego sprzedawcy. Mimo swej opinii o Jaszrze, musiałem przyznać, że mówił rozsądnie. A Random nie rozkazał mi trzymać jej w niewoli. Oczywiście, nie bardzo mógł mi cokolwiek rozkazać ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy. Czy naprawdę Jasra zachowa się tak, jak przewidywał Luke? To rozsądne, ale ludzie rzadko dotrzymują towarzystwa rozsądkowi w chwilach, kiedy byłoby to wskazane.

Przeszedłem przez korytarz i postanowiłem skorzystać z tylnych schodów. Za zakrętem zobaczyłem u szczytu jakąś postać. To była kobieta i patrzyła w przeciwną stronę. Miała długą, czerwono-żółtą suknię, bardzo ciemne włosy i piękne ramiona...

Odwróciła się, słysząc moje kroki. Zobaczyłem, że to Nayda. Spojrzała mi w twarz.

– Lordzie Merlinie – powiedziała. – Możesz mi wyjaśnić, gdzie jest teraz moja siostra? Jak słyszałam, wyszliście gdzieś razem.

– Podziwiała pewien obraz, a potem miała załatwić jakąś sprawę – odparłem. – Nie wiem, gdzie jest teraz, ale dała do zrozumienia, że niedługo wróci.

– To dobrze. Zbliża się pora kolacji i oczekiwaliśmy, że przyłączy się do nas. Czy miło spędziła popołudnie?

– Wierzę, że tak.

– Ostatnio była nieco smutna. Mieliśmy nadzieję, że ta podróż poprawi jej nastrój. Oczekiwała jej niecierpliwie.

– Wydawała się dość wesoła, kiedy ją opuściłem.

– Och... Gdzie to było? – spytała.

– Niedaleko stąd.

– A gdzie poszliście?

– Na długi spacer po mieście – wyjaśniłem. – Pokazałem jej także część pałacu.

– Jest zatem w pałacu?

– Była, kiedy ostatnio ją widziałem. Ale mogła wyjść na chwilę.

– Rozumiem – stwierdziła. – Żałuję, że wcześniej nie mogliśmy porozmawiać. Mam wrażenie, że znam cię od dawna.

– Doprawdy? – zdziwiłem się. – A to dlaczego?

– Kilkakrotnie czytałam twoje akta. Można je nazwać fascynującymi.

– Akta?

– To nie tajemnica, że prowadzimy akta ludzi, których możemy spotkać w czasie pracy. Mamy oczywiście kartoteki wszystkich z rodu Amberu, nawet tych, którzy nie zajmują się dyplomacją.

– Nigdy o tym nie pomyślałem – wyznałem. – Ale brzmi to rozsądnie.

– Twoje dzieciństwo jest opisane dość powierzchownie, to naturalne. A ostatnie problemy są bardzo skomplikowane.

– Mnie też się tak wydaje – zapewniłem. – I próbujesz uaktualnić te dane?

– Nie, jestem po prostu ciekawa. A ponieważ możliwe odgałęzienia tych problemów mogą dotyczyć Begmy, interesują nas.

– Jak to możliwe, że w ogóle o nich wiecie?

– Mamy bardzo dobre źródła wywiadowcze. Jak zwykle małe królestwa. Skinąłem głową.

– Nie będę wypytywał o te źródła, ale nie prowadzimy wyprzedaży poufnych informacji.

– Nie zrozumiałeś mnie – powiedziała. – Tych akt również nie próbuję aktualizować. Chciałam sprawdzić, czy mogłabym ci w czymś pomóc.

– Dziękuję. Naprawdę jestem wdzięczny – zapewniłem. – Ale nie bardzo widzę, jakiej pomocy mógłbym oczekiwać.

Pokazała w uśmiechu rząd idealnie równych zębów.

– Nie mogę zdradzić szczegółów, póki nie dowiem się czegoś więcej. Ale jeśli uznasz, że potrzebujesz pomocy... czy po prostu chcesz porozmawiać... spotkaj się ze mną.

– Celną odpowiedź – stwierdziłem. – Spotkamy się przy kolacji.

– Mam nadzieję, że później także – odpowiedziała.

Wyminąłem ją i odszedłem.

Co miały oznaczać jej ostatnie słowa? Czyżby chodziło o randkę? Jeśli tak, to jej motywy były aż nazbyt przejrzyste. A może chciała tylko uzyskać ode mnie informacje? Nie byłem pewien.

Idąc korytarzem w kierunku moich pokoi, zauważyłem przed sobą dziwne zjawisko świetlne: jaskrawobiała linia szerokości piętnastu – dwudziestu centymetrów biegła w poprzek sufitu, podłogi i obu ścian. Zwolniłem kroku. Czyżby pod moją nieobecność ktoś wprowadził nową metodę oświetlania pomieszczeń?

Kiedy przekroczyłem jasny pas na podłodze, wszystko zniknęło z wyjątkiem samego światła, które przekształciło się w idealny krąg, zakręciło się i znieruchomiło na poziomie moich stóp. Stałem pośrodku. Poza kręgiem pojawił się nagle świat; wyglądał jak zbudowany z zielonego szkła uformowanego w kopułę. Powierzchnia, na której stałem, miała czerwony odcień, była nierówna i w bladym świetle lśniła wilgocią. Dopiero kiedy w pobliżu przepłynęła wielka ryba, zrozumiałem, że znalazłem się pod wodą i stoję na koralowym wzgórzu.

– To wszystko jest piękne jak diabli – oznajmiłem. – Ale próbowałem wrócić do swojego pokoju.

– Trochę się popisuję – zabrzmiał znajomy głos, trochę niesamowity w moim magicznym kręgu. – Czy jestem bogiem?

– Możesz się nazwać, jak tylko zechcesz – odparłem. – Nikt nie zaprotestuje.

– Zabawnie byłoby zostać bogiem.

– Kim ja byłbym wtedy? – spytałem.

– To trudny problem teologiczny.

– Akurat, teologiczny. Jestem projektantem komputerów. Wiesz, że cię zbudowałem, Ghost.

Moją podwodną celę wypełnił dźwięk podobny do westchnienia.

– Trudno się oderwać od własnych korzeni.

– A po co próbować? Co złego widzisz w korzeniach? Mają je wszystkie porządne rośliny.

– Piękny kwiat u góry, a w dole błoto i muł.

– W twoim przypadku to metalowa, bardzo ciekawa instalacja kriogeniczna i jeszcze sporo innych drobiazgów. Wszystko idealnie czyste.

– Może więc właśnie mułu i błota mi trzeba...

– Ghost, dobrze się czujesz?

– Wciąż usiłuję odnaleźć siebie.

– Każdy miewa takie okresy. To minie.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Kiedy? Jak? Dlaczego?

– Oszukiwałbym cię, gdybym próbował tłumaczyć. Poza tym, dla każdego odpowiedź jest inna.

Przepłynęła cała ławica rybek – takich maluchów w czarne i czerwone paski.

– Nie bardzo sobie radzę z tą wszechwiedzą – oświadczył po dłuższej chwili Ghost.

– Nie przejmuj się. Komu to potrzebne?

– ...I wciąż pracuję nad wszechmocą.

– To też bardzo trudne – przyznałem.

– Świetnie mnie rozumiesz, tato.

– Staram się. Masz jakieś szczególne problemy?

– To znaczy oprócz egzystencjalnych?

– Tak.

– Nie. Sprowadziłem cię tutaj, żeby ostrzec przed człowiekiem o imieniu Mandor. Jest...

– Jest moim bratem – przerwałem. Zapadła cisza. Wreszcie...

– To znaczy moim wujem, tak?

– Chyba tak.

– A ta dama, która z nim była? Ona...

– Fiona jest moją ciotką.

– Czyli moją też, w drugim pokoleniu. Ojej!

– Co się stało?

– Czy to nieładnie źle mówić o krewnych?

– Nie w Amberze – wyjaśniłem. – W Amberze robimy to bez przerwy.

Krąg światła przekreślił się znowu. Staliśmy w pałacowym korytarzu.

– Jesteśmy z powrotem w Amberze – poinformował Ghost. – I zamierzam źle o nich mówić. Na twoim miejscu bym im nie ufał. Uważam, że są trochę szaleni. A także niegrzeczni i kłamliwi.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Stajesz się prawdziwym Amberytą.

– Naprawdę?

– Tak. Wszyscy tacy jesteśmy. Nie ma się czym martwić. A tak przy okazji, co zaszło między wami?

– Wolałbym raczej sam rozwiązać ten problem... jeśli nie masz nic przeciw temu.

– Rób, co uważasz za najlepsze.

– Czyli nie muszę cię przed nimi ostrzegać?

– Nie.

– Dobrze. To mnie najbardziej niepokoiło. Teraz chyba wypróbuję to błoto i muł...

– Zaczekaj!

– Co?

– Ostatnio dobrze ci idzie przenoszenie przez Ciebie różnych rzeczy.

– Owszem, chyba nabieram wprawy.

– Co powiesz na mały oddział wojska z dowódcą?

– Myślę, że sobie poradzę.

– I mnie?

– Oczywiście. Gdzie teraz są i dokąd chcecie się udać? Sięgnąłem do kieszeni, znalazłem Atut Luke'a i wyciągnąłem przed siebie.

– Ale... Sam przecież ostrzegałeś, żeby mu nie ufać – zdziwił się Ghost.

– Teraz możesz – uspokoilem go. – Ale tylko w tej sprawie. W żadnej innej. Sytuacja uległa



pewnym zmianom.

– Nie rozumiem. Ale skoro tak mówisz...

– Potrafisz go znaleźć i przygotować wszystko?

– Powinienem. Gdzie chcecie się dostać?

– Do Twierdzy Czterech Światów.

– Dobrze. Ale to niebezpieczne miejsce, tato. Bardzo trudno tam dotrzeć i odejść. Jest tam również rudowłosa dama, która próbowała zamknąć mnie blokadą mocy.

– Jasra.

– Nie wiem, jak miała na imię.

– To matka Luke'a – wyjaśniłem, machając Atutem.

– Niedobre pochodzenie – stwierdził Ghost. – Może nie powinniśmy się z nimi zadawać.

– Niewykluczone, że ona też pójdzie z nami.

– Och nie! To groźna dama. Na pewno nie chciałbyś jej mieć obok siebie. Zwłaszcza w miejscu, gdzie jest silna. Spróbuje znowu mnie schwytać. Może jej się udać.

– Będzie zbyt zajęta innymi sprawami – obiecałem. – A ja mogę jej potrzebować. Więc uznaj ją za część przesyłki.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

– Niestety, tak.

– Kiedy chcecie się tam dostać?

– Zależy to po części od tego, kiedy będą gotowi żołnierze Luke'a. Może byś to sprawdził?

– Dobrze. Jednak nadal uważam, że popełniasz błąd, udając się w takie miejsce z tymi ludźmi.

– Potrzebny mi ktoś, kto potrafi pomóc, a kości właściwie zostały już rzucone – odpowiedziałem.

Ghost zbiegł się do punktu, mrugnął i zgasł.

Wciągnąłem powietrze, zmieniłem zdanie co do westchnienia i ruszyłem do najbliższych drzwi mojego apartamentu, już niedaleko od miejsca, gdzie stałem. Sięgałem do klamki, kiedy poczułem wibrację atutowego kontaktu. Coral?

Otworzyłem umysł. Po raz drugi zjawił się przede mną Mandor.

– Wszystko w porządku? – spytał od razu. – Rozłączono nas w tak niezwykły sposób...

– Nic mi nie jest – zapewniłem. – Rozłączono nas w sposób, jaki trafia się raz na całe życie. Nie ma powodów do niepokoju.

– Jesteś chyba trochę zdenerwowany.

– To dlatego, że przejście z dołu na piętro trwa strasznie długo, kiedy usiłują w tym przeszkodzić wszystkie moce wszechświata.

– Nie rozumiem.

– Miałem ciężki dzień – mruknąłem. – Zobaczymy się później.

– Chciałem pogadać o tych sztormach, o nowym Wzorcu i...

– Później. Czekam na rozmowę.

– Przepraszam. Nie ma pośpiechu. Odezwę się jeszcze.

Przerwał kontakt, a ja sięgnąłem do zamka. Zastanawiałem się, czy rozwiązałbym problemy swoich znajomych, gdybym przerobił Ghosta na automatyczną sekretarkę.

# Rozdział 7

---

Powiesiłem płaszcz na Jaszce, a pas z mieczem na filarze łóżka. Wyczyściłem buty, umyłem ręce i twarz, wyszukałem ozdobną koszulę barwy kości słoniowej – marszczoną, z żabotem i brokatami. Włożyłem ją do szarych spodni. Potem odkurzyłem ciemnofioletowy żakiet. Kiedyś rzuciłem na niego czar, żeby właściciel wydawał się odrobinę bardziej czarujący, dowcipny i budzący zaufanie niż w rzeczywistości. Uznałem, że to dobra okazja, by go wykorzystać.

Szczotkowałem włosy, kiedy usłyszałem pukanie.

– Chwileczkę! – krzyknąłem.

Skończyłem. Byłem gotów do wyjścia i pewnie już spóźniony. Odsunąłem rygiel i otworzyłem drzwi.

Na progu stał Bill Roth, cały w brązach i czerwieniach. Wyglądał jak podstarzały kondotier.

– Bill! – uściśnąłem mu dłoń, rękę i ramię, i wprowadziłem do środka. – Miło cię widzieć. Właśnie wróciłem. Miałem mnóstwo kłopotów, a niedługo wyruszam szukać kolejnych. Nie wiedziałem, czy jesteś w pałacu. Chciałem cię poszukać, jak tylko sprawy trochę się ułożą.

Uśmiechnął się i lekko trzepnął mnie w ramię.

– Będę na kolacji – oznajmił. – Martin mówił, że też się wybierasz. Ale pomyślałem, że lepiej zajrzę i przejdę się z tobą. Tam będą ci ludzie z Begmy.

– Rozumiem. Masz jakieś wieści?

– Tak. Wiesz coś o Luke'u?

– Przed chwilą z nim rozmawiałem. Twierdzi, że odwołał wendetę.

– Jest szansa, że spróbuje się usprawiedliwić na tym przesłuchaniu, o które pytałeś?

– Z tego, co mówił raczej nie.

– Szkoda. Przeprowadziłem pewne badania. Są mocne precedensy dla obrony w sprawach wendety. Na przykład twój wuj Osric mścił się na całym rodzie Karm z powodu śmierci krewnego ze strony matki. W tym czasie Oberona łączyły z Karm bardzo przyjazne stosunki, a Osric zabił trzech z nich. Oberon uniewinnił go na przesłuchaniu. Swoją decyzję oparł na wcześniejszych sprawach. Posunął się nawet dalej: sformułował rodzaj ogólnej zasady...

– Oberon wysłał go także na front w wyjątkowo paskudnej wojnie – wtrąciłem. – Osric już z niej nie wrócił.

– O tym nie wiedziałem – zdziwił się Bili. – Ale z sądu wyszedł czysty.

– Muszę wspomnieć o tym Luke'owi.

– Którą część? – zapytał.

– Obie – odpowiedziałem.

– Ale nie o tym przede wszystkim chciałem z tobą porozmawiać – oznajmił. – Coś się dzieje w wojskowym skrzydle.

– O czym ty mówisz?

– Łatwiej będzie ci pokazać – odparł. – To zajmie tylko chwilę.

– Dobrze. Chodźmy. – Wyszedłem za nim na korytarz.

Prowadził do tylnych schodów i tam zboczył w lewo. Minęliśmy kuchnię i weszliśmy w następny korytarz, który skręcał na tyły pałacu. Z przodu dobiegały głośnie huki. Spojrzałem na Billa, a on skinął głową.

– To właśnie usłyszałem wcześniej – wyjaśnił. – Kiedy przechodziłem niedaleko. Dlatego

zabrałem cię tu na przechadzkę. Wszystko mnie tutaj interesuje.

Przytaknąłem. Rozumiałem to uczucie. Zwłaszcza że wiedziałem, iż hałas dobiega z głównej zbrojowni.

Benedykt stał na środku i przez lufę karabinu oglądał swój paznokieć. Natychmiast podniósł głowę i spojrzeliśmy sobie w oczy. Tuzin mężczyzn krzątał się dookoła; przenosili broń, czyścili broń, ustawiali broń.

– Myślałem, że jesteś w Kashfie – powiedziałem.

– Byłem.

Dałem mu czas, by kontynuował, ale nic z tego. Benedykt nigdy nie był szczególnie wylewny.

– Wygląda na to, że szykujesz się na coś blisko domu – zauważyłem. Wiedziałem, że proch strzelniczy jest tu bezużyteczny, a specjalna amunicja działa tylko w Amberze i niektórych przyległych królestwach.

– Ostrożność nigdy nie zawadzi – odparł.

– Czy zechciałbyś wytłumaczyć to dokładniej?

– Nie teraz – mruknął.

Odpowiedź była dwa razy dłuższa, niż się spodziewałem, i dawała nadzieję na przyszłe wyjaśnienia.

– Powinniśmy się okopywać? – zapytałem. – Fortyfikować miasto? Zbroić się? Zbierać...

– Nie będzie potrzeby – odparł. – Po prostu zajmujcie się swoimi sprawami.

– Ale...

Odwrócił się. Odniosłem wrażenie, że rozmowa dobiegła końca. Zyskałem pewność, gdy zignorował moje kolejne pytania. Wzruszyłem ramionami.

– Chodźmy jeść – poradziłem Billowi.

– Domyślasz się, co to znaczy? – zapytał, kiedy znów szliśmy korytarzem.

– Dalt jest w okolicy – odparłem.

– Benedykt był z Randomem w Kashfie. Może tam Dalt sprawia kłopoty.

– Mam przeczucie, że jest gdzieś bliżej.

– Gdyby Dalt planował schwytanie Randoma...

– Niemożliwe. – Na samą myśl dreszcz przebiegł mi po plecach. – Random może przeatutować się tutaj, kiedy tylko zechce. Nie. Spytałem o obronę Amberu, a Benedykt powiedział, że do tego nie dojdzie. Odniosłem wrażenie, że mówi o czymś bliskim. O czymś, nad czym potrafi zapanować.

– Rozumiem – zgodził się. – Ale potem dodał, że nie musimy się fortyfikować.

– Jeśli Benedykt uważa, że nie musimy, to znaczy, że nie musimy.

– Tańczyć i pić szampana, kiedy grzmia działa?

– Jeżeli Benedykt twierdzi, że można...

– Naprawdę mu ufacie. Co byście zrobili bez niego?

– Bylibyśmy bardziej nerwowi.

Pokręcił głową.

– Wybacz – mruknął. – Ale nie przywykłem do znajomości z legendami.

– Nie wierzysz mi?

– Nie powinienem, ale wierzę. W tym cały problem. – Umilkł. Minęliśmy zakręt i skierowaliśmy się do schodów. – Tak samo to wyglądało, kiedy rozmawiałem z twoim ojcem.

– Bill – zacząłem, kiedy weszliśmy na schody. – Znałeś tatę, zanim odzyskał pamięć, kiedy był jeszcze zwyczajnym Carlem Coreyem. Czy przypominasz sobie z tamtego okresu jego życia coś, co mogłoby wyjaśnić, gdzie jest teraz?

Zatrzymał się na moment.

– A wiesz, Merle, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Często myślałem, czy jako Corey nie zaangażował się w jakąś sprawę, którą czuł się w obowiązku dokończyć, kiedy załatwił już wszystko tutaj. Ale był wyjątkowo tajemniczym człowiekiem, nawet w tamtym wcieleniu. I pełnym sprzeczności. Wiele razy zaciągał się do różnych armii, co wydaje się dość logiczne. Ale czasem komponował muzykę, co przeczy wizerunkowi twardego faceta.

– Żył bardzo długo. Wiele się nauczył, wiele doświadczył.

– Istotnie. Dlatego trudno zgadnąć, w co mógł się zaangażować. Raz czy dwa, po kilku drinkach, wspominał ludzi sztuki i nauki... nigdy bym się nie domyślił, że może ich znać. Nigdy nie był zwyczajnym Carlem Coreym. Kiedy go znałem, jego wspomnienia obejmowały kilka stuleci historii. Taki człowiek ma zbyt złożoną osobowość, by był przewidywalny. Po prostu nie wiem, do czego mógłby wracać... o ile wrócił.

Szliśmy schodami w górę. Dlaczego miałem wrażenie, że Bill nie mówi mi wszystkiego?

W pobliżu jadalni usłyszałem dźwięki muzyki. Llewella obrzuciła mnie gniewnym wzrokiem. Potrawy czekały na stoliku pod ścianą i nikt jeszcze nie zajął miejsca. Goście stali z drinkami w rękach i rozmawiali. Większość spojrzała na nas, gdy stanęliśmy w progu. Trzech muzyków przygrywało po prawej stronie. Zastawiony stół czekał po lewej, niedaleko wielkiego okna w południowej ścianie. Roztaczał się stamtąd wspaniały widok na miasto. Wciąż prószył śnieg, dodając krajobrazowi widmowego blasku.

Llewella podeszła szybko.

– Wszyscy na was czekają – szepnęła. – Gdzie dziewczyna?

– Coral?

– A któż by inny?

– Nie jestem pewien, dokąd poszła – wyjaśniłem. – Rozstaliśmy się parę godzin temu.

– Ale przyjdzie czy nie?

– Nie jestem pewien.

– Nie możemy już dłużej czekać – stwierdziła. – A teraz cały rozkład miejsc diabli wzięli. Coś ty zrobił? Tak ją wymęczyłeś?

– Llewello...

Mruknęła coś w syczącym dialekcie Rebmy.

Może i lepiej, że nie zrozumiałem. Odwróciła się i odeszła do Vialle.

– Będiesz miał masę kłopotów, chłopcze – zauważył Bili. – Zajrzyjmy do baru, póki nie ustalą, jak rozsadzić gości.

Ale lokaj podchodził już z drinkami na tacy.

– Klejnot Bayle'a – zauważył Bili częstując się. Pociągnąłem łyk. Miał rację, co podniosło mnie na duchu.

– Nie znam tych wszystkich ludzi – mruknął. – Kim jest ten mężczyzna z czerwoną wstęgą, obok Vialle?

– To Orkuz, pierwszy minister Begmy – wyjaśniłem. – A ta atrakcyjna młoda dama w czerwono-żółtej sukni, która rozmawia z Martinem, to jego córka Nayda. Coral, za którą właśnie oberwałem, jest jej siostrą.

– Aha. A ta tęga blondynka, która robi słodkie oczy do Gerarda?

– Nie wiem. Nie znam też tej pary na prawo od Orkuza.

Podeszliśmy wolno do towarzystwa. Gerard, czując się chyba trochę nieswojo w strojnym kostiumie, przedstawił nas damie, z którą rozmawiał. Nazywała się Dretha Gannell i była asystentką

ambasadora Begmy. Ambasadorem okazała się wysoka kobieta stojąca obok Orkuza. Nazywała się, o ile zrozumiałem, Ferla Quist.

Mężczyzna przy niej był sekretarzem o imieniu brzmiącym jak Cade. Kiedy patrzeliśmy w ich stronę, Gerard spróbował się wymknąć i zostawić nas samych z Drethą. Zdażyła złapać go za rękaw i spytała o flotę. Uśmiechnąłem się, skinąłem im głową i odszedłem. Bill ruszył za mną.

– Boże wielki! Martin się zmienił! – zawołał nagle. – Wygląda jak jednoosobowy rockowy wideoklip. Ledwie go poznałem. W zeszłym tygodniu...

– Dla niego minął ponad rok – odparłem. – Wyjechał, żeby się odnaleźć na jakiejś ulicznej scenie.

– Ciekawe, czy mu się udało.

– Nie miałem okazji zapytać – odpowiedziałem. Przyszła mi do głowy niezwykła myśl. Odsunąłem ją.

Muzyka ucichła nagle. Llewella odchrząknęła i wskazała Hendona, który odczytał nowy rozkład miejsc. Ja miałem siedzieć u stóp stołu. Później dowiedziałem się, że po lewej stronie miała usiąść Coral, a po prawej Cade. Dowiedziałem się też, że w ostatniej chwili Llewella próbowała ściągnąć Florę, by zajęła miejsce Coral, ale Flora nie odpowiadała na wezwania.

W tej sytuacji Vialle zasiadła u szczytu, mając po prawej ręce Llewellę, a po lewej Orkuza. Gerard, Drethą i Bill poniżej Llewelli, Ferla, Martin, Cade i Nayda za Orkuzem. Odprowadziłem Naydę i usadziłem ją po mojej prawej stronie. Bill zajął miejsce po lewej.

– Ależ zamieszanie – mruknął.

Przytaknąłem, po czym przedstawiłem go Naydzie jako doradcę rodu Amber. Wywarło to na niej właściwe wrażenie; spytała o jego pracę. Oczarował ją opowieścią, jak to kiedyś w sporze o nieruchomość reprezentował interesy psa. Historia była zabawna, chociaż nie miała żadnego związku z Amberem. Nayda śmiała się, a wraz z nią Cade, który również słuchał.

Podano pierwsze danie, a muzycy zaczęli grać cicho.

Zmniejszyło to zasięg naszych głosów i zredukowało konwersację do bardziej intymnego poziomu. Bill dał znak, że ma mi coś do powiedzenia, ale Nayda wyprzedziła go o sekundę i już jej słuchałem.

– Chodzi o Coral – powiedziała cicho. – Jesteś pewien, że nic jej nie grozi? Nic jej nie dolegało, gdy się rozstawaliście, prawda?

– Nie – zapewniłem. – Wydawała się zupełnie zdrowa.

– To dziwne. Miałam wrażenie, że nie może się doczekać takiego przyjęcia.

– Najwyraźniej sprawy, które ją zajęły, trwały dłużej niż się spodziewała.

– A co właściwie ją zajęło? – zainteresowała się Nayda. – Gdzie się rozstaliście?

– Tutaj, w pałacu – odparłem. – Oprowadzałem ją. Pewnym elementom chciała poświęcić więcej czasu, niż mogłem jej ofiarować. Dlatego ją zostawiłem.

– Nie sądzę, by zapomniała o kolacji.

– Przypuszczam, że pochłonęła ją siła oddziaływania dzieła sztuki.

– Więc jesteś pewien, że przebywa w pałacu?

– W tej chwili trudno powiedzieć. Jak już mówiłem, zawsze mogła wyjść.

– To znaczy nie wiesz, gdzie teraz przebywa?

Przytaknąłem.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest w tej chwili. Równie dobrze mogła już wrócić i właśnie się przebiera.

– Sprawdzę po kolacji – oświadczyła. – Jeśli do tego czasu nie przyjdzie. Gdyby tak się stało, pomożesz mi ją znaleźć?

– I tak planowałem jej poszukać – zgodziłem się. – Jeśli się wkrótce nie zjawi.

Kiwnęła głową i zajęła się jedzeniem. Niezręczna sytuacja. Poza tym, że nie chciałem jej niepokoić, nie mogłem przecież wyjawiać prawdy. Byłoby jasne, że jej siostra jest w rzeczywistości nieślubną córką Oberona. Uprzedzono mnie, bym nie mówił niczego, co mogłoby pogorszyć stosunki między Amberem i Begmą. Nie mogłem więc przyznać córce premiera Begmy, że prawdą jest plotka o romansie jej matki ze zmarłym królem Amberu. Może u nich było to tajemnicą poliszynela i nikt się tym nie przejmował. A może nie. Wolałem nie prosić Rando o radę. Przede wszystkim był bardzo zajęty w Kashfie, ale głównie dlatego, że zacząłby wypytywać o moje plany i problemy. Nie chciałem go okłamywać, a prawda ściągnęłaby same kłopoty. Taka rozmowa mogła doprowadzić do zakazu ataku na Twierdzę. Vialle była jedyną osobą, której mogłem opowiedzieć o Coral i uzyskać coś w rodzaju oficjalnego stanowiska. Niestety, w tej chwili Vialle całkowicie pochłaniały obowiązki pani domu.

Z westchnieniem wróciłem do jedzenia.

Bili spojrzał znacząco i pochylił się lekko w moją stronę. Ja też się pochyliłem.

– Tak?

– Chciałem ci opowiedzieć o kilku sprawach – zaczął. – Chociaż miałem nadzieję na spokojniejszą chwilę.

Parsknąłem.

– No właśnie – mówił dalej. – Nie możemy chyba liczyć na lepszą okazję. Na szczęście głos nie sięga daleko. Nie słyszałem, o czym mówiliście z Nayda. Czyli: dopóki gra muzyka, możemy rozmawiać.

Kiwnąłem głową, przełknąłem kilka kęsów.

– Rzecz w tym, że Begmanie nie powinni tego słyszeć. Ale ty powinieneś wiedzieć, ze względu na twoje stosunki z Lukiem i Jastrą. Jakie masz plany? Wolałbym porozmawiać kiedy indziej, ale jeśli ci się spieszy, mogę już teraz powiedzieć o zasadniczych kwestiach.

Rzuciłem okiem na Naydę i Cade'a. Wydawali się całkowicie pochłonięci jedzeniem i chyba nie mogli nas słyszeć. Na nieszczęście, nie miałem pod ręką żadnego ochronnego zaklęcia.

– Mów – szepnąłem, kryjąc usta kieliszkiem.

– Przede wszystkim Random przesłał mi do przejrzania cały stos papierów. To szkic traktatu, w którym Amber przyznaje Kashfie klauzulę najwyższego uprzywilejowania, taką samą jak Begmie. Czyli na pewno zostaną dopuszczeni do Złotego Kręgu.

– Rozumiem – mruknąłem. – Nie jest to zupełne zaskoczenie. Ale dobrze wiedzieć, co się dzieje.

Kiwnął głową.

– To jeszcze nie wszystko – dodał.

W tej właśnie chwili muzycy ucichli i znowu mogłem słyszeć głosy biesiadników. Zerknąłem na prawo – lokaj zaniósł właśnie grającym tacę z jedzeniem i wino. Odłożyli instrumenty i szykowali się do przerwy. Zapewne grali już dość długo, zanim się zjawiłem. Bez wątplenia należał im się odpoczynek.

Bili parsknął.

– Później – rzucił.

– Dobrze.

Podano niezwykłą potrawkę z owoców w przedziwnym sosie. Zaatakowałem go łyżeczką, gdy Nayda znów na mnie skinęła. Schyliłem się ku niej.

– Może dziś wieczorem? – szepnęła.

– O co chodzi? Obiecałem, że jej poszukam, jeśli się nie pojawi.

Pokręciła głową.

– Nie o tym mówię – oświadczyła. – Co robisz później? Znajdziesz wolną chwilę, żeby odwiedzić mnie i porozmawiać?

– O czym?

– Według twoich akt, miałeś ostatnio niejaki problemy z kimś, kto próbował cię zabić. Zacząłem się zastanawiać nad tymi przeklętymi aktami.

– Są nieaktualne – stwierdziłem. – Cokolwiek w nich jest, zostało już załatwione.

– Naprawdę? Zatem nikt już cię nie ściga?

– Tego bym nie powiedział. Ale zmieniła się obsada głównych ról.

– A więc nadal ktoś ma cię na celu?

Przyjrzałem się jej twarzy.

– Jesteś miłą dziewczyną, Naydo – powiedziałem. – Ale muszę spytać, co cię to obchodzi? Każdy ma swoje problemy. Ja chwilowo mam ich więcej niż zwykle. Rozwiążę je.

– Albo zginiesz próbując?

– Może. Mam nadzieję, że nie. Ale dlaczego cię to interesuje?

Zerknęła na Cade'a, który wydawał się skupiony na jedzeniu.

– Możliwe, że potrafiłabym ci pomóc.

– W jaki sposób?

Uśmiechnęła się.

– Poprzez proces eliminacji – rzekła.

– Naprawdę? Czy dotyczy to osoby lub osób?

– W samej rzeczy.

– Masz jakieś szczególne środki rozwiązywania tego typu spraw?

Nadal się uśmiechała.

– Owszem, doskonale dla usuwania kłopotów powodowanych przez ludzi. Potrzebne są tylko ich imiona i miejsca pobytu.

– Jakaś tajna broń?

Podniosłem lekko głos; znowu spojrzała na Cade'a.

– Można tak to określić – odpowiedziała.

– Interesująca propozycja – przyznałem. – Ale wciąż nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie.

– Mógłbyś odświeżyć mi pamięć?

Przerwał nam lokaj, który obszedł stół, dolewając do kielichów, a potem kolejny toast. Pierwszy był za Vialle, wzniesiony przez Llewellę. Następny zaproponował Orkuz, za "starożytne przymierze i tradycyjnie dobre stosunki Amberu i Begmy". Wypiłem.

– Będą bardziej napięte – usłyszałem mruczenie Billa.

– Stosunki?

– Aha.

Rzuciłem okiem na Naydę: przyglądała mi się. Najwyraźniej oczekiwała, że podejmiemy naszą szeptaną konwersację. Bili także to zauważył i odwrócił się. Wtedy jednak Cade zaczął coś mówić do Naydy. Czekać skończyłem to, co zostało na talerzu. Łyknąłem wina. Po chwili lokaj zabrał nakrycie i zaraz podał następne.

Zerknąłem na Billa. Ten spojrzał na Cade'a i Naydę.

– Zaczekaj na muzykę – mruknął. Kiwnąłem głową. W krótkiej chwili ciszy usłyszałem głos Drethy:

– Czy to prawda, że duch króla Oberona ukazuje się czasami w pałacu?

Gerard burknął coś, co brzmiało jak potwierdzenie. Znów podniósł się gwar. Umysł miałem pełniejszy od żołądka, więc zabrałem się do jedzenia. Cade, próbując zachować się dyplomatycznie, a może po prostu dla nawiązania rozmowy, zwrócił się do mnie z pytaniem, co sędzę o sytuacji w Eregnorze. I nagle drgnął gwałtownie, po czym spojrzał na Naydę. Odniosłem silne wrażenie, że właśnie kopnęła go pod stołem. I bardzo dobrze, ponieważ nie miałem pojęcia, jaka właściwie jest sytuacja w Eregnorze. Wymruczałem coś w rodzaju, że zwykle obie strony mają swoje racje, co uznałem za wystarczająco dyplomatyczną odpowiedź na każde pytanie. Gdyby rzecz była drażliwa, mógłbym skontrolować niewinną uwagę na temat wcześniejszego przybycia begmańskiej delegacji. Jednak Eregnor był może tematem na dłuższą poważną dyskusję, czego Nayda wolała uniknąć, gdyż przerwałoby to naszą rozmowę. Poza tym miałem przecucie, że Llewella mogłaby zmaterializować się nagle i kopnąć mnie pod stołem.

I nagle uderzyła mnie pewna myśl. Czasami trochę wolno kombinuję. Oni oczywiście wiedzieli, że Random wyjechał. Z tego, co słyszałem i co powiedział Bill, nie byli zadowoleni z naszych planów co do sąsiedniego królestwa. Ich wcześniejsze przybycie miało nas w jakiś sposób postawić w niezręcznej sytuacji. Czy oznacza to, że oferta Naydy jest elementem jakiejś intrygi, związanej z ich strategią dyplomatyczną? Jeśli tak, dlaczego wybrali właśnie mnie? Marnie trafili, ponieważ moje zdanie nie ma żadnego znaczenia dla polityki zagranicznej Amberu. Czy byli tego świadomi? Z pewnością, jeżeli ich służby wywiadowcze są tak sprawne, jak sugerowała Nayda. Byłem zdziwiony i miałem ochotę zapytać Billa o jego pogląd na sytuację w Eregnorze. Ale wtedy to on mógłby mnie kopnąć pod stołem.

Muzycy skończyli posiłek i zagrali "Greensleeves". Nayda i Bill równocześnie pochyłili się w moją stronę, podnieśli głowy i spojrzeli sobie w oczy. Uśmiechnęli się.

– Damy mają pierwszeństwo – rzekł głośno Bill. Skłoniła się.

– Czy rozważyłeś moją propozycję? – zapytała.

– Częściowo – odparłem. – Ale zadałem pytanie. Pamiętasz?

– Jakie?

– To ładnie z twojej strony, że chcesz mi wyświadczyć przysługę – powiedziałem. – Ale w takich czasach jak nasze, musisz zrozumieć, że wolę poznać cenę.

– A jeśli powiem, że zupełnie wystarczy twoja dobra wola?

– A jeśli wyjaśnię, że moja dobra wola nie ma większego znaczenia dla tutejszej polityki?

Wzruszyła ramionami.

– Niewielka cena za niewielki wysiłek. Wiedziałam o tym. Ale ze wszystkimi jesteś spokrewniony. Może nic się nie zdarzy, ale możliwe, że ktoś kiedyś zapyta cię o opinię na nasz temat. Chcę, żebyś wiedział, że masz w Begmie przyjaciół i gdyby to nastąpiło, żebyś dobrze o nas myślał.

Studiowałem jej bardzo poważną twarz. Chodziło o coś więcej i oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Tylko że ja nie wiedziałem, co nadciąga zza horyzontu, a ona wyraźnie tak.

Wyciągnąłem rękę i grzbietem dłoni pogładziłem ją po policzku.

– Powinienem zatem powiedzieć o was coś miłego, gdyby ktoś mnie pytał. Nic więcej. I za to wy zabijecie dla mnie, jeśli tylko wskażę kogo. Zgadza się?

– Ujmując rzecz jednym słowem: tak – odparła.

– Zastanawiam się, skąd wiara, że potrafcie dokonać zabójstwa lepiej od nas. Mamy spore doświadczenie.

– Mamy, jak to określiłeś, tajną broń – wyjaśniła. – Myślałam jednak, że to dla ciebie sprawa osobista, nie państwowa, że nie zechcesz mieszać w to pozostałych. Ponadto oferuję ci usługę, która nie pozostawi śladów.



Znowu problem. Uważała, że nie ufam krewnym, czy też sugerowała, że nie powinienem? Co takiego wiedziała, o czym ja nie miałem pojęcia? A może tylko zgadywała, opierając się na historii Amberu, pełnej rodzinnych intryg? Czy też świadomie próbowała zapoczątkować konflikt pokoleń? Czy posłużyłby jakoś celom Begmy? Albo... może sądziła, że konflikt taki już trwa i proponowała, że usunie dla mnie kogoś z rodziny? Jeśli nawet, to chyba nie była tak głupia, by wierzyć, że takie zadanie zlecę komuś obcemu? Czy choćby zechcę o tym rozmawiać, dając w ten sposób Begmie dowody do ręki i zdając się na ich klęskę? Albo...

Przestałem się zastanawiać. Byłem zadowolony, że procesy myślowe zaczęły przebiegać odpowiednio do towarzystwa, jakim są moi krewni (z obu gałęzi rodziny). Trochę trwało, zanim to opanowałem. Przyjemne uczucie.

Zwykła odmowa wykluczy wszystkie powyższe możliwości. Ale z drugiej strony, gdybym pociągnął ją trochę za język, Nayda może się okazać cennym Źródłem informacji.

Zatem...

– Uderzycie każdego, kogo wskażę? – spytałem. Z uwagą wpatrywała się w moją twarz.

– Tak – oświadczyła.

– Znowu musisz mi wybaczyć – stwierdziłem. – Ale taka obietnica w zamian za coś tak niematerialnego, jak moja dobra wola, każe mi zastanowić się nad twoją szczerością.

Poczerwieniała. Nie jestem pewien, czy był to zwykły rumieniec czy oznaka gniewu, bo odwróciła się natychmiast. Nie zmartwiłem się tym, ponieważ uważałem, że takimi sprawami rządzi rynek nabywcy.

Wróciłem do jedzenia i zdążyłem przełknąć parę kęsów, nim do mnie wróciła.

– Czy mam przez to rozumieć, że nie zajrzysz do mnie wieczorem? – spytała.

– Nie mogę. Będę bardzo zajęty.

– Wierzę, że masz wiele zajęć. Ale czy oznacza to, że wcale nie będziemy mogli porozmawiać?

– Wszystko zależy od tego, jak rozwinie się sytuacja – odparłem. – Muszę dopilnować bardzo wielu spraw. Możliwe, że niedługo wyjadę z miasta.

Zadrżała lekko. Chciała pewnie zapytać, dokąd się wybieram, ale zrezygnowała.

– Jestem w niezręcznej sytuacji – stwierdziła. – Czy odrzucasz moją ofertę?

– A czy jest ważna tylko przez dzisiejszy wieczór?

– Nie. Ale według moich informacji, grozi ci niebezpieczeństwo. Im szybciej zaatakujesz nieprzyjaciela, tym szybciej będziesz mógł spać spokojnie.

– Uważasz, że coś grozi mi tutaj, w Amberze?

Zawahała się.

– Nikt nigdzie nie jest bezpieczny, jeśli ma dostatecznie zdecydowanego i sprawnego przeciwnika.

– Uważasz, że zagrożenie jest natury lokalnej? – zapytałem.

– Prosiłam, żebyś określił swego wroga – przypomniała. – Sam najlepiej powinieneś wiedzieć.

Wycofałem się natychmiast. Pułapka była zbyt oczywista i najwyraźniej ona też ją dostrzegła.

– Dałaś mi wiele do myślenia – stwierdziłem i wróciłem do jedzenia.

Po chwili zauważyłem, że Bill przygląda mi się, jakby chciał coś powiedzieć. Pokręciłem głową – ledwie dostrzegalnie, ale chyba zrozumiał.

– Może przy śniadaniu? – usłyszałem pytanie Naydy. – Ta wyprawa, o której wspominałeś, może być okresem szczególnego zagrożenia. Lepiej zakończyć nasze sprawy, zanim wyruszysz.

– Naydo – powiedziałem, gdy tylko przełknąłem. – Chciałbym wiedzieć, kto jest moim dobroczyńcą. Gdybym omówił to z twoim ojcem...

– Nie! – przerwała. – On nic nie wie!

– Dziękuję. Rozumiesz chyba moją ciekawość co do poziomu, na którym powstał ten plan.

– Nie musisz dalej szukać – oznajmiła. – To wyłącznie mój pomysł.

– Niektóre z twoich stwierdzeń sugerowały, że masz wyjątkowo dobre stosunki z organizacjami wywiadowczymi Begmy.

– Nie. Zupełnie zwyczajne. To ja złożyłam ci ofertę.

– Ale ktoś musi... zrealizować te plany.

– Tu właśnie wkracza tajna broń.

– Muszę dowiedzieć się czegoś więcej na jej temat.

– Zaproponowałam ci przysługę i obiecałam całkowitą dyskrecję. Nie będę zdradzać, jakich użyję środków.

– Jeśli to ty jesteś autorką tego planu, można by sądzić, że odniesiesz osobiste korzyści. Jakie? Co ci z tego przyjdzie?

Odwróciła wzrok. Milczała przez długą chwilę.

– Twoje akta – odezwała się wreszcie. – To była fascynująca lektura. Jesteś tu jednym z niewielu ludzi mniej więcej w moim wieku, a prowadziłeś takie ciekawe życie. Nie wyobrażasz sobie, jak nudne rzeczy zwykle czytuję: raporty o stanie rolnictwa, dane handlowe, studia budżetowe. Nie mam życia towarzyskiego. Zawsze jestem do dyspozycji. Każde przyjęcie, na jakim się zjawię, jest właściwie obowiązkiem służbowym w tej czy innej postaci. Czytałam twoje akta raz, drugi, trzeci... i myślałam o tobie. Chyba mnie oczarowałeś. Wiem, że brzmi to głupio, ale taka jest prawda. Kiedy zobaczyłam ostatnie raporty, zrozumiałam, że grozi ci wielkie niebezpieczeństwo, postanowiłam ci pomóc, jeśli tylko zdołam. Mam dostęp do wszelkiego rodzaju tajemnic państwowych. Jedna z nich daje mi możliwość udzielenia ci pomocy. Wykorzystanie jej poprawi twoją sytuację i nie zaszkodzi Begmie. Ale więcej nie mogę powiedzieć. To byłoby nielojalne. Zawsze chciałam cię poznać. Zazdrościłam siostrze, kiedy zabrałaś ją dzisiaj na przechadzkę. I nadal pragnę, żebyś mnie później odwiedził.

Patrzyłem na nią bez słowa. Potem uniosłem w jej stronę kielich i łyknąłem wina.

–+ Jesteś... niezwykła – powiedziałem.

Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Albo wymyśliła to na poczekaniu, albo mówiła prawdę. Jeśli to prawda, była godna współczucia. Jeśli nie, była bardzo pomysłowa i próbowała ugodzić mnie w ten cudownie wrażliwy punkt: moje ego. Zasługiwała na sympatię albo ostrożny podziw.

Dlatego dodałem jeszcze:

– Chciałbym poznać osobę, która przesyła te raporty. To być może wielki talent pisarski, marnowany na rządowej posadzie.

Z uśmiechem wzniosła swój kielich i dotknęła mojego.

– Pomyśl o tym.

– Słowo daję, że nigdy o tobie nie zapomnę – obiecałem.

Oboje zajęliśmy się jedzeniem. Przez następne pięć minut próbowałem odrobić straty. Bill uprzejmie mi nie przeszkadzał. Chyba chciał się też upewnić, że moja rozmowa z Naydą rzeczywiście dobiegła końca.

W końcu mrugnął do minie.

– Masz wolną chwilę? – zapytał.

– Niestety, tak.

– Nie będę nawet pytał, czy po drugiej stronie mówiłeś o interesach czy przyjemnościach.

– To była przyjemność – odparłem. – Ale niezwykły interes. Nie każ mi tłumaczyć, bo stracę deser.

– Będę się streszczał – oświadczył. – Koronacja w Kashfie odbędzie się jutro.

– Nie marnujemy czasu, co?

– Nie. Dżentelmen, który zasiądzie na tronie, to Arkans, diuk Shadburne. Przez długie lata zajmował odpowiedzialne stanowiska rządowe. Naprawdę wie, jak powinno się pracować, i jest luźno spokrewniony z którymś z wcześniejszych monarchów. Nie zgadzał się z ludźmi Jasry i póki byli u władzy, przebywał w swojej wiejskiej rezydencji. Ona mu nie przeszkadzała i on też jej nie przeszkadzał.

– Rozsądny układ.

– Co więcej, podzielał jej pogląd na sytuację w Eregnorze, z czego Begmanie doskonale zdają sobie sprawę...

– Na czym właściwie polega ta sytuacja w Eregnorze? – przerwałem.

– Eregnor to ich Alzacja i Lotaryngia – wyjaśnił. – Rozległy, bogaty region pomiędzy Kashfą i Begmą. Przez wieki tyle razy przechodził z rąk do rąk, że obie strony mają prawne podstawy żądać go dla siebie. Nawet mieszkańcy Eregnoru nie są zbyt pewni, kogo wybrać. Mają rodziny po obu stronach. Nie jestem przekonany, czy w ogóle się przejmują, który kraj ich wchłonie... byle tylko nie wzrosły podatki. Wydaje mi się, że żądania Begmy mają trochę mocniejsze podstawy, ale mógłbym reprezentować obie strony.

– Teraz rządzi tam Kashfa i Arkans twierdzi, że nigdy w życiu nie odda Eregnoru?

– Tak jest. To samo mówiła Jasra. Ale poprzedni władca... miał na imię Jaston i był wojskowym... skłaniał się ku negocjacjom. Niestety, dość nieszczęśliwie wypadł z balkonu. Myślę, że chciał poprawić stan skarbcza i rozważał oddanie regionu w zamian za wypłacenie jakichś dawnych odszkodowań wojennych. Rozmowy były już dość zaawansowane.

– I...?

– W dokumentach, które przysłał mi Random, Amber uznaje Kashfę w granicach obejmujących Eregnor. Arkans nalegał, by znalazło się to w traktacie. Zwykle... sądząc po aktach, które udało mi się znaleźć w archiwach... Amber unika mieszania się w takie spory między swoimi sojusznikami. Ale Random wyraźnie się spieszy i pozwala dyktować sobie warunki.

– Przesadza – stwierdziłem. – Chociaż trudno go winić. Zbyt dobrze pamięta Branda.

Bill przytaknął.

– Ja tylko dla niego pracuję – mruknął. – Wolę nie wyrażać własnych opinii.

– Czy coś jeszcze powinienem wiedzieć o Arkansie?

– Och, istnieje wiele powodów, dla których nie podoba się Begmie, ale ten jest najważniejszy. A już sądzili, że dokonuje się pewien postęp w sporze, od pokoleń będącym rozrywką obu narodów. Oni nawet prowadzili wojny o Eregnor. Z pewnością dlatego przybyli tu w takim pośpiechu. Zachowuj się odpowiednio.

Napił się wina.

W chwilę później Vialle powiedziała coś do Llewelli, wstała i oznajmiła, że musi dopilnować pewnej sprawy i że wkrótce wróci. Llewella także zaczęła się podnosić, ale Vialle powstrzymała ją, szepnęła coś do ucha i odeszła.

– Ciekawe, o co chodzić? – mruknął Bili.

– Nie wiem – odpowiedziałem.

Uśmiechnął się.

– Będziemy zgadywać?

– Mój umysł pracuje na autopilocie – uprzedziłem.

Nayda spojrzała na mnie z uwagą. Wzruszyłem ramionami.

Minęło jeszcze kilka minut, sprzątnięto nakrycia i wniesiono kolejne potrawy. Czymkolwiek były, wyglądały apetycznie. Nim zdążyłem zbadać, jak smakują, któraś z dam dworu weszła na salę i zbliżyła się do mnie.

– Lordzie Merlinie – powiedziała. – Królowa chce cię zobaczyć. Poderwałem się natychmiast.

– Gdzie jest?

– Zaprowadzę cię do niej.

Przeprosiłem sąsiadów przy stole. Zacytowałem Vialle mówiąc, że wkrótce wrócę. Nie miałem pojęcia, czy rzeczywiście tak będzie. Dama dworu wskazała mi drogę na zewnątrz, do niewielkiego saloniku za zakrętem korytarza. Tu zostawiła mnie sam na sam z Vialle, siedzącą w niewygodnym z wyglądu fotelu o wysokim oparciu, z ciemnego drewna i skóry łączonych kutymi ćwiekami.

Gdyby potrzebowała mięśni, wezwałaby Gerarda. Gdyby umysłu pełnego wiedzy historycznej i politycznych intryg, na moim miejscu stałaby Llewella. Domyśliłem się więc, że chodzi o magię, ponieważ w tej dziedzinie ja byłem dyżurnym ekspertem.

Mylłem się jednak.

– Chcę z tobą porozmawiać – zaczęła – na temat tej drobnej wojny, do której mamy właśnie przystąpić.

# Rozdział 8

---

Po miłym spacerze z piękną damą, po serii interesujących rozmów w korytarzu, po spokojnej kolacji z rodziną i przyjaciółmi, wydawało się niemal właściwe, by kolejne zdarzenie było zupełnie innej natury. W każdym razie niewielka wojna jest chyba lepsza od wielkiej, pomyślałem, chociaż wolałem nie mówić tego głośno. Po chwili głębokiego namysłu sformułowałem pytanie.

– Co się dzieje?

– Ludzie Dalta okopali się niedaleko zachodniej granicy Ardeny – wyjaśniła. – Oddziały Juliana blokują im drogę. Benedykt wziął resztę ludzi Juliana i broń. Twierdzi, że może wykonać manewr oskrzydający i rozbić przeciwnika. Ale nie pozwoliłam mu.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– Zginą ludzie.

– Tak zwykle bywa na wojnie. Czasem nie ma wyboru.

– Ale my mamy wybór... w pewnym sensie – odparła. – To coś, czego nie rozumiem. A chcę zrozumieć, zanim wydam rozkaz, w wyniku którego wielu ludzi straci życie.

– Jaki jest ten wybór? – spytałem.

– Przyszłam tutaj, by odpowiedzieć Julianowi na wezwanie przez Atut. Przed chwilą pod białą flagą rozmawiał z Daltem. Dalt twierdzi, że jego celem nie jest, przynajmniej w tej chwili, zniszczenie Amberu. Zauważył też, że mógłby poprowadzić kosztowny szturm, kosztowny w sensie naszych ludzi i sprzętu. Twierdzi, że woli raczej zaoszczędzić strat nam i sobie. Tak naprawdę chce, żebyśmy przekazali mu dwóch więźniów: Luke'a i Jasrę.

– Co? – zdziwiłem się. – Gdybyśmy nawet chcieli, nie możemy oddać mu Luke'a. Nie ma go tutaj.

– To właśnie powiedział mu Julian. Dalt był zaskoczony. Z jakichś powodów wierzył, że trzymamy Luke'a w niewoli.

– Nie mamy obowiązku go informować. Jak rozumiem, od lat już wchodzi nam w drogę. Uważam, że Benedykt ma dla niego właściwą odpowiedź.

– Nie prosiłam cię o radę – przypomniała.

– Przepraszam. Ale nie lubię patrzeć, jak ktoś próbuje nam wyciąć taki numer i myśli, że może wygrać.

– Nie może wygrać – oświadczyła Vialle. – Ale jeśli zabijemy go teraz, nie dowiemy się już niczego. Wolałabym się przekonać, o co w tym wszystkim chodzi.

– Niech Benedykt go przyprowadzi. Znam zaklęcia, które zmuszą go do mówienia. Pokręciła głową.

– Zbyt ryzykowne. Kiedy zaczną latać kule, któraś może go trafić. A wtedy, mimo zwycięstwa, odniesiemy porażkę.

– Nie bardzo rozumiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Dalt prosił Juliana, żeby skontaktował się z nami i przekazał jego żądania. Obiecał dotrzymać zawieszenia broni, póki nie uzyska oficjalnej odpowiedzi. Julian odniósł wrażenie, że Daltowi wystarczy tylko jedno z tych dwojga.

– Nie mam ochoty oddawać mu Jasry.

– Ja też nie. Ale mam wielką ochotę dowiedzieć się, o co chodzi. Nie ma sensu uwalniać Jasry i pytać ją o to, ponieważ idzie o niedawne wydarzenia. Chcę wiedzieć, czy możesz skontaktować się z Rinaldem. Muszę z nim porozmawiać.

– No więc hm... tak – przyznałem. – Mam jego Atut.

– Użyj go.

Wyjąłem kartę. Spojrzałem. Przeniosłem umysł w ten szczególny region czujności i wezwania.

Obraz zmienił się, ożył...

Trwał zmierzch, a Luke stał obok ogniska. Miał na sobie zielony strój, a na ramionach jasnobrązowy płaszcz spięty broszką z feniksem.

– Merle – powiedział. – Mogę przerzucić oddział właściwie zaraz. Kiedy chcesz zaatakować...

– Zaczekaj z tym – przerwałem. – Chodzi o coś innego.

– Co?

– Dalt stoi u bram, a Vialle chce z tobą porozmawiać, zanim go rozniesiemy.

– Dalt? Tam? W Amberze?

– Tak, tak i tak. Twierdzi, że pójdzie się bawić gdzie indziej, jeśli podarujemy mu dwie rzeczy, których pragnie najbardziej na świecie: ciebie i twoją matkę.

– To bez sensu.

– Owszem. Też tak sądzimy. Czy porozmawiasz o tym z królową?

– Jasne. Przerzucić... – Zawahał się i spojrzał mi w oczy.

Odpowiedziałem uśmiechem.

Wyciągnął rękę. Chwyciłem ją. I nagle stanął obok mnie. Rozejrzał się, dostrzegł Vialle i bez namysłu odpiął miecz. Wręczył mi go. Podszedł do niej, przyklęknął na prawe kolano i schylił głowę.

– Wasza wysokość – powiedział. – Przybyłem. Dotknęła go.

– Unieś głowę – poprosiła.

Przesunęła czułymi palcami po płaszczyznach i łukach jego twarzy.

– Siła... – powiedziała. – I zgryzota. Więc ty jesteś Rinaldo. Sprawiliś nam wiele smutku.

– I odwrotnie, wasza wysokość.

– Tak, oczywiście – westchnęła. – Krzywdy uczynione i krzywdy pomszczone sprowadzają nieszczęścia na niewinnych. Jak daleko posunie się to tym razem?

– Ta sprawa z Daltem? – zapytał.

– Nie. Ta sprawa z tobą.

– Aha. Jest skończona. Poza mną. Nie będzie więcej bomb ani pułapek. Powiedziałem już o tym Merlinowi.

– Znasz go od lat?

– Tak.

– Zaprzyjaźniliście się?

– Jest jednym z powodów, dla których odwołałem wendetę.

– Musisz mu ufać, skoro tu przybyłeś. Szanuję to – oznajmiła. – Weź go.

Ze wskazującego palca zdjęła pierścień. Obrączka była złota, a kamień mlecznozielony. Nitki oprawy przywodziły na myśl pająka, który przed światem dnia strzeże skarbcza krainy snów.

– Wasza wysokość...

– Noś go – powiedziała.

– Będę – zapewnił, wsuwając pierścień na mały palec lewej ręki. – Dzięki ci.

– Powstań. Chcę, żebyś dokładnie wiedział, co zaszło.

Podniósł się, a ona zaczęła mu opowiadać to, co mnie przed chwilą: o przybyciu Dalta, rozmieszczeniu jego sił, jego żądaniach. A ja stałem oszołomiony implikacjami jej czynu. Właśnie wzięła Luke'a pod swoją opiekę.

Wszyscy w Amberze znali ten pierścień. Zastanawiałem się, co powie Random. I wtedy

rozumiałem, że nie będzie żadnego przesłuchania. Biedny Bill. Naprawdę miał ochotę bronić Luke'a.

– Tak, znam Dalta – mówił Luke. – Kiedyś łączyły nas... wspólne cele. Ale zmienił się. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, próbował mnie zabić. Z początku myślałem, że zapanował nad nim czarnoksiężnik z Twierdzy.

– A teraz?

– Teraz po prostu nie wiem. Mam wrażenie, że ktoś trzyma go na smyczy, ale nie mam pojęcia kto.

– Dlaczego nie czarnoksiężnik?

– Po co miałby używać takich sposobów, kiedy miał mnie w niewoli i wypuścił parę dni temu?

Mógł po prostu zostawić mnie w celi.

– To prawda – przyznała. – Jak ma na imię ten mag?

– Maska. Merlin wie o nim więcej ode mnie.

– Merlinie – zwróciła się do mnie. – Kim jest ten Maska?

– To czarownik, który odebrał Jaszce Twierdzę Czterech Światów – wyjaśniłem. – Ona z kolei odebrała ją Sharu Garrulowi, który obecnie także służy za wieszak. Maska nosi błękitną maskę i wydaje się, że czerpie energię z niezwyklej Fontanny w cytadeli. I chyba nie bardzo mnie lubi. To mniej więcej wszystko, co mogę o nim powiedzieć.

Wolałem nie wspominać o swym planie wyruszenia tam wkrótce – z powodu zamieszania w tę sprawę Jurta – i stoczenia decydującej walki. Z tych samych przyczyn nie chciałem, by dowiedział się o tym Random. Byłem pewien, że Luke rzucił na mnie odpowiedź, ponieważ nie wiedział, jak daleko może się posunąć.

– To niewiele wyjaśnia – stwierdziła. – W kwestii zamiarów Dalta.

– Może nie być żadnego związku – zauważyłem. – Jak rozumiem, Dalt jest najemnikiem i ich współpraca mogła być tylko chwilowa. Teraz wynajął go może ktoś inny albo załatwia własne sprawy.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego jesteśmy mu tak potrzebni, że próbuje takich drastycznych metod – wtrącił Luke. – Ale mam z nim rachunki do wyrównania i chętnie połączę interesy z przyjemnością.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Przypuszczam, że jest jakiś sposób, bym dostał się tam możliwie szybko – odparł.

– Zawsze można cię przeatutować do Juliana – wtrąciłem. – Ale co zamierzasz zrobić, Luke?

– Chcę porozmawiać z Daltem.

– To zbyt niebezpieczne – zauważyła Vialle. – Ponieważ on właśnie ciebie chce dostać. Luke wyszczerzył zęby.

– Dla Dalta to też może być niebezpieczne – odparł.

– Zaczekaj – przerwałem mu. – Jeśli planujesz coś więcej niż rozmowę, możesz zerwać zawieszenie broni. Vialle próbuje uniknąć bitwy.

– Nie będzie żadnej bitwy. Znam Dalta od dziecka i uważam, że blefuje. Czasami to robi. Nie dysponuje taką siłą, by jeszcze raz zaryzykować szturm na Amber. Wasi ludzie wybiliby jego oddział do nogi. Jeśli chce dostać mamę i mnie, powinien mi wytłumaczyć dlaczego. A tego przecież chcemy się dowiedzieć.

– No tak – przyznałem. – Ale...

– Pozwólcie mi – zwrócił się do Vialle. – A znajdę sposób, żeby go stąd usunąć. Obiecuję.

– Kuisz mnie – powiedziała. – Ale nie podoba mi się to, co mówisz o wyrównywaniu rachunków. Jak stwierdził Merlin, chcę uniknąć bitwy... z wielu powodów.

– Obiecuję, że nie dopuszczę, by sprawy zaszły tak daleko. Potrafię wyczuć koniunkturę. Mam

intuicję. Mogę zrezygnować z prowizji.

– Merlinie...?

– To prawda – przyznałem. – Jest najlepszym specem od marketingu na całym południowym zachodzie.

– Obawiam się, że nie rozumiem tego pojęcia.

– To bardzo wyspecjalizowana sztuka na Cieniu-Ziemi, gdzie obaj mieszkaliśmy. Szczerze mówiąc, używa jej właśnie wobec ciebie.

– Sądzisz, że zdoła dokonać tego, o czym mówi?

– Uważam, że doskonale sobie radzi w zdobywaniu tego, na czym mu zależy.

– W samej rzeczy – wtrącił Luke. – A ponieważ wszystkim nam zależy na tym samym, przyszłość rysuje się różowo.

– Rozumiem, co miałeś na myśli – rzekła. – Jakie niebezpieczeństwo może ci zagrozić, Rinaldo?

– Będę tak samo bezpieczny jak tutaj, w Amberze – zapewnił.

– Dobrze. – Uśmiechnął się. – Porozmawiam z Julianem. Możesz udać się do niego i sprawdzić, czego zdołasz się dowiedzieć od Dalta.

– Chwileczkę – wtrąciłem. – Padał śnieg i dmucha dość paskudny wicher. Luke przybył z bardziej umiarkowanego klimatu, a ten jego płaszcz wygląda dość przewiewnie. Znajdę mu cieplejszy. Mam jeden gruby i ciężki, jeśli tylko będzie na niego pasował.

– Przynieś go – powiedziała.

– Zaraz wracamy.

Zacisnęła wargi, ale skinęła głową.

Oddałem Luke'owi miecz. Przypiął go. Wiedziałem, że Vialle wie, że chcę z nim chwilę porozmawiać na osobności. A ona była z pewnością świadoma tej mojej wiedzy. I oboje wiedzieliśmy, że mi ufa – co rozjaśnia mroki mej egzystencji, ale też mocno ją komplikuje.

Po drodze do moich komnat zamierzałem poinformować Luke'a o kilku sprawach, wśród nich o bliskiej koronacji w Kashfie. Czekałem jednak, aż oddalimy się od saloniku, jako że Vialle ma niezwykle czuły słuch. To jednak dało Luke'owi przewagę i zaczął pierwszy.

– Dziwna sytuacja – stwierdził. – Polubiłem ją, ale mam uczucie, jakby nie mówiła wszystkiego.

– Prawdopodobnie słuszne – przyznałem. – Chyba wszyscy tacy jesteśmy.

– Ty też?

– Ostatnio tak. Tak się porobiło.

– Czy wiesz o tej sprawie coś, o czym powinieneś mnie uprzedzić? Pokręciłem głową.

– Wszystko zdarzyło się całkiem niedawno. Vialle przekazała ci wszystko, o czym sam wiem. A może ty masz przypadkiem jakieś informacje, których nie znam?

– Żadnych. Dla mnie to też niespodzianka. Ale muszę ją zbadać.

– Chyba tak.

Zbliżaliśmy się do końcowego odcinka korytarza i uznałem, że powinienem go ostrzec.

– Za chwilę będziemy u mnie – powiedziałem. – Chcę, żebyś wiedział, że jest tam twoja matka. Jest bezpieczna, ale niezbyt rozmowna.

– Znam działanie tego zaklęcia – odparł. – Twierdziłeś, jak pamiętam, że potrafisz go usunąć. Zatem... Dochodzimy do następnego tematu. Ta przerwa opóźnia realizację ataku na Maskę i twojego brata.

– Nie tak bardzo – stwierdziłem.

– Nie wiemy przecież, ile czasu mi to zajmie – mówił dalej. – Przypuśćmy, że sporo. Albo przypuśćmy, że przydarzy mi się coś, co naprawdę nas zatrzyma.



Spojrzałem na niego badawczo.

– Na przykład co? – zapytałem.

– Sam nie wiem. Zgaduję tylko. W porządku? Wolę się przygotować na wszelkie okoliczności.

Więc jeżeli będzie trzeba odłożyć atak...

– No dobrze. Powiedz to – rzuciłem, kiedy podeszliśmy do moich drzwi.

– Zmierzam do tego – kontynuował – co się stanie, jeśli dotrzemy tam za późno? Powiedzmy, że przybywamy, a twój brat zdążył zakończyć rytuał, który zmienił go w piekło na wrotkach?

Otworzyłem drzwi i przepuściłem go przodem. Wolałem nie rozważać możliwości, którą właśnie opisał. Pamiętałem opowieści ojca o spotkaniach z Brandem i starciach z tą niesamowitą mocą.

Luke przestąpił próg. Pstryknąłem palcami i ożyło kilka lamp naftowych. Płomyki tańczyły przez moment, zanim ustabilizowały swój blask.

Jasra stała na samym środku, trzymając na wyciągniętych ramionach moje płaszcze. Przez chwilę byłem niespokojny, jak Luke na to zareaguje.

Staął, przyjrzał się jej i podszedł, zapominając na chwilę o kłopotach z Jurtem. Studiował ją przez jakieś dziesięć sekund i stwierdziłem, że zaczynam czuć się nieswojo. Wreszcie zachichotał.

– Zawsze chciała być ozdobą – stwierdził. – Ale połączenie tego z użytecznością zwykle przekraczało jej możliwości. Maska tego dokonał, choć ona pewnie nie zrozumie morału tej historii.

Odwrócił się do mnie.

– Nie. Zapewne przebudzi się wściekła jak osa na haju i będzie szukać guza – westchnął. I dodał:

– Chyba nie trzyma tego płaszcza, o którym wspomniałeś.

– Zaraz ci dam.

Otworzyłem szafę i wybrałem ciemne, futrzane okrycie. Luke pogładził je palcami.

– Manticora? – zapytał.

– Wilk olbrzymi.

Zawiesiłem w szafie jego płaszcz i zamknąłem drzwi. Tymczasem on włożył mój.

– Po drodze mówiliśmy, co się stanie, jeśli nie wrócę – przypomniał.

– Tego nie powiedziałeś – sprostowałem.

– Może nie tymi słowami – przyznał. – Ale co za różnica, czy w grę wchodzi drobne czy poważne opóźnienie? Rzecz w tym, co robić, jeśli Jurt zakończy rytuał i zyska tę moc, której pragnie, zanim zdążymy temu przeciwdziałać. I przypuścmy, że nie będzie mnie wtedy w pobliżu, żeby ci pomóc.

– Sporo tych przypuszczeń – zauważyłem.

– To właśnie różni nas od tych, którzy przegrywają. Ładny płaszcz.

Podszedł do drzwi. Obejrzał się na mnie i na Jasrę.

– No dobra – powiedziałem. – Przechodzisz tam, Dalt obcina ci głowę i używa jej jako piłki.

Potem zjawia się wysoki na trzy metry Jurt i pierdzi ogniem. To przypuszczenia. Jak nas to różni od tych, co przegrywają?

Wyszliśmy na korytarz. Pstryknąłem jeszcze palcami, pozostawiając Jasrę w mroku.

– To kwestia poznania własnych możliwości – oświadczył, kiedy ryglowałem drzwi. Ruszyliśmy korytarzem.

– Osoba, która zyskuje tego rodzaju moc, staje się podatna na ciosy zadawane poprzez źródło tej mocy – stwierdził.

– Co to znaczy? – spytałem.

– Dokładnie nie wiem – odparł. – Ale mocy w Twierdzy można użyć przeciwko osobie wspomaganej przez Twierdzę. Dowiedziałem się tego z notatek Sharu. Ale mama zabrała je, zanim przeczytałem do końca. Nie zobaczyłem ich nigdy więcej. Nikomu nie ufać... takie chyba było jej

motto.

Zaśmiał się bez radości.

– Powiesz jej, że zakończyłem wendetę, że uzyskałem satysfakcję, a potem zaproponujesz cytadelę w zamian za pomoc.

– A jeśli powie, że to za mało?

– Do diabła! Zamień ją wtedy z powrotem w wieszak. Przecież takiego faceta można normalnie zabić. Mimo tej swojej cudownej mocy ojciec zginął ze strzałą w gardle. Śmiertelny cios pozostaje śmiertelnym ciosem. Tylko zadać go jest o wiele trudniej.

– Naprawdę wierzysz, że to wystarczy? – spytałem. Zatrzymał się i spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– Będzie się targować, ale w końcu zgodzi się, oczywiście. Zemsty na Masce pragnie tak samo, jak odzyskania tej części dawnego majątku. Ale odpowiadając na twoje pytanie: nie ufaj jej. Nieważne, co ci obieca. Zadowolili się tylko wszystkim, co miała kiedyś. Będzie dobrym sojusznikiem do zakończenia sprawy. Potem musisz pomyśleć, jak się przed nią bronić. Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że zjawię się z prezentem, który osłodzi jej stratę.

– Na przykład?

– Jeszcze nie wiem. Ale nie likwiduj tego zaklęcia, dopóki nie rozstrzygnie się sprawa między mną a Daltem, Zgoda?

Ruszył dalej.

– Zaczekaj! – krzyknąłem za nim. – Co planujesz?

– Nic szczególnego. Jak mówiłem królowej, zamierzam rozegrać to na wycucie.

– Czasami odnoszę wrażenie, że jesteś tak samo przebiegły, jak według twojej opinii Jasra.

– Mam nadzieję, że to prawda. Ale istnieje pewna różnica. Ja jestem uczciwy.

– Nie wiem, Luke, czy kupiłbym od ciebie używany samochód.

– Każdy interes ze mną jest wyjątkowy – oświadczył. – A dla ciebie mam wszystko w najwyższym gatunku.

Przyjrzałem mu się. Panował nad wyrazem twarzy.

– Co jeszcze mogę powiedzieć? – dodał, wskazując ręką drzwi saloniku.

– Teraz nic – odparłem i weszliśmy. Vialle odwróciła ku nam głowę. Jej twarz nie wyrażała niczego, tak jak Luke'a.

– Rozumiem, że jesteś już właściwie odziany? – spytała. Istotnie.

– Zatem do rzeczy. – Podniosła rękę i zobaczyłem, że trzyma Atut. – Podejdź tu, proszę.

Luke zbliżył się, a ja za nim. Zauważyłem, że Atut przedstawia Juliana.

– Połóż mi rękę na ramieniu – poleciła.

– Dobrze.

Zrobił to, a ona sięgnęła myślą, odszukała Juliana i rozmawiała chwilę. Po chwili włączył się Luke, tłumacząc, co zamierza zrobić. Usłyszałem zapewnienie Vialle, że plan zyskał jej aprobatę.

Po chwili Luke wyciągnął rękę. Chociaż nie byłem połączony, zobaczyłem też mglistą postać Juliana. To dlatego, że przywołałem Logrusowy Wzrok i potrafiłem dostrzec takie rzeczy. Był mi potrzebny, by określić właściwy moment; nie chciałem, by Luke zniknął, zanim zdążę się ruszyć.

Chwyciłem go za ramię i równocześnie z nim postąpiłem krok naprzód.

– Merlinie! – usłyszałem krzyk Vialle. – Co robisz?

– Chcę zobaczyć, co się stanie – odpowiedziałem. -

Gdy tylko wszystko się skończy, natychmiast wracam do domu.

Brama tęczy zatrzasnęła się za mną.

Staliśmy w migotliwym blasku lamp naftowych, pośrodku dużego namiotu. Z zewnątrz dobiegał szum wiatru i szelest gałęzi. Julian czekał naprzeciw. Puścił dłoń Luke'a i przyglądał mu się chłodno.

– Więc to ty jesteś zabójcą Caine'a – rzekł.

– To ja – potwierdził Luke.

A ja przypomniałem sobie, że Caine i Julian zawsze byli sobie szczególnie bliscy. Gdyby Julian zabił teraz Luke'a i powołał się na prawo wendety, Random pokiwałby tylko głową i przyznał mu rację. Może nawet by się uśmiechnął. Trudno powiedzieć. Na miejscu Randoma usunięcie Luke'a powitałbym westchnieniem ulgi. Szczerze mówiąc, był to jeden z powodów, dla których przybyłem wraz z nim. Przypuśćmy, że cała ta sprawa to pułapka. Nie mogłem sobie wyobrazić, by Vialle brała w tym udział, ale Julian i Benedykt łatwo mogli ją oszukać. Może nawet Dalta wcale tu nie było?

Albo przypuśćmy, że jest... i że tak naprawdę zażądał głowy Luke'a? Przecież niedawno próbował go zabić. Musiałem uwzględnić tę możliwość, jak również to, że Julian byłby najlepszym kandydatem do współpracy w takiej intrydze. Dla dobra Amberu.

Julian spojrział mi w oczy. Twarz miałem równie bez wyrazu, jak jego.

– Dobry wieczór, Merlinie – powiedział. – Czy masz odegrać jakąś rolę w tym planie?

– Jestem obserwatorem – odparłem. – To, czy podejmę jakieś działania, zależy od rozwoju sytuacji.

Gdzieś z zewnątrz usłyszałem warczenie piekielnego psa.

– Bylebyś tylko nie wchodził w drogę – mruknął Julian.

Uśmiechnąłem się.

– Czarodzieje mają swoje sposoby, by nie zwracać uwagi.

Przyglądał mi się przez chwilę. Z pewnością się zastanawiał, czy moje słowa wyrażają jakąś groźbę – że będę bronił Luke'a albo że go pomszczę...

Po chwili wzruszył ramionami i odwrócił się. Podeszedł do małego stolika, na którym leżała mapa przyciśnięta kamieniem i sztyletem. Skinął na Luke'a. Ja również spojrzałem.

Była to mapa zachodniej granicy Ardeny. Julian wskazał naszą pozycję. Garnath leżała na południowo-południowy zachód od nas, Amber na południowym zachodzie.

– Nasi żołnierze czekają tutaj – oznajmił, przesuwając palec po mapie. – A Dalta tutaj. – Wykreślił drugą linię, mniej więcej równoległą do pierwszej.

– Co z oddziałami Benedykta? – wtrąciłem. Przyjrzał mi się, ledwie dostrzegalnie marszcząc brwi.

– Dobrze, by Luke wiedział, że takie oddziały istnieją – stwierdził. – Ale nie powinien znać ich liczebności, pozycji ani celów. Gdyby Dalt schwytał go i przesłuchiwał, będzie miał powód do niepokoju, a żadnych informacji, by na nich oprzeć swe działania.

– Niezły pomysł. – Luke pokiwał głową. Julian wskazał punkt mniej więcej w połowie drogi między liniami.

– W tym miejscu się spotkaliśmy, kiedy z nim rozmawiałem – wyjaśnił. – To otwarty, płaski teren, za dnia dobrze widoczny z obu stron. Proponuję wykorzystać go na wasze spotkanie.

– Zgoda.

Zauważyłem, że Julian czubkami palców gładzi rękojeść leżącego przed nim sztyletu. A potem zobaczyłem, że prawa dłoń Luke'a niby przypadkiem, spoczęła na pasie, po lewej stronie, w pobliżu broni.

Luke i Julian uśmiechnęli się do siebie równocześnie i ten uśmiech trwał o kilka sekund za długo. Luke był potężniejszy i wiedziałem, że jest szybki i silny. Za to Julian miał za sobą setki lat doświadczenia. Zastanawiałem się, jak powinienem interweniować, gdyby któryś z nich zaatakował

drugiego. Wiedziałem bowiem, że spróbuję ich powstrzymać. Nagle jednak obaj opuścili ręce, jakby zawarli milczącą umowę.

– Pozwólcie, że poczęstuję was winem – powiedział Julian.

– Nie odmówię – odparł Luke.

Ciekawe, czy to moja obecność powstrzymała ich od walki. Chyba nie. Miałem wrażenie, że Julian chciał po prostu wyraźnie okazać swoje uczucia, a Luke zademonstrował, że się tym nie przejmuje. Naprawdę nie wiedziałem, którego z nich powinienem obstawiać.

Julian postawił na stoliku trzy kubki, nalał Klejnotu Bayle'a, dał znak, żebyśmy się częstowali, i zakorkował butelkę. Potem uniósł ostatni kubek i łyknął wina, zanim my zdążyliśmy je choćby powąchać – szybka demonstracja, że nie zamierza nas otruć i chce rozmawiać o sprawach poważnych.

– Kiedy się z nim spotkałem, każdy z nas przyprowadził dwóch ludzi – oświadczył.

– Uzbrojonych? – spytałem. Przytaknął.

– Raczej na pokaz.

– Byliście konno czy pieszo? – chciał wiedzieć Luke.

– Pieszo. Równocześnie wyszliśmy z naszych linii i posuwaliśmy się w równym tempie, aż do spotkania pośrodku, kilkaset kroków od każdej ze stron.

– Rozumiem – mruknął Luke. – Żadnych komplikacji?

– Żadnych. Porozmawialiśmy i wróciliśmy do siebie.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej o zachodzie słońca.

– Czy robił wrażenie człowieka psychicznie zrównoważonego?

– Moim zdaniem tak. Pewną arogancję i obraźliwe uwagi pod adresem Amberu uznaję za typowe dla Dalta.

– To rozumiałe – zgodził się Luke. – Więc chce mnie, mojej matki albo obojga? A jeśli nas nie dostanie, zagroził atakiem?

– Tak.

– Czy wspomniał, po co jesteśmy mu potrzebni?

– Nie.

Luke napił się wina.

– Określił, czy chce nas żywych czy martwych? – zapytał.

– Tak – odparł Julian. – Żywych.

– I co o tym sądzisz?

– Jeśli mu cię oddam, pozbędę się ciebie – stwierdził. – Jeśli napluję mu w gębę i rozbiję w bitwie, pozbędę się jego. Zyskuję w obu przypadkach.

Jego wzrok padł na kubek z winem, który Luke trzymał w lewej ręce. Szeroko otworzył oczy. Zrozumiałem, że dopiero teraz zauważył pierścień Vialle.

– Wygląda na to, że jednak będę musiał zabić Dalta – dokończył.

– Pytając o sądy – kontynuował Luke – miałem na myśli to, czy twoim zdaniem Dalt naprawdę zaatakuje? Domyślasz się może, skąd przybył? Jakieś sugestie, dokąd może się udać, gdy stąd odejdzie? O ile odejdzie.

Julian zakręcił winem w kubku.

– Muszę przyjąć, że mówi poważnie i rzeczywiście planuje atak. Kiedy odkryliśmy jego oddział, zbliżał się od strony Begmy i Kashfy... zapewne z Eregnoru, ponieważ tam zwykle stacjonuje. Dokąd chce się udać, możesz zgadywać równie dobrze jak ja.

Luke szybko podniósł kubek do ust – o ułamek sekundy za późno, by ukryć to, co było chyba szerokim uśmiechem. Nie, uświadomiłem sobie. Luke mógł zgadywać nie tylko równie dobrze jak inni. Mógł zgadywać o wiele lepiej. Też się napiłem, chociaż nie byłem pewien, jaką minę próbuję ukryć.

– Możesz się tu przespać – oświadczył Julian. – Jeśli jesteś głodny, każę przynieść coś do jedzenia. Spotkacie się o świcie.

Luke pokręcił głową.

– Teraz – powiedział, jeszcze raz dyskretnie, lecz wyraźnie demonstrując pierścień. – Spotkamy się jak najprędzej.

Julian przyglądał mu się przez kilka uderzeń pulsu.

– Nie będziecie dobrze widoczni, zwłaszcza że pada śnieg – zauważył. – Drobne nieporozumienie może doprowadzić do ataku z jednej lub z drugiej strony.

– Gdyby obaj moi towarzysze nieśli pochodnie... a jego także – zaproponował Luke. – Twój i jego ludzie powinni nas widzieć z kilkuset metrów.

– Możliwe – zgodził się Julian. – Dobrze. Wyślę wiadomość do ich obozu i wybiorę dwóch ludzi, którzy będą ci towarzyszyć.

– Już postanowiłem, kogo chcę ze sobą zabrać – oświadczył Luke. – Ciebie i Merlina.

– Ciekawy z ciebie człowiek – mruknął Julian. – Ale zgadzam się. Wolę być na miejscu, kiedy zdarzy się to, co się zdarzy.

Odchylił klapę namiotu i przywołał oficera. Rozmawiał z nim kilka minut.

– Chyba wiesz, co robisz, Luke? – zapytałem tymczasem.

– Z całą pewnością.

– Mam wrażenie, że to gra nie tylko na wyczucie – zauważyłem. – Czy są jakieś powody, dla których nie możesz mi zdradzić swojego planu?

Przyglądał mi się przez moment.

– Dopiero niedawno zrozumiałem, że także jestem synem Amberu – rzekł. – Poznaliśmy się i przekonaliśmy, że nazbyt jesteśmy do siebie podobni. W porządku. To dobrze. To znaczy, że możemy się dogadać. Prawda?

Pozwoliłem sobie na zmarszczenie brwi. Nie wiedziałem, co próbuje mi przekazać.

Lekko uścisnął mnie za ramię.

– Nie martw się – powiedział. – Możesz mi zaufać. Zresztą w tej chwili nie masz wielkiego wyboru. Ale później może się to zmienić. Chcę, byś wtedy pamiętał, że cokolwiek się stanie, nie wolno ci się wtrącać.

– A myślisz, że coś się stanie?

– Czas i okoliczności nie pozwalają na snucie domysłów. Dajmy temu spokój. Pamiętaj tylko o wszystkim, co powiedziałem tego wieczoru.

– Jak zauważyłeś, chwilowo nie mam wielkiego wyboru.

– Proszę, żebyś pamiętał o tym później – rzucił jeszcze, gdy Julian opuścił klapę i odwrócił się do nas.

– Trzymam cię za słowo w sprawie tego jedzenia! – zawołał do niego Luke. – A ty, Merle? Jesteś głodny?

– Wielkie nieba, nie! – wykrzyknąłem. – Właśnie wyszedłem z oficjalnego przyjęcia.

– Tak? – rzucił niemal zbyt obojętnie. – Z jakiej okazji?

Roześmiałem się. Za dużo tego jak na jeden dzień. Już chciałem odpowiedzieć, że czas i okoliczności nie pozwalają na wyjaśnienia, lecz Julian znowu wyjrzał za klapę i wołał ordynansa.

Miałem ochotę rzucić parę podkreślonych piłek na odsłonięty kort Luke'a i sprawdzić, jaki wywołają efekt.

– No wiesz, na cześć premiera Begmy, Orkuza, i paru jego urzędników – rzuciłem.

Czekał, gdy ja udawałem, że wolno popijam wino. Wreszcie opuściłem kubek.

– To wszystko – powiedziałem.

– Daj spokój, Merlinie. O co chodziło? Ostatnio byłem z tobą stosunkowo szczerzy.

– Tak?

Przez chwilę nie wierzyłem, że uzna to za zabawne. Lecz w końcu i on się roześmiał.

– Czasami młyny bogów mielą tak szybko, że przysypuje nas mąka – stwierdził. – Może powiedziałbyś mi to za darmo? W tej chwili nie mam niczego drobnego na wymianę. Czego on chciał?

– Będziesz pamiętał, że do jutra to informacja poufna?

– Dobrze. Co się stanie jutro?

– Arkans, diuk Shadburne, zostanie koronowany w Kashfie.

– Niech to szlag! – zaklął Luke. Spojrzał na Juliana, potem znów na mnie. – To piekielnie mądry wybór ze strony Randoma – przyznał po chwili. – Nie sądziłem, że tak prędko się włączy.

Przez kilkanaście sekund wpatrywał się w przestrzeń.

– Dziękuję – powiedział w końcu.

– To pomaga czy przeszkadza? – spytałem.

– Mnie czy Kashfie?

– Nie rozpatruję tego tak szczegółowo.

– I dobrze, bo sam nie wiem, jak to przyjąć. Muszę trochę pomyśleć. Przyjrzeć się z dystansu.

Patrzyłem na niego.

Uśmiechnął się.

– To naprawdę ciekawe – oświadczył. – Masz coś jeszcze?

– To wystarczy – odparłem.

– Tak, chyba masz rację – zgodził się. – Nie chcę przeciążać systemu. Nie sądzisz, że utraciliśmy kontakt ze zwyczajnymi problemami?

– Nie, póki się znamy.

Julian opuścił kłapę, wrócił do nas i podniósł swój kubek.

– Za chwilę przyniosą posiłek – oznajmił.

– Dzięki.

– Benedykt twierdzi, że mówiłeś Randomowi, jakoby Dalt był synem Oberona.

– Istotnie – przyznał Luke. – W dodatku przeszedł Wzorzec – Czy to jakaś różnica?

Julian wzruszył ramionami.

– Nie pierwszy raz chcę zabić krewniaka – stwierdził. – Przy okazji, jesteś chyba moim bratankiem?

– Istotnie... wuju.

Julian raz jeszcze zamieszał płynem w kubku.

– No cóż... witaj w Amberze – powiedział. – Ostatniej nocy słyszałem banshee. Zastanawiam się, czy ma to jakiś związek.

– Zmiana – wyjaśnił Luke. – Wszystko się zmienia i płaczą po tym, co zostanie utracone.

– Śmierć. Przepowiadają śmierć, prawda?

– Nie zawsze. Czasem ukazują się w momentach zwrotnych, dla dramatycznego efektu.

– Szkoda – mruknął Julian. – Ale zawsze można mieć nadzieję.

Zdawało mi się, że Luke chce coś odpowiedzieć, ale Julian odezwał się pierwszy.

– Dobrze znałeś swojego ojca? – zapytał. Luke zeszywniał lekko.

– Może nie tak dobrze jak inni. Sam nie wiem. Był jak handlowiec. Stale pojawiał się i odjeżdżał.

Zwykle nie zostawał z nami na długo.

Julian pokiwał głową.

– A jaki był przed śmiercią? – spytał. Luke przyglądał się swoim dłoniom.

– No cóż, nie był całkiem normalny, jeśli o to ci chodzi – przyznał po chwili. – Wspomniałem już o tym Merlinowi: moim zdaniem proces, który miał obdarzyć go mocą, wpłynął też na równowagę umysłu.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Luke wzruszył ramionami.

– Szczegóły nie są takie ważne... liczą się efekty.

– Więc mówisz, że przedtem nie był złym ojcem?

– Nie wiem, do licha. Nie miałem innego, żeby ich porównać. Czemu pytasz?

– Z ciekawości. To część jego życia, której zupełnie nie znałem.

– A jakim był bratem?

– Nie żyliśmy ze sobą zbyt dobrze – rzekł Julian. – Dlatego staraliśmy się nie wchodzić sobie w drogę. Ale był sprytny. I utalentowany. Miał smykałkę do sztuki. Próbowałem ustalić, co mogłeś po nim odziedziczyć.

Luke rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia.

– Zresztą to nieważne. – Julian odstawił kubek i spojrzał w stronę wyjścia z namiotu. – Powinni już przynieść ci jedzenie.

Ruszył w tamtą stronę. Słyszałem bębniące o brezentowy dach maleńkie kryształki lodu i warknięcia na dworze: koncert na wiatr i piekielnego psa. Przynajmniej żadnych banshee. Na razie.

# Rozdział 9

---

Szedłem o krok za Lukiem, kilka metrów z lewej strony, utrzymując równe tempo z maszerującym po prawej Julianem. Pochodnia, którą niosłem, była wielka – prawie dwa metry smolistego drewna, zaostzonego na końcu dla łatwiejszego wbicia w ziemię. Trzymałem ją w wyciągniętej ręce, gdyż oleiste płomienie kołysały się i strzelały na wszystkie strony, zgodnie z kapryśnymi podmuchami wiatru. Ostre, lodowate płatki padały mi na policzki, czoło, dłonie; niektóre czepiały się brwi i rzęs. Mrugałem gwałtownie, gdy żar pochodni roztopiał je i woda ściekała mi do oczu. Sucha trawa pod nogami chrzęściła i kruszyła się przy każdym kroku.

Wprost przed sobą widziałem zbliżające się wolno dwie inne pochodnie i niewyraźną postać idącego między nimi człowieka. Zamrugałem czekając, aż płomień jednej czy drugiej z nich pozwoli mi lepiej się przyjrzeć. Raz tylko miałem do tego okazję, bardzo krótko, przez Atut. Jeszcze w Arbor House. W blasku ognia jego włosy wydawały się złociste, nawet miedziane; pamiętałem jednak, że w świetle dziennym były popielatoblond. Oczy, przypomniałem sobie, miał zielone, choć teraz nie mogłem tego dostrzec. Po raz pierwszy jednak zobaczyłem, że jest wysoki... albo wybrał sobie bardzo niskich towarzyszy. Wtedy był sam i nie miałem go z kim porównać. Kiedy sięgnął do niego blask naszych pochodni, dostrzegłem, że ma na sobie ciężką, zieloną kurtkę bez rękawów i kołnierza, a pod spodem coś czarnego i też ciężkiego, z rękawami wsuniętymi w zielone rękawice. Spodnie były czarne, podobnie jak wysokie buty; płaszcz czarny, obszyty szmaragdową zielenią, która odbijała światło, kołysząc się w zmiennych, oleistych pejzażach żółci i czerwieni. Na łańcuchu na szyi nosił ciężki, okrągły medalion, chyba złoty. I chociaż nie mogłem rozróżnić szczegółów, byłem pewien, że przedstawia Lwa rozrywającego Jednorożca. Stał o dziesięć – dwanaście kroków przed Lukiem, który zatrzymał się o sekundę po nim. Dalt machnął ręką i jego ludzie wbili w ziemię końce pochodni. Julian i ja zrobiliśmy to samo i stanęliśmy obok, jak tamci. Wtedy Dalt skinął Luke'owi głową i obaj ruszyli do przodu. Spotkali się pośrodku utworzonego przez płomień kwadratu. Chwycili się za prawe przedramiona, spojrzeli sobie w oczy. Luke stał tyłem do mnie, ale widziałem twarz Dalta. Nie zdradzała żadnych emocji, ale wargi już się poruszały. Nie słyszałem ani słowa – z powodu wiatru i tego, że umyślnie mówili cicho. Przynajmniej mogłem w końcu ocenić wzrost Dalta. Luke miał jakieś metr osiemdziesiąt pięć, a Dalt był od niego wyższy o pięć, może dziesięć centymetrów. Zerknąłem na Juliana, ale nie patrzył w moją stronę. Zastanawiałem się, ile par oczu obserwuje nas w tej chwili z obu stron.

Julian nigdy nie był osobą odpowiednią dla sprawdzania reakcji emocjonalnych. Po prostu przyglądał się rozmawiającym, obojętnie i nieruchomo. Przyjąłem tę samą postawę. Mijały minuty. Padał śnieg.

Po długiej chwili Luke odwrócił się i ruszył ku nam.

Dalt zbliżył się do jednego ze swoich ludzi. Luke zatrzymał się między nami, a Julian i ja podeszliśmy do niego.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Znalazłem chyba sposób rozwiązania tej sprawy bez wojny.

– Świetnie. Co mu sprzedałeś?

– Pomysł, żeby stoczył ze mną pojedynek, który zdecyduje, co będzie dalej.

– Rany boskie, Luke! – zawołałem. – Ten facet to zawodowiec. I z pewnością odziedziczył nasz dający siłę pakiet genów. Od lat żyje na polu walki. Jest w formie, jest cięższy od ciebie i ma



większy zasięg rąk.

Luke wyszczerzył zęby.

– Może będę miał szczęście – odpowiedział. Spojrzał na Juliana. – Jeśli przekażesz ludziom wiadomość, żeby nie atakowali, kiedy zaczniemy, tamta strona też się nie ruszy.

Julian popatrzył na jednego z towarzyszy Dalta, który zawrócił właśnie do obozowiska. Potem odwrócił się i wykonał kilka gestów. Po chwili z ukrycia wynurzył się jakiś człowiek i pobiegł w naszą stronę.

– Luke – przekonywałem. – To szaleństwo. Jest tylko jeden sposób, żebyś wygrał: wziąć Benedykta na sekundanta, a potem złamać nogę.

– Merle, daj spokój. To sprawa między Daltem a mną. Zgoda?

– Mam parę świeżych zaklęć – powiedziałem. – Poczekam, aż zaczniecie, i w odpowiedniej chwili uderzę. Będzie wyglądało, jakbyś ty go pokonał.

– Nie – rzekł. – To naprawdę sprawa honorowa. Nie wolno ci się wtrącać.

– No dobrze. Jeśli tego sobie życzysz.

– Poza tym, nikt nie zginie – dodał. – Żaden z nas w tej chwili tego nie pragnie. To część umowy. Żywi zbyt jesteśmy dla siebie cenni. Żadnej broni. Czysta walka, mano a mano.

– A na czym właściwie polega ta umowa? – zapytał Julian.

– Jeśli Dalt spierze mi tyłek, będę jego więźniem. Wycofa swoje siły, a ja będę mu towarzyszył.

– Zwariowałaś, Luke! – krzyknąłem. Julian spojrzał na mnie gniewnie.

– Mów dalej – poprosił.

– Jeśli wygram, on będzie moim jeńcem. Wróci ze mną do Amberu czy gdziekolwiek zechcę go zabrać, a oficerowie ewakuują wojsko.

– Jediną gwarancją tej ewakuacji – zauważył Julian – jest ich przekonanie, że będą zgubieni, jeśli tego nie zrobią.

– Oczywiście – zgodził się Luke. – Dlatego mu powiedziałem, że Benedykt czeka na obu skrzydłach, żeby go zmiażdżyć. Jestem pewien, że tylko dlatego zgodził się na pojedynek.

– Bardzo sprytnie – pochwalił Julian. – Niezależnie od wyniku, Amber wygrywa. A co próbujesz zyskać dla siebie, Rinaldo?

Luke uśmiechnął się.

– Pomyśl.

– Jest w tobie więcej, niż mi się wydawało, bratanku – przyznał Julian. – Stań po mojej prawej stronie, dobrze?

– Po co?

– Żeby mnie zasłonić, oczywiście. Muszę zawiadomić Benedykta, co się dzieje.

Luke przesunął się, a Julian wyjął swoje Atuty i wyszukał właściwy. Tymczasem dotarł goniec z naszego obozu; czekał na rozkazy. Julian schował wszystkie karty prócz jednej i nawiązał kontakt. Połączenie trwało około minuty, po czym przekazał gońcowi instrukcje i odesłał go z powrotem. Natychmiast wrócił do rozmowy przez Atut. Kiedy wreszcie skończył mówić i słuchać, nie schował karty do kieszeni; trzymał ją ukrytą w dłoni. Zrozumiałem, że nie zrywa kontaktu, by Benedykt przez cały czas wiedział, co powinien robić. Luke zdjął i oddał mi pożyczony płaszcz.

– Potrzymaj, póki nie skończę – poprosił.

– Dobra. – Wziąłem okrycie. – Powodzenia.

Uśmiechnął się i odwrócił. Dalt zbliżał się już do środka kwadratu.

Luke podszedł także. Stanęli obaj o kilka kroków od siebie. Dalt powiedział coś, czego nie dosłyszałem. Odpowiedź Luke'a również zagłuszył wiatr.

Unieśli ręce. Luke stanął w pozycji boksera, a Dalt wyciągnął ramiona w stylu zapaśniczym. Luke wyprowadził pierwszy cios – może to był zwód, w każdym razie nie dotarł do celu – w twarz przeciwnika. Dalt odbił, cofnął się, Luke zaatakował i zadał dwa szybkie proste w tułów. Kolejny cios w twarz trafił na bok. Luke zaczął okrążać przeciwnika, wyprowadzając pojedyncze uderzenia. Dalt dwa razy poszedł do zwarcia, został odepchnięty. Po drugiej próbie strużka krwi pociekła mu z wargi. Jednak po trzeciej – przewrócił Luke'a na ziemię, chociaż nie zdążył go przygnieść, gdyż Luke odtoczył się na bok. Kiedy tylko się podniósł, spróbował kopnąć Dalta w prawą nerkę. Ten chwycił za kostkę i wyprostował się, przewracając go na plecy. Padając, Luke kopnął go wolną nogą w kolano, ale Dalt nie zwolnił chwytu. Przycisnął go do ziemi i zaczął wykręcać nogę. Luke pochylił się do przodu i skrzywiony z bólu zdołał oburącz złapać Dalta za nadgarstek i zerwać chwyt. Zgiął się wpół i rzucił do przodu, nie puszczać ręki; wstał na nogi, przesunął się pod ramieniem Dalta na prawo, obrócił i pchnął go twarzą w dół na ziemię. Wtedy zaatakował błyskawicznie: wykręcił przeciwnikowi ramię, przytrzymał prawą ręką, a lewą złapał za włosy.

Gdy jednak odciągnął głowę Dalta do góry – zamierzając, byłem tego pewien, uderzyć nią kilka razy o ziemię – zrozumiałem, że nic z tego. Dalt zeszytywniał i zaczął przesuwać rękę do dołu. Prostował ją, mimo oporu Luke'a. Luke kilka razy bezskutecznie próbował pchnąć mu głowę do przodu. Było jasne, że jeśli rozluźni jedną lub drugą dłoń, wpadnie w kłopoty... a nie potrafił utrzymać chwytu. Dalt był po prostu za silny. Luke zrozumiał to; całym ciężarem rzucił mu się na plecy, przycisnął do ziemi i odskoczył. Nie był dostatecznie szybki – Dalt zdążył machnąć uwolnioną pięścią i trafił go w lewą łydkę. Luke potknął się. Dalt stanął na nogach i natychmiast uderzył. Potężny cios powalił Luke'a na plecy. Tym razem, gdy Dalt rzucił się na niego, Luke nie zdążył się odsunąć; zdołał tylko częściowo przekręcić tułów. Dalt wylądował ciężko, unikając wymierzonego w krocze powolnego kopnięcia kolaniem. Luke nie uwolnił rąk na czas, by zablokować uderzenie w lewą szczękę. Upadł płasko na plecy. Potem jego prawa dłoń strzeliła w górę, trafiła Dalta w podbródek, a zakrzywione palce sięgnęły do oczu. Dalt cofnął głowę, a Luke drugą ręką jak młotem uderzył go w skroń. Cios sięgnął celu, ale Dalt odsuwał się już i nie wiem, czy uderzenie wywarło jakiś efekt. Luke oparł się na obu łokciach, uniósł, pochylił, walnął czołem w twarz Dalta – nie jestem pewien, w jakie miejsce – i opadł na plecy. Krew pociekła Daltowi z nosa; lewą ręką spróbował złapać Luke'a za szyję, a prawą, otwartą dłonią uderzył mocno w głowę. Dostrzegłem zęby Luke'a – chciał ugryźć przeciwnika, ale chwyt na szyi mu to uniemożliwił. Dalt zamachnął się znowu, lecz tym razem Luke lewą ręką zablokował cios, a prawą chwycił nadgarstek Dalta, by odciągnąć jego dłoń ze swojej szyi. Dalt prawą ręką minął blok i dołączył ją do lewej, oburącz ściskając leżącego za gardło. Kciuki szukały tchawicy.

Pomyślałem, że to już koniec. Ale prawa ręka Luke'a chwyciła nagle lewy łokieć Dalta, lewa przecięła oba przedramiona, łapiąc lewy nadgarstek, i Luke przekręcił ciało, wypychając łokieć do góry. Dalt upadł na lewo, Luke odtoczył się w prawo i poderwał na nogi, potrząsając głową. Tym razem nie ryzykował kopnięcia. Dalt wstawał już; wyciągnął ramiona, Luke uniósł pięści i znowu zaczęli krążyć wokół siebie.

Śnieg padał ciągle, wiatr przycichł i nabierał siły, czasami ciskając lodowate płatki prosto w twarze, innym razem pozwalając, by opadały w dół jak falująca kurtyna. Pomyślałem o żołnierzach wokół i zastanowiłem się, czy po zakończeniu walki znajdę się w samym środku pola bitwy. Benedykt czekał gdzieś, gotów szerzyć spustoszenie, ale ten fakt nie był szczególnie pocieszający... Choć oznaczał, że nasza strona prawdopodobnie zwycięży. Przypomniałem sobie, że jestem tutaj z własnego wyboru. – Dalej, Luke! – wrzasnąłem. – Rozgnieć go! Miało to nieoczekiwany efekt. Towarzysze Dalta natychmiast zaczęli do niego wykrzykiwać. Wiatr przycichł i nasze głosy musiały

docierać do obozowisk, gdyż po chwili nadpłynęły fale dźwięków. Myślałem z początku, że to zwiastun dalekiej burzy i dopiero po chwili zrozumiałem, że to krzyki zachęty z obu stron. Tylko Julian stał milczący i nieprzenikniony.

Luke wciąż krążył wokół Dalta, zadawał pojedyncze ciosy, czasem próbował serii. Dalt odbijał je i usiłował złapać go za ręce. Obaj mieli pokrwawione twarze i obaj sprawiali wrażenie powolniejszych niż na początku. Domyśliłem się, że ucierpieli, chociaż trudno powiedzieć jak mocno. Na twarzy Dalta, wysoko na lewym policzku, dostrzegłem rozcięcie. Obaj byli opuchnięci.

Luke doprowadził do celu serię na korpus, ale nie wiem, czy ciosy były silne. Dalt przyjął je ze stoickim spokojem i znalazł dość energii, by zaatakować i przejść do zwarcia. Luke nie zdążył odskoczyć i dał się wciągnąć w klincz. Obaj próbowali kopnąć kolanami, obaj zablokowali biodrami. Splatali ręce i przekręcali tułowiem. Dalt szukał pewniejszego chwytu, a Luke bronił się, starając uwolnić ramię i zadać cios. Obaj kilka razy spróbowali uderzyć z czoła albo przydepnąć stopę przeciwnika, ale obaj uniknęli tych ataków. Wreszcie Luke zdołał podciąć Dalta i powalił go na plecy.

Przyciskając kolanem, natychmiast wyprowadził lewy sierpowy i od razu powtórzył z prawej. Próbował kolejnego lewego, ale Dalt chwycił pięść, poderwał się i przewrócił go na ziemię. Skoczył na niego, z twarzą zmienioną w maskę błota i krwi. Luke zdołał jakoś uderzyć go poniżej serca, ale cios nie powstrzymał prawej pięści Dalta, która jak spadający gład runęła na szczękę leżącego. Dalt poprawił niezbyt silnym prawym sierpowym, przerwał dla nabrania tchu i wyprowadził potężny lewy. Głowa Luke'a opadła na bok; przestał się ruszać.

Dalt klęczał nad nim, dysząc jak zmęczony pies. Wpatrywał się w jego twarz, a prawa pięść drżała mu lekko, jakby rozważał kolejny cios.

Lecz nic się nie stało. Trwali w takiej pozycji przez dziesięć, może piętnaście sekund, wreszcie Dalt wyprostował się powoli, zsunął na lewą stronę Luke'a i wstał ostrożnie. Chwiał się przez moment, wreszcie stanął wyprostowany.

Czułem niemal smak śmiertelności zaklęcia, które niedawno zawiesiłem. Tylko kilka sekund potrzebowałem, by go dobić, i nikt nie wiedziałby na pewno, od czego umarł. Nie byłem jednak pewien, co by się stało, gdyby on także padł w tej chwili. Czy obie strony ruszyłyby do ataku? Zresztą, nie to mnie w końcu powstrzymało ani też nie mój humanitaryzm. Powstrzymały mnie słowa Luke'a: "To naprawdę sprawa honorowa. Nie wolno ci się wtrącać". I jeszcze: "Nikt nie zginie... Żywi zbyt jesteśmy dla siebie cenni".

W porządku. Nadal nie grały trąby i nikt nie ruszał do szturmu. Wszystko może się jeszcze zakończyć zgodnie z umową. Tak chciał Luke. Nie będę się mieszał.

Dalt przyklęknął i spróbował podnieść pokonanego z ziemi. Puścił od razu i przywołał swoich dwóch towarzyszy, by go zanieśli. Potem wyprostował się i spojrzał w oczy Juliana.

– Wzywam cię, byś dopełnił reszty naszej umowy – powiedział głośno.

Julian lekko skinął głową.

– Uczynimy to, jeśli i ty spełnisz warunki – odparł. – Do świtu masz wycofać swoich ludzi.

– Odchodzimy natychmiast – rzekł Dalt i odwrócił się.

– Dalt! – krzyknąłem. Obejrzał się.

– Nazywam się Merlin – oznajmiłem. – Spotkaliśmy się już, chociaż nie wiem, czy to pamiętasz.

Pokręcił głową.

Wyciągnąłem prawą rękę i wypowiedziałem najbardziej bezużyteczne, a przy tym najbardziej efektowne z moich zaklęć. Grunt wybuchł przed nim, zasypując go żwirem i ziemią. Cofnął się i otarł twarz, potem spojrzał na odsłonięty nierówny dół.

– To będzie twój grób – powiedziałem. – Jeśli Luke zginie.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Następnym razem cię zapamiętam – obiecał, odwrócił się i ruszył do swojego obozu za ludźmi niosącymi Luke'a.

Julian obserwował mnie w milczeniu. Po chwili wyrwał z ziemi pochodnię. Zrobiłem to samo. Obaj zawróciliśmy drogą, którą tu przyszliśmy.

Później, w swoim namiocie, Julian zauważył:

– To rozwiązuje jeden z problemów. Być może oba.

– Być może.

– Kończy sprawę z Daltem. Benedykt zawiadamia, że zwijają już obóz.

– Myślę, że jeszcze go zobaczymy.

– Jeśli przyprowadził najlepszą armię, jaką potrafił zebrać, nie będzie to miało znaczenia.

– Czy nie odniosłeś wrażenia, że była to naprędce zorganizowana ekspedycja? – spytałem. – Myślę, że zbierał swe siły w wielkim pośpiechu. Wniosek z tego, że nie miał zbyt wiele czasu.

– Pewnie masz rację. Ale naprawdę ryzykował.

– I wygrał.

– Tak, wygrał. A ty na końcu nie powinieneś okazywać mu swojej mocy.

– Dlaczego?

– Jeśli kiedykolwiek się spotkacie, przeciwnik będzie ostrożniejszy.

– Przyda mu się takie ostrzeżenie.

– To człowiek przyzwyczajony do ryzyka. Kalkuluje i działa. Cokolwiek o tobie pomyśli, nie zmieni teraz swych planów. Poza tym, Rinalda też jeszcze zobaczysz. On jest taki sam. Rozumieją się nawzajem.

– Może masz rację...

– Na pewno.

– Gdyby ta walka skończyła się inaczej, myślisz, że jego armia powstrzymałaby się od ataku? Julian wzruszył ramionami.

– Wiedział, że moja się nie ruszy, gdy on wygra, ponieważ był pewien, że ja na tym zyskam. To wystarczyło.

Kiwnąłem głową.

– Przepraszam cię – powiedział. – Ale muszę zdać sprawę Vialle. Kiedy skończymy, pewnie będziesz chciał się przeatutować?

– Tak.

Wyjął kartę i zajął się swoimi sprawami. A ja zacząłem się zastanawiać, nie pierwszy raz zresztą, co właściwie czuje Vialle podczas atutowego kontaktu. Osobiście zawsze widzę drugą osobę, a wszyscy znajomi twierdzą, że oni także. Ale Vialle, jak rozumiem, jest niewidoma od urodzenia. Nieuprzejmie byłoby ją pytać, poza tym przyszło mi do głowy, że jej tłumaczenie nie miałoby sensu dla widzącego. Pewnie nigdy się tego nie dowiem.

Gdy Julian rozmawiał, ja zacząłem myśleć o przyszłości. Niedługo będę się musiał zająć Maską i Jurtem, a teraz wyglądało na to, że Luke mi nie pomoże. Czy naprawdę chcę posłuchać jego rady i przekonać Jasrę do sojuszu? Czy zyski okażą się warte ryzyka? Ale czy sam sobie poradzę? Może powinienem znaleźć drogę do tego dziwnego baru i wypożyczyć stamtąd Dżabbersmoka? Albo miecz migłystalny? Albo jedno i drugie... A może...

Usłyszałem swoje imię i myśli powróciły do chwili obecnej i obecnych problemów. Julian tłumaczył coś Vialle, ale wiedziałem, że nie ma wiele do tłumaczenia. Dlatego wstałem,

przeciągnąłem się i przywołałem Logrusowy Wzrok.

Kiedy skierowałem spojrzenie tuż przed Juliana, wyraźnie widziałem jej mglistą postać. Siedziała w tym samym twardym fotelu, w jakim widziałem ją poprzednio. Ciekawe, czy czekała tam przez cały czas, czy właśnie wróciła. Miałem nadzieję, że znalazła wolną chwilę, by wrócić na przyjęcie i zjeść deser, którego ja nawet nie spróbowałem.

Julian obejrzał się na mnie.

– Jeśli jesteś gotów, Vialle cię przerzuci – oświadczył.

Podszedłem do niego, gasząc po drodze Wzrok Logrusu. Uznałem, że lepiej nie doprowadzać do zbyt bliskiego kontaktu sił Logrusu i Wzorca. Dotknąłem karty i obraz Vialle wyostrzył się nagle. Po chwili nie był to już obraz.

– Kiedy zechcesz – powiedziała, wyciągając rękę. Ująłem delikatnie jej dłoń.

– Na razie, Julianie – rzuciłem, robiąc krok naprzód.

Nie odpowiedział. A jeśli nawet, ja nie usłyszałem.

– Nie chciałam, by wydarzenia tak się potoczyły – oświadczyła natychmiast, nie wypuszczając mojej ręki.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć.

– Luke wiedział – odparła. – Teraz wszystko nabiera sensu. Te jego drobne uwagi... Od samego początku planował wyzwanie Dalta.

– Chyba tak – przyznałem.

– On o coś gra. Chciałabym wiedzieć o co.

– Nie potrafię ci pomóc – stwierdziłem. – Nic mi o tym nie mówił.

– Ale to z tobą nawiąże kontakt – oświadczyła. – Zawiadom mnie natychmiast, kiedy tylko się odezwie.

– Oczywiście – zgodziłem się. Puściła moją dłoń.

– Wydaje mi się, że na razie powiedzieliśmy już sobie wszystko.

– Vialle – zacząłem. – Jest jeszcze pewna sprawa, o której powinnaś chyba wiedzieć.

– Doprawdy?

– Chodzi o Coral i jej nieobecność podczas kolacji.

– Mów dalej.

– Wiesz z pewnością, że zabrałem ją na przechadzkę po mieście.

– Wiem – przytaknęła.

– Trafiliśmy w końcu na sam dół, do komory Wzorca. Powiedziała, że chce go zobaczyć.

– Jak wielu naszych gości. Trzeba samemu osądzić, czy należy ich tam zaprowadzić. Często ich ciekawość słabnie, kiedy dowiadują się o schodach.

– Uprzedziłem ją – powiedziałem. – Ale to jej nie zniechęciło. A kiedy byliśmy już na miejscu, postawiła stopę na Wzorcu...

– Nie! – krzyknęła Vialle. – Powinieneś lepiej na nią uważać! Przy wszystkich problemach z Begmą... jeszcze to! Gdzie ciało?

– Dobre pytanie – przyznałem. – Nie mam pojęcia. Ale żyła, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Widzisz, Coral oświadczyła, że jej ojcem był Oberon. A potem zaczęła przejście. Kiedy doszła do końca, kazała się gdzieś przenieść. A teraz jej siostra się niepokoi. Wie, że wychodziliśmy razem. Przez całą kolację wypytywała mnie, gdzie się podziała Coral.

– Co jej powiedziałaś?

– Że zostawiłem ją podziwiającą piękno pałacu i że pewnie spóźni się na kolację. Czas jednak płynął i Nayda niepokoiła się coraz bardziej. Musiałem obiecać, że jeśli Coral nie wróci, wieczorem

pomogę jej szukać. Wolałem nie mówić, co się naprawdę wydarzyło, bo nie chciałem poruszać kwestii pochodzenia Coral.

– To zrozumiałe – przyznała. – Ojej... Czekałem, ale milczała. Czekałem dalej. Wreszcie...

– Nie wiedziałam o begmańskim romansie zmarłego króla – powiedziała. – Dlatego trudno mi ocenić reakcję na jego ujawnienie. Czy Coral wspomniała, na jak długo się wybiera? A przy okazji, czy zapewniłeś jej jakiś sposób powrotu?

– Dałem jej swój Atut – wyjaśniłem. – Ale jeszcze się nie kontaktowała. Zrozumiałem, że zamierza wrócić dość szybko.

– To poważna sprawa – uznała Vialle. – Nie tylko z oczywistych powodów. Jakie wrażenie zrobiła na tobie Nayda?

– Rozsądna dziewczyna – stwierdziłem. – Wydaje się, że dość mnie lubi. Vialle zamyśliła się.

– Jeśli wiadomość o tym dotrze do Orkuza, uzna, że trzymamy jego córkę jako zakładniczkę, aby zagwarantować sobie jego właściwe zachowanie podczas negocjacji, jakich może wymagać rozwój sytuacji w Kashfie.

– Masz rację. Nie pomyślałem o tym.

– On pomyśli. Ludziom przychodzą do głowy takie rzeczy, kiedy prowadzą z nami interesy. Musimy zatem zyskać na czasie i znaleźć ją, zanim to wszystko zacznie wyglądać podejrzanie.

– Rozumiem.

– Przypuszczam, że pośle kogoś do jej komnaty... jeśli już tego nie zrobił. Zechce sprawdzić, dlaczego nie była obecna na przyjęciu. Jeśli jakoś mu to teraz wyjaśnimy, będziesz miał całą noc, by ją odszukać.

– Jak?

– Ty jesteś czarodziejem. Wymyśl coś. A na razie... mówiłeś, że Nayda jest sympatyczna?

– Bardzo.

– To dobrze. Najlepszym rozwiązaniem będzie chyba uzyskanie od niej pomocy. Ufam, że będziesz taktowny i załatwisz tę sprawę możliwie delikatnie...

– Naturalnie... – zacząłem.

– ...ze względu na jej niedawną chorobę – kontynuowała. – Tego tylko nam trzeba, żeby druga córka dostała ataku serca.

– Chorobę? – zdziwiłem się. – Nic o tym nie mówiła.

– Wspomnienia wciąż są pewnie bolesne. Jak słyszałam, przez długi czas była bliska śmierci. Dopiero niedawno wróciła do zdrowia i uparła się, by towarzyszyć ojcu w tej misji. To on mi o tym opowiedział.

– Przy kolacji sprawiała wrażenie zupełnie zdrowej – wtrąciłem niepewnie.

– I tak powinno być nadal. Idź do niej zaraz, możliwie dyplomatycznie poinformuj, co zaszło, i spróbuj namówić, żeby tuszowała nieobecność siostry, póki jej nie odnajdziesz. Oczywiście, istnieje ryzyko, że ci uwierzy i pobiegnie wprost do Orkuza. Może wykorzystasz jakieś zakłęcie, by do tego nie dopuścić. Ale moim zdaniem nie mamy innego wyboru. Powiedz, jeśli się mylę.

– Nie mylisz się.

– Więc proponuję, żebyś wziął się do dzieła... i zawiadom mnie natychmiast, gdyby wystąpiły jakieś problemy lub odniósłbyś jakieś sukcesy... niezależnie od pory.

– Już idę – oświadczyłem.

Wybiegłem w pośpiechu z komnaty, ale stanąłem zaraz za progiem. Przyszło mi do głowy, że choć ogólnie wiem, w której części pałacu zakwaterowano begmańską delegację, to nie mam pojęcia, w którym pokoju mieszka Nayda. Nie chciałem wracać i pytać Vialle; głupio bym wyglądał, że nie

ustaliłem tego przy kolacji.

Straciłem prawie dziesięć minut, nim znalazłem kogoś ze służby pałacowej, kto potrafił mi wskazać drogę – uśmiechając się przy tym znacząco. Ruszyłem dziarsko i wkrótce stałem przed drzwiami Naydy.

Przyczesalem palcami włosy, otrzepałem spodnie i kurtkę, wytarłem buty o nogawki, nabrałem tchu, uśmiechnąłem się, wypuściłem powietrze i zapukałem.

Drzwi otworzyły się po kilku sekundach. W progu stanęła Nayda. Uśmiechnęła się także i odstepiła na bok.

– Wejdz – powiedziała.

– Spodziewałem się pokojówki – zauważyłem. – Zaskoczyłaś mnie.

– Oczekiwałam cię, więc wcześniej wysłałam ją do łóżka.

Przebrała się w strój, który przypominał szary dres z czarną szarfą. Na nogach miała czarne pantofle. Usunęła większą część makijażu, a włosy ściągnęła mocno do tyłu i przewiązała czarną wstążką. Wskazała mi sofę, ale nie siadałem.

Lekko chwyciłem je za ramię i spojrzałem w oczy. Przysunęła się.

– Jak się czujesz? – spytałem.

– Sprawdź – odparła cicho.

Nie mogłem sobie pozwolić na westchnienie. Obowiązek wzywał. Objąłem ją, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem. Trwałem w takiej pozycji przez kilka sekund, potem odsunąłem się i znów uśmiechnąłem.

– Według mnie świetnie. Posłuchaj: nie wspomniałem ci o kilku sprawach...

– Może usiądziemy? – zaproponowała. Wzięła mnie za rękę i pociągnęła na sofę.

Vialle nakazała mi zachowywać się dyplomatycznie, więc nie stawiałem oporu. Nayda natychmiast wróciła do objęć i zaczęła stosować pewne udoskonalenia. Do diabła! A ja miałem ją skłonić, żeby wyszła i kryła dla mnie nieobecność Coral. Jeśli się zgodzi, z rozkoszą przykryję ją później. I zgodzę się na dowolne inne ciekawe pozycje, które preferują Begmanie. Lepiej poprosić zaraz, uznałem. Za parę minut rozmowa o siostrze będzie bardzo niedyplomatyczna. Miałem po prostu zły dzień, jeśli chodzi o rozkład zajęć.

– Zanim przesadnie się tutaj zaangażujemy – zacząłem – muszę cię prosić o przysługę.

– Proś, o co chcesz – szepnęła.

– Obawiam się, że twoja siostra zjawi się z pewnym opóźnieniem – wyjaśniłem. – A nie chciałbym niepokoić waszego ojca. Nie wiesz, czy posłał kogoś do jej pokoju, czy może sam tam poszedł, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje?

– Nie sądzę. Zaraz po przyjęciu odszedł z Gerardem i panem Rothem. Chyba nie wrócił jeszcze do swojego apartamentu.

– Czy mogłabyś jakoś go przekonać, że Coral nie zginęła? I zyskać dla mnie trochę czasu na poszukiwania? Sprawiała wrażenie rozbawionej.

– A te rzeczy, o których mi nie wspomniałeś...?

– Jeśli zrobisz to dla mnie, wszystko ci opowiem. Przesunęła końcem palca wzdłuż mojej szczęki.

– Dobrze – zgodziła się. – Umowa stoi. Nie odchodź.

Wstała, przeszła przez pokój i zniknęła za progiem, zostawiając uchylone drzwi. Dlaczego od czasów Julii nie miałem żadnego przyjemnego, zwyczajnego romansu? Ostatnia kobieta, z którą się kochałem, była opanowana przez tego niezwykle, zmieniającego ciała ducha. Teraz... Teraz najlżejszy z cieni padł na sofę, gdy sobie uświadomiłem, że wolałbym trzymać w ramionach Coral, nie jej siostrę. To śmieszne. Przecież znałem ją tylko pół dnia...

Chyba za dużo się działo od mojego powrotu. Stałem się nerwowy. Z pewnością o to chodzi.

Kiedy weszła, usiadła na sofie, ale teraz dzieliło nas co najmniej pół metra. Zachowywała się miło, choć nie próbowała wracać do naszego poprzedniego zajęcia.

– Sprawa załatwiona – oznajmiła. – Jeśli zapyta, otrzyma fałszywe informacje.

– Dzięki.

– Teraz twoja kolej – przypomniała. – Mów.

– Dobrze – zgodziłem się i zacząłem opowiadać o Coral i Wzorcu.

– Nie – przerwała. – Zaczynaj od początku.

– Co masz na myśli?

– Opisz mi cały dzień, od wyjścia z pałacu aż do waszego rozstania.

– To bez sensu – zaprotestowałem.

– Zrób mi przyjemność. Jesteś mi coś winien, pamiętasz?

– No dobrze – westchnąłem i zacząłem jeszcze raz. Udało mi się przemilczeć fragment z rozbijaniem stolika w kawiarni. Spotkanie w jaskiniach nad morzem próbowałem zbyć krótkim zdaniem, że obejrzelismy je i byliśmy zachwyceni. Przerwała mi jednak.

– Stop – rzuciła. – Coś pomijasz. Coś się zdarzyło w jaskiniach.

– Dlaczego tak sądzisz? – zdziwiłem się.

– To sekret, którego na razie wolę nie zdradzać – odparła. – Wystarczy, że mam sposób, by sprawdzić twoją prawdomówność.

– To nieistotne – zapewniłem ją. – Tylko zaciemni sprawę. Dlatego to opuściłem.

– Obiecałeś, że opowiesz o całym popołudniu.

– No dobrze – zgodziłem się. Przygryzła wargę, kiedy mówiłem o Jurcie i zombich. Potem nieświadomie zlizywała kropelki krwi.

– Jak masz zamiar z nim postąpić? – zapytała nagle.

– To już mój problem – odpowiedziałem. – Miałem ci opowiedzieć, co robiłem przez całe popołudnie, nie moje pamiętniki i plany przetrwania.

– Ja po prostu... Pamiętasz, zaproponowałam ci pomoc.

– Co to znaczy? Myślisz, że potrafisz załatwić dla mnie Jurta? Mam dla ciebie ciekawą wiadomość: praktycznie rzecz biorąc, w tej chwili jest kandydatem do boskości.

– Co masz na myśli, mówiąc "boskość"? Potrząsnąłem głową.

– Prawie całej nocy potrzebowałbym, żeby opowiedzieć ci tę historię szczegółowo. A nie mam tyle czasu, jeśli chcę zacząć szukać Coral. Pozwól, że skończę o Wzorcu. Zgoda?

– Mów.

Tak zrobiłem. Nie okazała najmniejszego zdziwienia wiadomością o pochodzeniu siostry. Chciałem zapytać o ten brak reakcji, ale powiedziałem sobie: do diabła z tym. Spełniła moją prośbę, a ja dotrzymałem obietnicy. Nie doznała ataku serca. A teraz pora się żegnać.

Zacząłem wstawać, a ona przysunęła się szybko i znów mnie objęła.

Przez chwilę odwzajemniałem jej uścisk.

– Naprawdę muszę już iść – oświadczyłem w końcu. – Coral może być w niebezpieczeństwie.

– Niech ją diabli wezmą. Zostań ze mną. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia.

Zdumiała mnie jej gruboskórność, ale próbowałem tego nie okazywać.

– Mam wobec niej obowiązki – odparłem. – I lepiej będzie, jeśli wypełnię je zaraz.

– Dobrze. – Westchnęła. – W takim razie pomogę ci.

– Jak? – spytałem.

– Zdziwisz się – odparła. Zerwała się na nogi i uśmiechnęła krzywo.



Kiwnąłem głową, że zapewne ma rację.

# Rozdział 10

---

Przeszliśmy do mojego apartamentu. Otworzyłem drzwi i przywołałem światła. Nayda szybko rozejrzała się po pokoju. Znieruchomiała, gdy zobaczyła mój wieszak.

– Królowa Jasra! – zawołała.

– Tak. Zdarzyło się jej drobne nieporozumienie z czarownikiem o imieniu Maska – wyjaśniłem. – Zgadnij, kto wygrał.

Nayda uniosła lewą rękę i przesuwając ją powoli za karkiem Jasry, w dół pleców, potem przez piersi i znowu na dół. Nie rozpoznałem żadnego z tych gestów.

– Tylko mi nie mów, że też jesteś czarodziejką – mruknąłem. – Mam wrażenie, że każdy, kogo ostatnio spotykam, został wyszkolony w Sztuce.

– Nie jestem czarodziejką – odparła. – I nie zostałam w ten sposób wyszkolona. Znam tylko jedną sztuczkę, wcale nie magiczną. Wykorzystuję ją do wszystkiego.

– A co to za sztuczka? – zainteresowałem się. Zignorowała pytanie.

– Rzeczywiście jest mocno związana – stwierdziła. – Klucz tkwi gdzieś w okolicy splotu słonecznego. Wiedziałeś o tym?

– Tak. W pełni poznałem to zaklęcie.

– Dlaczego jest tutaj?

– Częściowo dlatego, bo obiecałem jej synowi, Rinaldowi, że uwolnię ją z rąk Maski. Częściowo zaś jako gwarancja jego dobrego zachowania.

Zamknąłem i zaryglowałem drzwi. Kiedy się odwróciłem, patrzyła na mnie z uwagą.

– Widziałeś go ostatnio? – zapytała obojętnym tonem.

– Tak. Czemu pytasz?

– Bez szczególnych powodów.

– Myślałem, że mamy sobie pomagać – przypomniałem.

– Myślałam, że mamy szukać mojej siostry.

– To może chwilę poczekać, jeśli masz jakieś ważne informacje o Rinaldzie.

– Byłam tylko ciekawa, gdzie się teraz podziewa.

Podszedłem do kufra, gdzie trzymam swoje materiały malarskie. Wyjąłem niezbędne narzędzia i przeniosłem je do deski kreślarskiej.

– Nie wiem, gdzie jest w tej chwili – oświadczyłem.

Umocowałem kawałek kartonu, usiadłem i zamknąłem oczy, przywołując w myślach wizerunek Coral. To konieczny wstęp przed szkicowaniem portretu. Po raz kolejny zastanowiłem się, czy dla kontaktu wystarczy obraz w mojej pamięci, odpowiednio wsparty magią. Nie miałem jednak czasu na eksperymenty. Otworzyłem oczy i zacząłem rysować. Używałem technik, jakie poznałem w Dworcach, różnych, a przecież podobnych do wykorzystywanych w Amberze. Potrafiłbym tworzyć na oba sposoby, ale szybciej mi idzie ten, który poznałem jako pierwszy.

Nayda stanęła obok mnie. Przyglądała się, nie pytając, czy mi przeszkadza. Zresztą nie przeszkadzała.

– Kiedy ostatni raz go widziałeś? – zapytała.

– Kogo?

– Luke'a.

– Dziś wieczorem – odpowiedziałem.

- Gdzie?
- Był tu niedawno.
- Czy jest teraz?
- Nie.

– A gdzie go widziałeś?

– W Lesie Arden. Czemu pytasz?

– To niezwykle miejsce na pożegnanie. Pracowałem nad brwiami Coral.

– Rozstaliśmy się w dość niezwykłych okolicznościach – wyjaśniłem. Trochę poprawić oczy, trochę włosy...

– Pod jakim względem niezwykłych? – spytała. Trochę kolorów na policzki...

– Nieważne – mruknąłem.

– Pewnie tak – zgodziła się. – To nie takie istotne.

Postanowiłem nie reagować na tę przynętę, ponieważ właśnie coś poczułem. Zdarzało się to czasem w przeszłości: koncentracja na rysunku Atutu, kiedy kładłem ostatnie pociągnięcia, była wystarczająco silna, by przebić się i...

– Coral! – zawołałem, gdy jej rysy nabrały życia, a perspektywa uległa nagłej zmianie.

– Merlin...? – odpowiedziała. – Mam... kłopoty. To dziwne, ale nie widziałem żadnego tła. Tylko czerń. Poczulem dłoń Naydy na ramieniu.

– Dobrze się czujesz? – spytałem.

– Tak... Ciemno tutaj... bardzo ciemno. Oczywiście. Nie można operować Cieniem w braku światła. Nie można patrzeć, by skorzystać z Atutu.

– Czy tam posłał cię Wzorzec?

– Nie – odparła.

– Weź mnie za rękę. Potem o wszystkim opowiesz. Wyciągnąłem ramię, a ona sięgnęła ku mnie.

– Oni... – zaczęła.

Kontakt urwał się w palącym rozbłysku. Poczulem, że Nayda sztywnieje.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Nagle coś nas zablokowało. Nie wiem, jakie moce to spowodowały.

– I co teraz zrobisz?

– Za chwilę spróbuję znowu. Jeśli to wynik jakiejś reakcji, opór w tej chwili jest pewnie wysoki, ale potem może się zmniejszyć. Przynajmniej nic jej nie jest.

Wyjąłem talię Atutów, które zwykle noszę ze sobą, i wyszukałem kartę Luke'a. Powinienem sprawdzić, co się z nim dzieje. Nayda spojrzała na portret i uśmiechnęła się.

– Mówiłeś chyba, że niedawno go widziałeś – zauważyła.

– Wiele może się zdarzyć w ciągu takiego czasu.

– Jestem pewna, że wiele się zdarzyło.

– Czyżbyś wiedziała coś na temat jego obecnej sytuacji? – spytałem.

– Tak, wiem. Uniosłem Atut.

– Co?

– Mogę się założyć, że połączenia nie będzie – oświadczyła.

– Zobaczymy.

Skupiłem się i posłałem wezwanie. Potem znowu. Po minucie otarłem pot z czoła.

– Skąd wiedziałaś?

– Luke cię blokuje. Ja też bym to zrobiła... w tych okolicznościach.

– Jakich okolicznościach?

Z drwiącym uśmiechem usiadła na krześle.

– Teraz znowu mam coś na wymianę – stwierdziła.

– Znowu?

Przyjrzałem się jej. Coś stuknęło i wskoczyło na miejsce.

– Nazwałaś go "Luke", nie "Rinaldo" – przypomniałem sobie.

– W istocie.

– Zastanawiałem się już, kiedy znowu się zjawisz. Wciąż się uśmiechała.

– Przestrzeliłem swoje zaklęcie nakazu eksmisji – zauważyłem. – Chociaż nie mogę narzekać.

Ocaliło mi chyba życie. Czy pośrednio tobie jestem winien tę przysługę?

– Nie jestem dumna. Przyjmę twoją wdzięczność.

– Po raz kolejny chciałbym cię zapytać, czego chcesz. Jeśli znowu odpowiesz, że pomagać mi albo mnie chronić, zamienię cię w wieszak.

Roześmiała się.

– Sądziłam, że w tej chwili przyjmiesz każdą pomoc.

– Wiele zależy od tego, co rozumiesz pod słowem "pomoc".

– Jeśli powiesz mi, co planujesz, ja powiem, czy mogę się na coś przydać.

– Niech będzie – zgodziłem się. – Przebiorę się opowiadając. Nie mam zamiaru szturmować cytadeli w takim stroju. Może pożyczę ci czegoś solidniejszego niż dres?

– Nie trzeba. Zaczynaj od Arbor House.

– Zgoda.

Zacząłem opowiadać, równocześnie wybierając mocniejszą odzież. Nayda nie była już dla mnie piękną dziewczyną, ale mglistym duchem w ludzkiej postaci. Mówiłem, a ona siedziała zapatrzona w ścianę, czy raczej spoglądała przez nią ponad złożonymi palcami. Nie drgnęła, kiedy skończyłem. Wziąłem z deski Atut Coral i spróbowałem znowu, ale nie mogłem się przebić. Sprawdziłem kartę Luke'a, z tym samym wynikiem.

Miałem właśnie schować Atut, złożyć talię i wsunąć ją do futerału, kiedy dostrzegłem następną kartę. Łańcuch wspomnień i domysłów jak błyskawica rozjaśnił moje myśli. Wyjąłem kartę, skupiłem się, sięgnąłem...

– Tak, Merlinie? – odezwał się po chwili. Siedział przy stoliku na tarasie, na tle nocnego pejzażu miasta. Odstawiał właśnie na maleńki biały spodeczek coś, co przypominało filiżankę kawy.

– Natychmiast. Szybko – powiedziałem. – Chodź do mnie.

Kiedy nastąpił kontakt, Nayda wydała z siebie niski warkot. Poderwała się i szła w moją stronę, wpatrzona w Atut, gdy Mandor chwycił mnie za rękę i przestąpił barierę. Zatrzymała się, gdy stanęła przed nią wysoka, czarno odziana postać. Przez moment patrzyli na siebie lodowato, wreszcie Nayda płynnie posunęła się o krok w jego stronę. Zaczęła unosić ręce. I natychmiast, z głębin jakiejś wewnętrznej kieszeni płaszcza, gdzie wsunął prawą rękę, dobiegł pojedynczy, ostry, metaliczny trzask.

Nayda zamarła.

– Interesujące. – Mandor przesunął lewą dłoń tuż przed jej twarzą. Gałki oczne nie śledziły ruchu.

– To ta, o której mi opowiadałeś... Vinta, tak chyba miała na imię.

– Tak, tyle że teraz jest Nayda.

Wydobył skądś i uniósł w lewej dłoni niewielką kulkę z ciemnego metalu. Ustawił ją tuż przed twarzą Naydy. Kulka z wolna ruszyła z miejsca i zatoczyła krąg w lewo. Nayda wydała pojedynczy dźwięk, coś pośredniego między jękiem a westchnieniem. Opadła na ręce i kolana, spuszczając głowę. Ze swojego miejsca widziałem, że ślina ścieka jej z ust.

Mandor powiedział coś bardzo szybko, w archaicznym dialekcie thari. Nie zrozumiałem, ale Nayda odpowiedziała twierdząco.

– Chyba rozwiązałem zagadkę – oświadczył. – Pamiętasz wykłady o Przyzywaniach i Najwyższych Przymuszeniach?

– Mniej więcej – odparłem. – Teoretycznie. Ten temat nigdy mnie szczególnie nie pasjonował.

– Wielka szkoda – stwierdził. – Powinieneś zgłosić się do Suhuya na kurs podyplomowy.

– Czy chcesz mi powiedzieć...?

– Istota, którą widzisz przed sobą, zamieszkująca dość atrakcyjną ludzką postać, to ty'iga – wyjaśnił.

Wytrzeszczyłem oczy. Ty'iga to rasa bezcielesnych zwykle demonów, zamieszkujących czerń poza Krawędzią. Pamiętam, jak nas uczono, że są bardzo potężne i bardzo trudne do opanowania.

– Hm... czy możesz sprawić, żeby ona przestała się ślinić na mój dywan? – spytałem.

– Oczywiście.

Puścił kulę, która upadła na podłogę tuż przed nią. Nie odbiła się, ale potoczyła natychmiast, opisując szybkie kręgi wokół Naydy.

– Wstań – rozkazał. – I przestań uwalniać płyny cielesne na podłogę.

Wykonała polecenie. Podniosła się i stanęła z nieobecny wyrazem twarzy.

– Usiądź na tym krześle. – Mandor wskazał mebel, który zajmował kilka minut temu.

Posłuchała. Kulka dopasowała tor do jej ruchu i teraz okrążała krzesło.

– Nie może opuścić tego ciała – wyjaśnił Mandor. – Dopóki jej nie uwolnię. I w granicach sfery mojej mocy mogę jej zadać dowolne cierpienia. Potrafię uzyskać dla ciebie odpowiedzi. Powiedz teraz, jakie masz pytania.

– Czy ona nas słyszy?

– Tak, ale nie może mówić, póki jej nie pozwolę.

– Nie warto bez potrzeby sprawiać bólu. Może wystarczy sama groźba. Chcę wiedzieć, dlaczego wszędzie mnie ściga.

– Bardzo dobrze – stwierdził. – Oto pytanie, ty'igo. Odpowiedz!

– Podążam za nim, by go chronić -- powiedziała martwym głosem.

– To już słyszałem. Chcę wiedzieć dlaczego.

– Dlaczego? – powtórzył Mandor.

– Muszę – odpowiedziała.

– Dlaczego musisz?

– Ja... – Zęby rozorały jej dolną wargę i znów popłynęła krew.

– Dlaczego?

Twarz się zaczerwieniła, a krople potu wystąpiły na czoło. Oczy, choć nieobecne, wypełniły się łzami. Cienka strużka krwi pociekła jej po brodzie. Mandor wyciągnął zaciśniętą pięść, otworzył ją i odsłonił kolejną metalową kulę. Przytrzymał ją jakieś dwadzieścia centymetrów od czoła Naydy, potem wypuścił. Kulka zawisała w powietrzu.

– Niech się otworzą bramy bólu – powiedział i pstryknął ją lekko czubkiem palca.

Kulka pofrunęła natychmiast. Powolną elipsą okrążała głowę Naydy, w każdej orbicie zbliżając się do jej skroni. Dziewczyna zaczęła zawodzić.

– Cicho! – nakazał Mandor. – Cierp w milczeniu. Łzy popłynęły jej po policzkach, krew pociekła po brodzie...

– Przestań! – rzuciłem.

– Jak chcesz. – Wyciągnął rękę i na moment chwycił kulę między kciuk i środkowy palec lewej

ręki. Kiedy ją wypuścił, zawisała nieruchomo obok prawego ucha Naydy. – Możesz teraz odpowiadać na pytania – oświadczył. – To była tylko skromna próbka tego, co mogę z tobą zrobić. Potrafię doprowadzić do twego unicestwienia.

Otworzyła usta, ale nie padło żadne słowo. Jedyne odgłos krztuszenia się.

– Myślę, że źle się do tego wzięliśmy – zauważyłem. – Czy możesz kazać jej mówić normalnie, bez tych pytań i odpowiedzi?

– Słyszałaś – rzekł Mandor. – Taka jest również moja wola.

– Moje ręce... – jęknęła. – Uwolnij je. Proszę.

– No dalej – powiedziałem.

– Są wolne – oznajmił Mandor. Rozprostowała palce.

– Chusteczkę... ręcznik... – szepnęła.

Otworzyłem szufladę komody i wyjąłem chustkę do nosa. Chciałem jej podać, ale Mandor chwycił mnie za rękę i odebrał. Rzucił chustkę, a Nayda ją złapała.

– Nie sięgaj do wnętrza sfery – pouczył mnie.

– Nie skrzywdziłabym go – powiedziała, wycierając policzki, oczy i brodę. – Mówiłam ci, że miałam go tylko chronić.

– Chcemy dokładniejszych informacji – stwierdził Mandor i znowu sięgnął do kulki.

– Czekaj – rzuciłem. Zwróciłem się do Naydy. – Czy możesz przynajmniej powiedzieć, dlaczego nie możesz mówić?

– Nie – odparła. – To jedno i to samo.

Nagle zobaczyłem tę sytuację jak niezwykle zadanie z programowania. Postanowiłem spróbować innego podejścia.

– Musisz mnie chronić za wszelką cenę? – upewniłem się. – To twoja zasadnicza funkcja?

– Tak.

– I nie powinnaś zdradzać, kto i dlaczego zlecił ci to zadanie?

– Tak.

– Przypuśćmy, że wyznanie wszystkiego byłoby jedynym sposobem, by mnie ochronić...

Zmarszczyła brwi.

– Ja... – Zająknęła się. – Ja nie... Jedynym? Przymknęła oczy i zakryła dłońmi twarz.

– Ja... Musiałabym ci wtedy powiedzieć.

– Wreszcie do czegoś dochodzimy. Byłabyś zdolna naruszyć wtórną instrukcję, by wykonać pierwotną?

– Tak, ale to, o czym mówisz, nie jest rzeczywistą sytuacją.

– Może się nią stać – wtrącił nagle Mandor. – Nie wykonasz zadania, jeśli przestaniesz istnieć.

Zatem, pozwalając na własną destrukcję, naruszysz rozkaz. Zniszczę cię, jeśli nie odpowiesz na nasze pytania.

Uśmiechnęła się.

– Nie sądzę – rzekła.

– Dlaczego nie?

– Zapytaj Merlina, jakie będą polityczne konsekwencje znalezienia w jego pokoju zabitej w tajemniczych okolicznościach córki premiera Begmy? Zwłaszcza że jest już odpowiedzialny za zniknięcie jej siostry.

Mandor spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

– Nic z tego nie rozumiem – wyznał.

– To bez znaczenia – wyjaśniłem. – Ona kłamie. Jeśli coś się jej stanie, wróci po prostu

prawdziwa Nayda. Widziałem to już w przypadku George'a Hansena, Meg Devlin i Vinty Bayle.

– Tak zwykle się dzieje – powiedziała. – Gdyby nie pewien drobiazg. Oni wszyscy byli żywi, kiedy brałam w posiadanie ich ciała. Ale Nayda właśnie zmarła po ciężkiej chorobie. Dokładnie ktoś taki był mi potrzebny, więc opanowałam i uleczyłam jej ciało. Jej już tu nie ma. Jeśli odejdę, zostaną zwłoki albo ludzka roślina.

– Blefujesz – stwierdziłem. Pamiętałem jednak, że Vialle wspomniała o chorobie Naydy.

– Nie, wcale nie.

– To bez znaczenia – mruknąłem. – Mandorze, potrafisz sprawić, by nie mogła opuścić tego ciała i podążać za mną?

– Tak – potwierdził.

– Dobrze. Naydo, wyruszam w pewne miejsce i będzie mi tam grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie pozwolę, byś ruszyła za mną i wypełniała swoje polecenia.

– Nie rób tego – odpowiedziała.

– Nie zostawiasz mi żadnego wyboru. Muszę zatrzymać cię tutaj, kiedy będę się zajmował swoimi sprawami. Westchnęła.

– A więc znalazłeś sposób, żeby mnie zmusić, bym dla wykonania jednego rozkazu złamała drugi. Bardzo sprytnie.

– Zatem powiesz mi to, co chcę wiedzieć? Pokręciła głową.

– To nie kwestia woli, lecz fizyczna niemożliwość. Ale... chyba znalazłam sposób.

– Jaki?

– Mogłabym chyba wyznać prawdę komuś trzeciemu, komu także zależy na twoim bezpieczeństwie.

– To znaczy...

– Gdybyś wyszedł na chwilę z pokoju, spróbuję opowiedzieć twojemu bratu o tym, czego tobie nie mogę zdradzić.

Spojrzałem w oczy Mandora.

– Wyjdę na chwilę na korytarz – rzuciłem.

Tak też zrobiłem. Wiele rzeczy mnie niepokoiło, gdy podziwiałem gobeliny na ścianach. Nie najmniej ważną spośród nich był fakt, że przecież jej nie mówiłem, iż Mandor jest moim bratem.

Drzwi otworzyły się po dłuższym czasie. Wyrżał Mandor i rozejrzał się na wszystkie strony. Uniósł rękę, gdy ruszyłem ku niemu. Zatrzymałem się, a on wyszedł i zbliżył się do mnie. Wciąż się rozglądał.

– To jest pałac w Amberze? – zapytał.

– Tak. Może nie najmodniejsze skrzydło, ale dla mnie to dom.

– Chciałbym go obejrzeć w spokojniejszych okolicznościach.

Pokiwałem głową.

– Obiecuję. A teraz powiedz, co się tam działo? Odwrócił głowę, zauważył gobelin, przyjrzał się uważnie.

– To niezwykle – rzekł. – Nie mogę.

– Co masz na myśli.

– Nadal mi ufasz, prawda?

– Oczywiście.

– Więc zaufaj mi również teraz. Mam ważne powody, żeby nie mówić, czego się dowiedziałem.

– Daj spokój, Mandorze! O co tu chodzi, u licha?

– Ty'iga nie stanowi dla ciebie zagrożenia. Naprawdę dba o twoje bezpieczeństwo.

– Też mi nowina. Chcę wiedzieć dlaczego.

– Daj temu spokój – powiedział. – Na razie. Tak będzie lepiej.

Potrząsnąłem głową. Zacisnąłem dłoń w pięść i rozejrzałem się za czymś, w co mógłbym trzasnąć.

– Rozumiem, co czujesz. Ale proszę, żebyś dał temu spokój.

– Uważasz, że wiedza mogłaby mi jakoś zaszkodzić?

– Tego nie powiedziałem.

– A może boisz się mi powiedzieć?

– Daj spokój! – powtórzył.

Odwróciłem się i opanowałem z wysiłkiem.

– Musisz mieć ważne powody – uznałem w końcu.

– Mam.

– Nie mam zamiaru rezygnować – oznajmiłem. – Ale nie mam też czasu, by wobec takiego sprzeciwu dochodzić prawdy. W porządku. Ty masz swoje powody, a ja mam ważne sprawy gdzie indziej.

– Wspomniała mi o Jurcie, Masce i Twierdzy, gdzie Brand zdobył swą moc.

– Tak, właśnie tam się wybieram.

– Ona liczy, że będzie mogła ci towarzyszyć.

– Myli się.

– Ja również bym ci odradzał.

– Przypilnujesz jej dla mnie, póki nie załatwię swoich spraw?

– Nie – odparł. – Ponieważ wyruszam z tobą. Ale zanim odejdziemy, pograżę ją w bardzo głębokim transie.

– Przecież nie masz pojęcia, co się zdarzyło od naszej wspólnej kolacji. A zdarzyło się wiele. I nie mam czasu, żeby uzupełnić twoje informacje.

– To bez znaczenia – stwierdził. – Wiem, że w grę wchodzi wrogi czarownik, Jurt i niebezpieczne miejsce. To wystarczy. Pójdę z tobą i pomogę ci.

– Ale to może nie wystarczyć – powiedziałem. – My możemy nie wystarczyć.

– Mimo to uważam, że ty'iga będzie tylko przeszkadzać.

– Nie mówiłem o niej, tylko o tej zeszywniałej damie przy drzwiach.

– Właśnie chciałem o nią zapytać. To jakiś przeciwnik, którego chciałeś ukarać?

– Owszem, była przeciwnikiem. Jest paskudna, zdradliwa i jadowicie kąsa. Jest również królową zrzucaną z tronu. Ale to nie ja tak ją urządziłem. Zrobił to czarownik, który poluje również na mnie. Ona jest matką przyjaciela, więc uratowałem ją i dla bezpieczeństwa przenieśliśmy tutaj. Dopiero teraz pojawił się powód, żeby ją uwolnić.

– Rozumiem. Jako sojusznika przeciwko jej dawnemu wrogowi.

– Właśnie. Dobrze zna miejsce, gdzie się wybieram. Ale nie lubi mnie i niełatwo prowadzić z nią interesy... A nie mam pewności, czy jej syn dostarczył mi odpowiedniej amunicji, dzięki której mógłbym jej zaufać.

– Uważasz, że będzie cennym nabytkiem?

– Tak. Chciałbym mieć po swojej stronie całą jej wrogość. Poza tym, o ile wiem, jest znakomitą czarodziejką.

– Jeśli potrzebne są argumenty, pozostają tylko groźby i przekupstwo. Mam kilka prywatnych piekieł, które osobiście zaprojektowałem i wyposażylem, z czysto estetycznych względów. Krótka podróż może jej dostarczyć silnych wrażeń. Z drugiej strony, mógłbym posłać po garnek klejnotów.

– Sam nie wiem – mruknąłem. – Jej motywacje są nieco złożone. Póki będę w stanie, pozwól mi



działać samemu.

– Oczywiście. To były tylko propozycje.

– Zatem najbliższe plany to ożywić ją, złożyć ofertę i spróbować ocenić reakcję.

– Czy nikogo innego nie możesz prosić o pomoc? Kogoś ze swoich tutejszych krewnych?

– Boję się im zdradzić, co zamierzam. Łatwo mogliby mi zakazać, przynajmniej do powrotu Randoma. Nie mam na to czasu.

– Mogę wezwać posiłki z Dworców.

– Tutaj? Do Amberu? Wpadłbym w bagno po uszy, gdyby Random się o tym dowiedział. Zacząłby podejrzewać, że szykuję przewrót.

Uśmiechnął się.

– To miejsce przypomina mi dom – zauważył i zawrócił do moich drzwi.

Zobaczyłem, że Nayda wciąż siedzi na krześle, z dłońmi na kolanach, wpatrzona w metalową kulkę zawieszoną trzydzieści centymetrów od jej twarzy. Druga kulka nadal zataczała kręgi po podłodze.

Mandor dostrzegł, że przyglądam się Naydzie.

– Bardzo lekki trans – wyjaśnił. – Słyszysz nas. Jeśli zechcesz, możesz obudzić ją w jednej chwili.

Skinąłem tylko głową. Przyszła kolej na Jasrę.

Zdjąłem wszystkie wiszące na niej płaszcze i odłożyłem na krzesło po drugiej stronie pokoju.

Potem przyniosłem ściereczkę i miskę z wodą, żeby zetrzeć z jej twarzy makijaż klauna.

– Niczego nie zapomniałem? – mruknąłem, głównie do siebie.

– Szklanka wody i lustro – podpowiedział Mandor.

– Po co?

– Może być spragniona – wyjaśnił. – I z pewnością zechce sprawdzić, jak wygląda.

– Może masz rację – przyznałem. Przesunąłem mały stolik i ustawiłem na nim dzbanek i kielich.

Obok położyłem lusterko.

– Podtrzymaj ją lepiej na wypadek, gdyby po usunięciu czaru zasłabła.

– Słusznie.

Objąłem ją, pomyślałem o trującym ukąszeniu i cofnąłem się. Po namyśle chwyciłem ją jedną ręką na odległość niemal ramienia.

– Jeśli mnie ugryzie, stracę przytomność niemal natychmiast – ostrzegłem Mandora. – Gdyby to nastąpiło, bądź gotów do obrony.

Mandor rzucił w powietrze następną kulkę. Na nienaturalnie długą chwilę zawisała na szczycie trajektorii, po czym wróciła mu do ręki.

– Dobrze – powiedziałem i wymówiłem słowa, które cofnęły zaklęcie.

Nie zdarzyło się nic tak dramatycznego, jak się spodziewałem. Osunęła się, więc podtrzymałem ją.

– Nic ci nie grozi – powiedziałem. – Rinaldo wie, że tu jesteś – dodałem, by przywołać znajome imię. – Tu stoi krzesło. Napijesz się wody?

– Tak.

Nalałem z dzbanka i podałem jej kielich.

Kiedy piła, obserwowała otoczenie. Zastanawiałem się, czy doszła do siebie od razu, a teraz sącząc wodę grała na czas, podczas gdy jej myśli pędziły, a na czubkach palców tańczyły zaklęcia. Kilka razy zerknęła z uznaniem na Mandora. Naydę obrzuciła długim, niechętnym spojrzeniem.

Wreszcie odstawiła kielich i uśmiechnęła się.

– Rozumiem, Merlinie, że jestem twoim więźniem – stwierdziła, krztusząc się lekko. Łyknęła jeszcze wody.

– Gościem – poprawiłem.

– Doprawdy? Jak to się stało? Jakoś nie pamiętam, bym przyjmowała zaproszenie.

– Przeniosłem cię tutaj z cytadeli w Twierdzy Czterech Światów. W stanie nieco kataleptycznym – wyjaśniłem.

– A gdzie znajduje się owo "tutaj"?

– To mój apartament w pałacu w Amberze.

– Zatem więźniem – orzekła.

– Gościem – powtórzyłem.

– W takim razie powinnam zostać przedstawiona, prawda?

– Wybacz. Mandorze, oto jej wysokość Jasra, królowa Kashfy. – Świadomie pominąłem "królewską". – Wasza wysokość, proszę o pozwolenie przedstawienia sobie mojego brata, Lorda Mandora.

Pochyliła głowę. Mandor zbliżył się, przyklęknął i uniósł jej dłoń do warg. Lepszy jest ode mnie w takich dworskich gestach; nawet nie sprawdził, czy grzbiet dłoni nie pachnie gorzkimi migdałami. Od razu dostrzegłem, że te maniery zrobiły na niej wrażenie. Przyglądała mu się z uwagą.

– Nie zdawałam sobie sprawy – rzekła – że do królewskiego rodu należy osobnik imieniem Mandor.

– Mandor jest następcą diuka Sawalla z Dworców Chaosu – odparłem. Szeroko otworzyła oczy.

– I powiedziałaś, że jest twoim bratem?

– W istocie.

– Udało ci się mnie zdziwić – przyznała. – Zapomniałam o twoim mieszanym pochodzeniu. Uśmiechnąłem się, skinąłem głową i wyciągnąłem rękę.

– A to... – zacząłem.

– Znam już Naydę – przerwała. – Dlaczego dziewczyna jest taka... zamyślona?

– To sprawa o wielkiej złożoności – odrzekłem. – Są za to inne i jestem pewien, że będą dla ciebie bardziej interesujące.

Uniosła brew.

– Ach... – westchnęła. – Oto kruchy, ulotny element... prawda. Kiedy tak szybko wychodzi na jaw, zwykle czyni to pod wpływem klaustrofobii okoliczności. Do czego jestem wam potrzebna?

Nadal się uśmiechałem.

– Zawsze należy uwzględniać okoliczności.

– Uwzględniam fakt, że znajduję się w Amberze, żywa i nie w celi, w towarzystwie dwóch dżentelmenów, którzy zachowują się niezwykle uprzejmie. Uwzględniam również, że mój stan nie jest taki, jaki być powinien według ostatnich wspomnień. I tobie powinnam dziękować za uwolnienie?

– Tak.

– Nie wiem czemu, ale wątpię, by powodował tobą altruizm.

– Zrobiłem to dla Rinalda. Próbował cię wydostać, ale został pobity. Potem ja wymyśliłem sposób, który mógł być skuteczny. Wypróbowałem go. Był.

Twarz jej zeszywniała na dźwięk imienia syna. Uznałem, że woli słyszeć to, które sama mu nadała, niż "Luke".

– Czy nic mu nie jest? – zapytała.

– Nie – zapewniłem w nadziei, że to prawda.

– Więc czemu go tu nie ma?

– Odjechał gdzieś z Daltem. Nie jestem pewien dokąd.

Wtedy właśnie Nayda jęknęła cicho. Popatrzyliśmy na nią, ale nie poruszyła się. Mandor spojrzał pytająco, lecz dyskretnie pokręciłem głową. Nie chciałem jej budzić w takiej chwili.

– Ten barbarzyńca źle na niego wpływa – zauważyła Jasra. Zakrztusiła się znowu i wypięła trochę wody. – Tak chciałam, by zamiast wyczyniać prymitywne sztuczki w siodle, Rinaldo nabrał bardziej dwornych manier. – Zechciała łaskawie uśmiechnąć się do Mandora. – W tym mnie rozczarował. Czy macie coś mocniejszego od wody?

– Oczywiście. – Odkorkowałem wino i nalałem jej. Potem spojrzałem na Mandora i na butelkę, ale pokręcił głową. – Musisz jednak przyznać, że na drugim roku pięknie pobiegł w meczu z UCLA. – Nie chciałem, żeby tak na niego narzekała. – Po części był to rezultat jego zamiłowania do bardziej aktywnego trybu życia.

Uśmiechnęła się, biorąc ode mnie kielich.

– Tak. Pobił wtedy rekord świata. Wciąż widzę, jak przechodzi ostatni płotek.

– Byłaś tam?

– Naturalnie. Chodziłam na wszystkie wasze zawody. Oglądałam nawet twoje biegi. Całkiem nieźle. Łyknęła wina.

– Zamówić ci coś do jedzenia? – zaproponowałem.

– Nie. Właściwie nie jestem głodna. Przed chwilą zaczęliśmy mówić o prawdzie...

– Rzeczywiście. Domyślam się, że w Twierdzy miało miejsce magiczne starcie między tobą a Maską...

– Maską? – powtórzyła.

– To ten czarownik w błękitnej masce, który włada teraz Twierdzą.

– A tak. Owszem, miało.

– Prawidłowo odgadłem?

– Tak, ale to spotkanie nastąpiło dość nagle. Wybacz moje wahanie. Zostałam zaskoczona i nie zdążyłam przygotować obrony. To właściwie wszystko. Nic takiego się więcej nie powtórzy.

– Jestem pewien. Ale...

– Wykradłeś mnie? – przerwała. – Czy też musiałeś walczyć z Maską, żeby mnie uwolnić?

– Walczyliśmy – odparłem.

– I w jakim stanie go zostawiłeś?

– Zakopanego pod stosem nawozu. Zachichotała.

– Cudownie! Lubię mężczyzn z poczuciem humoru.

– Muszę tam wrócić – dodałem.

– O... A to dlaczego?

– Ponieważ Maska sprzymierzył się z moim dawnym wrogiem... człowiekiem imieniem Jurt, który pragnie mojej śmierci.

Wzruszyła ramionami.

– Skoro Maska ci nie dorównał, nie rozumiem, czemu Maska i ten człowiek mają sprawić kłopot. Mandor odchrząknął.

– Jeśli wolno – powiedział. – Jurt jest pomniejszym czarodziejem i zmiennokształtnym z Dworców. Ma także władzę nad Cieniem.

– Owszem, to może stanowić pewien problem – przyznała.

– Nie tak wielki jak to, czego wspólnie próbują dokonać – stwierdziłem. – Według moich wiadomości, Maska zamierza poddać Jurta takiemu samemu rytuałowi, jaki przeszedł twój zmarły mąż... ma to związek z Fontanną Mocy.

– Nie! – krzyknęła, zrywając się na nogi. Resztką wina zmieszała się ze śliną i plamami krwi Naydy na tabrizkim dywanie, który kupiłem dla delikatnie haftowanej sielankowej sceny. – To nie może się powtórzyć!

Burza wybuchła i zgasła w jej oczach. Wtedy, po raz pierwszy Jasra wydała mi się słaba i wrażliwa.

- Dlatego go utraciłam.. – szepnęła. Chwila minęła. Powróciła twardość.
- Nie skończyłam wina – zauważyła siadając.
- Przyniosę drugi kieliszek – powiedziałem.
- Czy to nie lustro leży na stoliku?

# Rozdział 11

---

Czekałem, aż skończy toaletę. Patrzyłem przez okno na śnieg i dyskretnie, odwrócony do niej plecami, próbowałem nawiązać kontakt z Coral albo Lukiem. Bez skutku. Kiedy odłożyła pożyczony ode mnie grzebień i szczotkę, a obok nich lusterko, uznałem, że tak samo jak włosy zdążyła uporządkować swe myśli. I że jest gotowa do dalszej rozmowy. Odwróciłem się i podszedłem wolno.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem, ćwicząc przy tym obojętny wyraz twarzy. Wreszcie zapytała:

– Czy jeszcze ktoś w Amberze wie, że mnie przebudziłeś?

– Nie – zapewniłem.

– To dobrze. To znaczy, że może wyjdę stąd żywa. Domyślam się, że chcesz uzyskać moją pomoc przeciwko Masce i temu Jurtowi?

– Tak.

– O jaką dokładnie pomoc ci chodzi i czym byłbyś skłonny za nią zapłacić?

– Zamierzam przedostać się do Twierdzy, po czym zneutralizować Maskę i Jurta – wyjaśniłem.

– Zneutralizować? Czy to nie jeden z tych miłych eufemizmów dla słowa "zabić"?

– Właściwie tak,

– Amber nie słynie raczej z delikatności – zauważyła. – Zbyt długo ulegałeś wpływom amerykańskiego dziennikarstwa. Wiesz zatem, że dobrze znam Twierdzę, i chcesz, bym ci pomogła zabić ich oboje. Zgadza się?

Przytaknąłem.

– Rinaldo twierdził, że jeśli przybędziemy za późno i Jurt zdąży się poddać rytuałowi transformacji, znajdziesz może sposób, by użyć mocy Fontanny przeciw niemu – wyjaśniłem.

– Poznał te notatki lepiej, niż przypuszczałam – mruknęła. – Będę z tobą szczerą, gdyż od tego może zależeć nasze życie: owszem, istnieje taki sposób. Ale nie, na nic nam się nie przyda. Aby wykorzystać do takich celów moc Fontanny, niezbędne są pewne przygotowania. Nie mogę po prostu pstryknąć palcami i zrobić tego tak od razu.

Mandor odchrząknął.

– Wolałbym uniknąć śmierci Jurta – oświadczył. – Póki istnieje szansa, by zabrać go do Dworców jako jeńca. Można go potem ukarać. Jest może sposób, by go zneutralizować, nie... neutralizując, jak to ująłeś.

– A jeśli nie ma? – spytałem.

– Wtedy pomogę go zabić – odparł. – Nie mam co do niego złudzeń, ale uważam, że powinniśmy spróbować. Boję się, że wieść o jego śmierci może dobić naszego ojca.

Spuściłem głowę. Mógł mieć rację. Wprawdzie po śmierci starego Sawalla Mandor odziedziczyłby tytuł i okazałą fortunę, jednak byłem pewien, że nie chce ich za taką cenę.

– Rozumiem – westchnąłem. – Nie pomyślałem o tym.

– Pozwól, że spróbuję go poskromić. Jeśli to się nie uda, przyłączę się do ciebie w tym, co musi zostać dokonane.

– Zgoda – mruknąłem, obserwując, jak reaguje na to Jasra. Przyglądała się nam z dziwnym wyrazem twarzy.

– "Naszego ojca"? – powtórzyła.

– Tak – przyznałem. – Nie chciałem o tym mówić, ale skoro i tak wyszło na jaw... Jurt jest naszym

młodszy bratem.

Oczy błyszczały jej jasno. Zwietrzyła spisek.

– To rodzinna walka o władzę, prawda?

– Sądzę, że można tak to określić – przyznałem.

– Niezupełnie – wtrącił Mandor.

– I należycie do ważnego w Dworcach rodu?

Mandor wzruszył ramionami. Ja również. Miałem przeczucie, że Jasra szuka sposobu, by wykorzystać jakoś tę informację. Postanowiłem do tego nie dopuścić.

– Mówiliśmy o pilniejszych sprawach – przypominałem. – Chcę, żebyś wprowadziła nas do Twierdzy i przyjęła wyzwanie Maski. Powstrzymamy Jurta, gdyby zechciał przeszkadzać, i oddamy go Mandorowi. Jeśli poskromienie okaże się niemożliwe, podejmiemy środki ostateczne. Idziesz z nami?

– Nie było jeszcze mowy o cenie – przypomniała.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Rozmawiałem o tym z Rinaldem. Kazał ci przekazać, że odwołuje wendetę. Uważa, że po śmierci Caine'a rachunki z Amberem zostały wyrównane. Prosił, żeby cię uwolnić, jeśli nam pomożesz, i zaproponował, by w zamian za pomoc w walce z nowym panem cytadeli oddać ci Twierdzę Czterech Światów w suwerenne władanie. Maksymalna cena, jak to ujął.

Ujęła kielich i powoli sączyła wino. Wiedziałem, że będzie zwlekać, szukając metody, by wycisnąć z tej umowy jak najwięcej.

– Chyba niedawno rozmawiałeś z Rinaldem? – zapytała.

– Istotnie.

– Jeśli tak mocno popiera ten plan, to nie rozumiem, dlaczego włóczy się gdzieś z Daltem, zamiast być tu z nami.

– No dobrze. Opowiem ci wszystko – westchnąłem. – Ale jeśli masz nam pomagać, chciałbym wyruszyć jak najszybciej.

– Kontynuuj – rzuciła.

Opisałem więc tę wieczorną przygodę w Ardenie. Pomiąłem jedynie to, że Vialle wzięła Luke'a pod swoją opiekę. W miarę rozwoju opowieści Nayda stawała się coraz bardziej niespokojna; co chwilę skomlała cicho.

Kiedy skończyłem, Jasra powstała, opierając dłoń na rękę Mandora. Przechodząc, musnęła go lekko biodrem. Stała przed Naydą.

– A teraz wytłumaczcie, dlaczego więzicie tu córkę begmańskiego dygnitarza.

– Jest opętana przez demona, który lubi się wtrącać w moje sprawy – wyjaśniłem.

– Doprawdy? Często się zastanawiałam, jakim hobby mogą się zajmować demony. Mam jednak wrażenie, że ten szczególny demon usiłuje powiedzieć coś, co może mnie zainteresować. Gdybyście byli tak dobrzy i uwolnili go na chwilę rozmowy, obiecuję, że zaraz potem rozważę waszą ofertę.

– Czas ucieka – zauważyłem.

– W takim razie moja odpowiedź brzmi: nie – oznajmiła. – Zamknijcie mnie gdzieś i ruszajcie do Twierdzy beze mnie.

Rzuciłem okiem na Mandora.

– Nie przyjęłam jeszcze waszej oferty – mówiła dalej Jasra. – Rinaldo nazwałby to kosztem pozyskania przychylności.

– Nie widzę w tym nic złego – orzekł Mandor.

– Wiec pozwól jej mówić – zaproponowałem.

– Możesz mówić, ty'igo – powiedział. Pierwsze słowa Naydy były jednak skierowane do mnie, nie

do Jasry.

– Merlinie, musisz się zgodzić, bym ci towarzyszyła.

Przeszedłem w miejsce, z którego mogłem widzieć jej twarz.

– Nic z tego – oświadczyłem.

– Dlaczego nie? – spytała.

– Ponieważ twoje zamiłowanie do ochraniać mnie może utrudniać działanie w sytuacji, gdy prawdopodobnie będę musiał ryzykować.

– Taka jest moja natura – odparła.

– A mój problem. – Westchnąłem. – Nie życzę ci źle. Gdy będzie już po wszystkim, chętnie z tobą porozmawiam, ale na razie musisz tu zostać.

Jasra chrząknęła.

– Czy to już wszystko? – zapytała. – Czy może chciałabyś także mnie coś przekazać? Przez chwilę trwała cisza.

– Będiesz im towarzyszyć czy nie? – odezwała się wreszcie Nayda.

Jasra zastanawiała się długo, wyraźnie ważąc każde słowo.

– To potajemna, prywatna akcja – rzekła. – Nie jestem pewna, czy zyska poparcie krewnych Merlina tutaj, w Amberze. To prawda, że współpracując z nim mogę wiele zyskać, ale też podejmuję spore ryzyko. Oczywiście, pragnę odzyskać wolność i władzę w Twierdzy. To niemal uczciwa wymiana. Ale on żąda również zakończenia wendety. Jaką mam gwarancję, że jego opinia będzie miała jakiegokolwiek znaczenie i że hierarchia Amberu nie zechce mnie potem ścigać jako sprawczyni kłopotów? Nie może przemawiać w imieniu pozostałych, skoro działa w sekrecie przed nimi.

Właściwie skierowała to pytanie do mnie. A że było to dobre pytanie, na które nie miałem żadnej odpowiedzi, ucieszyłem się, że ty'iga chce zabrać głos.

– Potrafię cię chyba przekonać, że w twoim własnym interesie leży, byś wyruszyła z nimi i udzieliła wszelkiej pomocy, jakiej tylko zdołasz.

– Mów zatem – poprosiła Jasra.

– Ta rozmowa musi się odbyć na osobności. Jasra uśmiechnęła się, pewnie z powodu swego zamiłowania do intryg.

– Nie mam nic przeciw temu – oświadczyła.

– Mandorze – wtrąciłem. – Zmusz ją, by powiedziała to teraz.

– Stój! – zawołała Jasra. – Porozmawiam z nią sam na sam albo możecie zapomnieć o mojej pomocy.

Zacząłem się zastanawiać, ile ta pomoc będzie warta. Skoro Jasra nie może skorzystać z Fontanny, by pozbyć się Jurta, gdyby to on okazał się najpoważniejszym problemem... To prawda, znała Twierdzę. Ale właściwie nie wiedziałem nawet, jakiej klasy jest czarodziejką.

Z drugiej strony chciałem wreszcie załatwić tę sprawę i dodatkowy adept Sztuki mógł odegrać decydującą rolę.

– Naydo – zacząłem. – Czy planujesz coś, co mogłoby zaszkodzić Amberowi?

– Nie – zapewniła.

– Mandorze, na co przysięgają ty'igi?

– Wcale nie przysięgają – mruknął.

– Niech to diabli! Ile czasu ci trzeba?

– Daj nam dziesięć minut – poprosiła.

– Przejdźmy się – zaproponowałem Mandorowi.

– Oczywiście – zgodził się. Rzucił w stronę Naydy jeszcze jedną metalową kulkę. Zaczęła krążyć

wkoło jak pozostałe, nieco powyżej poziomu talii.

Przed wyjściem wyjąłem klucz z szuflady. I gdy tylko znaleźliśmy się w korytarzu, spytałem:

– Czy Jasra może ją jakoś uwolnić?

– Nie przy tym dodatkowym obwodzie zabezpieczającym, który uruchomiłem przed wyjściem – uspokoił mnie. – Niewielu ludzi potrafiłoby go zerwać, a już z pewnością nie w ciągu dziesięciu minut.

– Ta przeklęta ty'iga ma same tajemnice – burknąłem. – Zaczynam się zastanawiać, kto tu właściwie jest więźniem.

– Ona próbuje tylko przehandlować kilka informacji w zamian za współpracę Jasry – wyjaśnił. – Chce, by ta dama udała się z nami, skoro już sama iść nie może. Obecność Jasry to dla ciebie dodatkowa ochrona.

– Więc czemu nie możemy tego słuchać?

– Nic, czego się od niej dowiedziałem, w najmniejszym stopniu tego nie wyjaśnia – odparł.

– No cóż... ponieważ mamy kilka wolnych minut, chcę załatwić pewien drobiazg. Dopilnuj tutaj wszystkiego i przejmij dowodzenie, gdyby nas zawołała, zanim wrócę.

Uśmiechnął się.

– Gdyby przechodził któryś z twoich krewnych, mam mu powiedzieć, że jestem Lordem Chaosu?

– Myślałem, że jesteś również mistrzem oszustwa.

– Oczywiście – potwierdził, klasnął w ręce i zniknął.

– Będę się spieszył – obiecałem.

– Powodzenia – dobiegł skądś jego głos.

Szybko pomaszerowałem korytarzem. Można to chyba nazwać małą pielgrzymką – pielgrzymką, której nie odbyłem już bardzo dawno. Tuż przed nowym przedsięwzięciem, właśnie takim, wydawała się jakoś właściwa.

Kiedy dotarłem do drzwi, przez chwilę stałem nieruchomo u progu. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie wnętrze tak, jak je widziałem ostatnim razem. To był apartament mojego ojca. Oglądałem go wielokrotnie, próbując z wyposażenia, układu mebli, jego półek z książkami i zbioru ciekawostek dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Zawsze znalazł się jakiś drobiazg, który przyciągnął moją uwagę, który odpowiadał na pytanie albo stawiał nowe – inskrypcja, wyklejka w książce czy notatka na marginesie, srebrna szczotka do włosów z niewłaściwymi inicjałami, dagerotyp atrakcyjnej brunetki z podpisem: "Carlowi, kochająca Carolyn", czy zdjęcie ojca, jak ściska sobie rękę z generałem MacArthurem...

Przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi.

Przez kilka sekund nie ruszałem się jednak... ponieważ wewnątrz było jasno. Nasłuchiwałem długo, ale nie dobiegały żadne dźwięki. Wszedłem powoli. Na stojącej pod ścianą komodzie płonęło kilka świec. Nikogo nie zauważyłem.

– Hej! – zawołałem. – To ja, Merlin.

Nie było odpowiedzi.

Zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem dalej. Pośród świec na komodzie stał wazon. Tkwiła w nim jedna róża i zdawało mi się, że jest srebrna. Podeszedłem bliżej. Tak, była prawdziwa, nie sztuczna. I była srebrna. W jakim cieniu rosną takie kwiaty?

Ująłem jedną świecę za uchwyt lichtarza i odszedłem, osłaniając dłonią płomyk. Skręciłem w lewo i wkroczyłem do następnego pokoju. Gdy tylko otworzyłem drzwi, przekonałem się, że świeca nie będzie potrzebna. Płonęło ich tu więcej.

– Hej! – powtórzyłem.



I znowu żadnej odpowiedzi. Żadnego dźwięku.

Ustawiłem świecę na stoliku i zbliżyłem się do łóżka. Podniosłem i upuściłem rękaw. Srebrzysta koszula leżała na kapie, obok pary czarnych spodni – to barwy ojca. Nie było ich tutaj, kiedy zaglądałem poprzednio. Usiadłem przy nich i spojrzałem w mroczny kąt po drugiej stronie pokoju. Co się tu działo? Czyżby służący odprawiali jakieś tajemnicze rytuały? Duchy nawiedzały pokój? Czy może...

– Corwinie! – krzyknąłem.

Ponieważ nie spodziewałem się odpowiedzi, nie byłem rozczarowany. Gdy jednak wstałem, uderzyłem głową o ciężki przedmiot zawieszony na filarze łóżka. Zdjąłem go i podniosłem do oczu, by lepiej widzieć: pas z mieczem w pochwie. Ostatnio też go tu nie było. Chwyciłem rękojeść i wyciągnąłem klingę.

Zamknięta w szarym metalu część Wzorca zatańczyła w blasku świec. To był Grayswandir, miecz mojego ojca. Co tutaj robił w tej chwili, nie miałem pojęcia. I nagle uświadomiłem sobie z bólem, że nie mogę czekać, by sprawdzić, co się dzieje. Musiałem wracać do własnych kłopotów. Tak, czas zdecydowanie działał dzisiaj przeciwko mnie.

Wsunąłem Grayswandira do pochwy.

– Tato?! – zawołałem. – Jeśli mnie słyszysz... Chcę znowu się z tobą spotkać. Ale teraz muszę już iść. Powodzenia, cokolwiek teraz robisz.

Wyszedłem z pokoju, po drodze musnąłem palcami srebrną różę i zamknąłem za sobą drzwi. Odchodząc uświadomiłem sobie, że drzę. W drodze powrotnej nie spotkałem nikogo. Zbliżając się do własnych drzwi, nie byłem pewien, czy powinienem wejść, zastukać, czy czekać. Nagle coś dotknęło mego ramienia; obejrzałem się, ale nie zobaczyłem nikogo. Znow się odwróciłem; przede mną stał Mandor i lekko marszczył brwi.

– Co się stało? – zapytał. – Jesteś chyba bardziej niespokojny niż poprzednio.

– Coś bardzo dziwnego – odpowiedziałem. – Tak mi się wydaje. Jakieś wieści ze środka?

– Kiedy cię nie było, usłyszałem krzyk Jasry. Podbiegłem i otworzyłem drzwi, ale ona śmiała się i kazała mi je zamknąć.

– Albo ty'igi znają dobre dowcipy, albo uzyskała jakieś pomyślne wiadomości.

– Na to wygląda.

W chwilę później drzwi uchyliły się i Jasra skinęła na nas.

– Zakończyłyśmy rozmowę – oznajmiła.

Obserwowałem ją wchodząc. Była wyraźnie weselsza niż poprzednio. Pojawiły się zmarszczki przy zewnętrznych kącikach oczu i miałem wrażenie, że z trudem zmusza usta do zachowania poważnej miny.

– Mam nadzieję, że konwersacja była owocna – powiedziałem.

– Tak. Ogólnie rzecz biorąc, można ją tak określić. Rzut oka na Naydę wyjaśnił mi, że nie nastąpiły żadne zmiany w jej pozycji i wyrazie twarzy.

– Muszę teraz zapytać o twoją decyzję – zwróciłem się do Jasry. – Nie mogę dłużej czekać.

– Co się stanie, jeśli odmówię? – zaciekała się.

– Każę odprowadzić cię do twoich pokoi i zawiadomię pozostałych, że się przebudziłaś.

– Jako gościa?

– Jako bardzo dobrze strzeżonego gościa.

– Rozumiem. Właściwie nie mam ochoty zwiedzać tych komnat, które dla mnie przeznaczyłeś.

Postanowiłam towarzyszyć wam i pomagać na ustalonych wcześniej warunkach.

Skłoniłem się jej.

– Merlinie! – odezwała się Nayda.

– Nie – odpowiedziałem i spojrzałem na Mandora. Zbliżył się i stanął przed nią.

– Lepiej będzie, jeśli teraz zaśniesz – powiedział. Zamknęła oczy, a ramiona jej opadły. – Czy znasz jakieś miejsce, gdzie mogłaby wypoczywać nie niepokojona?

– Tędy. – Wskazałem drzwi do sąsiedniego pokoju.

Wziął ją za rękę i wyprowadził. Po chwili usłyszałem jego cichy głos, później zapanowało milczenie. Wyszedł zaraz potem, a ja zajrzałem przez drzwi do środka. Nayda leżała na moim łóżku. Nie zauważyłem przy niej ani jednej z tych jego metalowych kulek.

– Jest wyłączona? – spytałem.

– Na długo – odparł.

Zerknąłem na Jasrę, która podziwiała się w lustrze.

– Jesteś gotowa? – upewniłem się. Przyglądała mi się spod opuszczonych rzęs.

– Jak zamierzasz nas tam przetransportować? – pytała.

– A czy masz pod ręką jakieś szczególnie chytre sposoby przeniknięcia na miejsce?

– Nie, w tej chwili nie.

– W takim razie wezwę Ghostwheela, żeby nas przeniósł.

– Czy to na pewno bezpieczne? Rozmawiałam z tym... urzędzeniem. Nie jestem przekonana, czy można mu zaufać.

– Pracuje doskonale – zapewniłem ją. – Chcesz uzbroić jakieś zaklęcia?

– To niepotrzebne. Mój... zapas powinien być w dobrym stanie.

– Mandorze?

Usłyszałem metaliczny stuk spośród fałd jego płaszcza.

– Gotów – rzekł.

Wyjąłem Atut Ghostwheela i wpatrzyłem się. Rozpocząłem medytację. Potem sięgnąłem. Nic się nie stało. Spróbowałem jeszcze raz, przyzywając, dostrajając, poszerzając... I znowu sięgnąłem, zawołałem, wczułem się...

– Drzwi... – szepnęła Jasra.

Rzuciłem okiem na drzwi wejściowe, ale nie zauważyłem nic niezwykłego. Potem spojrzałem na nią i zrozumiałem, w którą stronę patrzy.

Drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie spała Nayda, zajaśniały. Lśniły żółtym światłem, które w oczach stawało się coraz bardziej intensywne. Wreszcie pośrodku błysnął punkt o większej jasności i nagle zaczął wolno przesuwac się w górę i w dół.

Potem zabrzmiała muzyka, nie wiem skąd, i głos Ghosta oznajmił:

– Idźcie za skaczącą piłką.

– Przestań – mruknąłem. – To rozprasza. Muzyka ucichła. Krążek światła znieruchomiał.

– Przepraszam – powiedział Ghost. – Myślałem, że taki żart pomoże wam się odprężyć.

– Źle myślałeś – odparłem. – Chcę, żebyś nas przeniósł do cytadeli w Twierdzy Czterech Światów.

– Żołnierzy także? Jakoś nie mogę zlokalizować Luke'a.

– Tylko nas troje – wyjaśniłem.

– A co z tą osobą, która śpi obok? Spotkałem ją już kiedyś. Nie skanuje się właściwie.

– Wiem. Nie jest człowiekiem. Niech śpi.

– Dobrze więc. Przejdźcie przez drzwi.

– Idziemy – powiedziałem. Zapiąłem pas z mieczem, dodałem zapasowy sztylet, zdjąłem z krzesła płaszcz i zarzuciłem sobie na ramiona.

Ruszyłem do portalu, a za mną Mandor i Jasra. Przesząpiłem próg, ale za nim nie było już sypialni. Wszystko rozmazało się na moment, a kiedy znowu widziałem wyraźnie, zobaczyłem pod sobą szeroką przestrzeń, a w górze zachmurzone niebo. Wiatr szarpał mnie za ubranie.

Usłyszałem okrzyk Mandora, a po chwili Jasry – z tyłu, po lewej stronie. Wielkie pole lodowe, białe jak kość, rozciągało się po prawej, z drugiej strony zaś ciemnoszare morze przerzucało spienione szczyty fal niby węże w wiadrze mleka. Daleko w dole, przede mną, wrzała i dymiała czarna ziemia.

– Ghost! – krzyknąłem. – Gdzie jesteś?

– Tutaj – nadbiegła cicha odpowiedź. Spojrzawszy w dół, dostrzegłem maleńki świetlny krążek obok czubka lewego buta.

Wprost przed nami, w dole, rosła wyraźnie widoczna Twierdza. Na zewnątrz murów nie zauważyłem żadnych śladów życia. Zrozumiałem, że znaleźliśmy się w górach, niedaleko miejsca, gdzie wiodłem długą rozmowę ze starym pustelnikiem o imieniu Dave.

– Miałeś nas przenieść do cytadeli wewnątrz Twierdzy – przypomniałem. – Dlaczego wylądowaliśmy tutaj?

– Mówiłem ci, że nie lubię tego miejsca – wyjaśnił Ghost. – Chciałem, żebyście mu się przyjrzeni i zdecydowali, gdzie dokładnie chcecie się znaleźć. W ten sposób będę mógł dostarczyć was bardzo szybko i nie wystawiać się zbyt długo na siły, które mnie niepokoją.

Obserwowałem Twierdzę. Wokół murów znowu wędrowała para tręb powietrznych. Gdyby nie było fosy, pewnie bez trudu by ją wykopały. Pozostawały oddalone niemal dokładnie o sto osiemdziesiąt stopni i po kolei zajmowały się rozświetlaniem okolicy. Jasne wstęgi błyskawic nadawały bliższemu cyklonowi niesamowitego blasku. Potem, gdy zaczęły przygasać, rozjarzył się drugi. Przyglądałem się kilku przebiegom tego cyklu.

Jasra jęknęła cicho. Obejrzałem się.

– O co chodzi? – spytałem.

– Rytuał – odpowiedziała. – Ktoś w tej chwili igra z mocą Fontanny.

– Czy możesz ustalić, jak daleko się posunęli?

– Nie bardzo. Mogli dopiero zacząć, a mogli już skończyć. Te ogniste bieguny informują tylko, że wszystko jest przygotowane.

– Zatem ty decydujesz, Jasro – orzekłem. – Gdzie powinniśmy się pojawić?

– Są takie dwa długie korytarze prowadzące do sali Fontanny – wyjaśniła. – Jeden na tym samym poziomie, drugi piętro wyżej. Sama komora ma kilka pięter wysokości.

– Przypominam sobie – potwierdziłem.

– Jeśli operują mocą bezpośrednio, a my zjawimy się w sali, szybko stracimy przewagę zaskoczenia. Trudno powiedzieć, co mogą z nami zrobić. Lepiej podejść jednym z tych dwóch korytarzy, żebym mogła rozeznaczyć sytuację. Ponieważ w dolnym mogą nas zauważyć, górny najlepiej się nadaje do naszych celów.

– Dobrze – zgodziłem się. – Ghost, możesz nas umieścić nieco w głębi górnego korytarza?

Krąg rozrósł się, pochylił, na moment zawisł nad nami i opadł.

– Już... jesteście... na miejscu – powiedział Ghost, kiedy widok zafalował, a krąg światła spłynął po nas od głowy do stóp. – Do widzenia.

Miał słusność. Tym razem wylądowaliśmy w celu. Staliśmy w długim, mrocznym korytarzu o ścianach z ciosanego kamienia. Z jednej strony droga niknęła w ciemności, z drugiej prowadziła do rozświetlonej przestrzeni. Strop był z szorstkich głowni, a pióropusze i kotary pajęczyn ozdabiały ciężkie belki. Kilka niebieskich magicznych kul migotało w ściennych uchwytych, emanując słaby

blask, sugerujący niedalekie już wyczerpanie ich zakłęb. Inne pogasty. W jasnym końcu korytarza niektóre z kul zastąpiono latarniami. Z góry dobiegało szuranie małych stworzeń biegających wśród belek sufitu. Powietrze pachniało kurzem i wilgocią. Wydawało się jednak naelektryzowane, jakbyśmy oddychali ozonem, i wibrowało oczekiwaniem.

Przeszedłem na Logrusowy Wzrok i wokół natychmiast pojaśniało. Ze wszystkich stron biegły linie mocy niby lśniące żółte kable. Dostarczały dodatkowego oświetlenia, które teraz mogłem wykorzystać. Za każdym razem, gdy przecinałem którąś z nich, wzmagало się wrażenie dreszczy na karku. Widziałem, że Jasra stoi w punkcie przecięcia kilku takich linii i wygląda, jakby wchłaniała ich energię. Jej ciało zaczynało się jarzyć; nie wiem, czy bym to zauważył normalnym wzrokiem. Spojrzałem na Mandora i zobaczyłem zawieszony przed nim Znak Logrusu. Znaczyło to, że jest świadom wszystkiego, co widzę.

Jasra ruszyła wolno w stronę jasnego końca korytarza. Poszedłem za nią, nieco z lewej strony. Za mną Mandor, idący tak cicho, że co chwila musiałem się oglądać, by sprawdzić, czy wciąż jest przy nas. Po chwili zdałem sobie sprawę, że wyczuwam drgania, jakby uderzenia potężnego puls. Nie wiem, czy docierały poprzez podłogę czy wzdłuż tych wibrujących linii, które wciąż przecinaliśmy.

Zakłócaliśmy równowagę sieci mocy i nie byłem pewien, czy może to zdradzić naszą obecność czy nawet pozycję adeptowi Sztuki, operującemu tą mocą z miejsca przy Fontannie. Może jest tak skoncentrowany na rytuale, że zdołamy zbliżyć się nie zauważeni?

– Zaczęło się? – szepnąłem do Jasry.

– Tak – odparła.

– Jak daleko dotarli?

– Główna faza mogła już się zakończyć. Po kilku krokach to ona mnie zapytała:

– Jaki masz plan?

– Jeśli masz rację, atakujemy natychmiast. Może najpierw powinniśmy zająć się Jurtem... to znaczy my wszyscy... Jeżeli ma teraz taką wielką moc i jest tak niebezpieczny.

Oblizwała wargi.

– Jestem chyba najlepiej przygotowana do walki z nim... z powodu dawnych związków z Fontanną – rzekła. – Lepiej nie wchodźcie mi w drogę. Wolę raczej, żebyś w tym czasie rozprawił się z Maską. Mandora lepiej trzymać w rezerwie, żeby pomógł temu, komu pomoc będzie potrzebna.

– Zastosuję się do tej rady – obiecałem. – Mandorze, słyszałeś?

– Tak – odpowiedział szeptem. – Zrobię, jak powiedziała. – I po chwili: – Co się stanie, jeśli zniszczę samą Fontannę?

– Nie wierzę, by można tego dokonać – odparła. Parsknął i łatwo mogłem odgadnąć, w jak niebezpiecznym kierunku biegną jego myśli.

– Zrób mi przyjemność i załóż, że to możliwe.

Milczała przez chwilę.

– Gdybyś potrafił zablokować ją choćby na moment, cytadela prawdopodobnie runie – stwierdziła. – Wykorzystywałam emanacje Fontanny, żeby ją utrzymać. To stara budowla. Nigdy jakoś nie miałam czasu, żeby podeprzeć ją tam, gdzie należy. Ale energię niezbędną do udanego ataku na Fontannę lepiej spożytkować na inne cele.

– Dzięki – mruknął.

Zatrzymała się. Wsunęła dłoń w jedną z linii sił i przymknęła oczy, jakby badała puls.

– Bardzo mocna – oceniła. – Ktoś czerpie z jej głębokich poziomów.

Ruszyła dalej. Światło na końcu korytarza rozblęzło i przygasło, rozblęzło, przygasło... Cienie cofały się i powracały na przemian. Rozległ się dźwięk podobny do brzęczenia napiętej liny.

Słyszałem też nierównomierne trzaski. Jasra przyspieszyła, ja również. Mniej więcej w tej właśnie chwili przed nami zabrzmiał śmiech. Frakir zacisnęła mi się na ręce. Ogniste płatki przemykały w otworze wyjścia.

– A niech to... lichy... porwie – mruzczała Jasra.

Uniosła rękę, gdy zobaczyliśmy pomost, gdzie podczas mojej poprzedniej wizyty stał Maska. Zatrzymałem się, a ona bardzo ostrożnie podeszła do poręczy. Po obu stronach pomostu schody prowadziły do sali, na dół.

Przez moment tylko patrzyła w dół; potem rzuciła się w tył, w prawo, i przetoczyła, gdy tylko padła na podłogę. Kula pomarańczowego ognia przemknęła w górę niczym powolna kometa, zabierając po drodze część poręczy. Przeszła przez obszar, który jeszcze przed sekundą zajmowała Jasra.

Podbiegłem, chwyciłem ją pod pachy i spróbowałem postawić na nogi. Czuję, że nagle zeszywniała. Gwałtownie szarpnęła głową w lewo. Skądś wiedziałem, co tam zobaczę, zanim jeszcze się obejrzałem.

Stał tam Jurt, całkiem nagi, prócz opaski na oku. Jarzył się i uśmiechał, o uderzenie pulsu od materialności.

– Miło, że wpadłeś, bracie – powiedział. – Szkoda, że nie możesz zostać na dłużej.

Iskry tańczyły mu na czubkach palców, gdy machnął ręką w moją stronę. Wątpiłem, by myślał o uścisku dłoni.

Jedynie, co mi przyszło do głowy, to:

– Sznurówka ci się rozwiązała. Oczywiście, nie powstrzymało go to, ale przez sekundę czy dwie miał naprawdę głupią minę.

# Rozdział 12

---

Jurt nigdy nie grał w futbol. Na pewno się nie spodziewał, że zaatakuję od razu i rzucę się na niego; a kiedy to nastąpiło, nie przewidział chyba, że podejść tak blisko.

A jeśli chodzi o chwyt za kolana i wypchnięcie przez lukę w poręczy, z pewnością był zaskoczony. Przynajmniej wyglądał na takiego, kiedy zwałił się na plecy i runął w dół, z iskrami wciąż tańczącymi na czubkach palców.

Jasra zachichotała, mimo że Jurt rozplątał się w locie i zniknął, zanim podłoga zdążyła go trochę rozsmarować. Kątem oka dostrzegłem, że wstała.

– Teraz ja się nim zajmę – oznajmiła. – Żaden kłopot. Jest niezgrabny. – Jurt pojawił się u szczytu schodów po prawej stronie. – Ty załatw Maskę.

Maska stał po przeciwnej stronie Fontanny z czarnego kamienia. Przyglądał mi się poprzez czerwonopomarańczowy gejzer ognia. Poniżej, w misie, płomienie falowały bielą i żółcią. Zajarzyły się błękitem, gdy chwycił je w garść i zaczął ugniatać jak dziecko lepiące śnieżkę. A potem rzucił je we mnie.

Odepchnąłem je prostą zasłoną. To nie była Sztuka, to prymitywne wykorzystanie energii. Coś jednak mi się przypomniało. Zobaczyłem Jasrę, wykonującą przygotowawcze gesty niebezpiecznego zaklęcia jedynie dla zmylenia przeciwnika. Zbliżyła się przy tym do Jurta tak blisko, że bez trudu popchnęła go i zrzuciła ze schodów.

To nie Sztuka. Ten, kto mieszkał w pobliżu i korzystał z luksusu takiego Źródła, z czasem stawał się niestaranny; używał tylko bazowych ram zaklęć i przelewał nimi całe rzeki mocy. Ktoś niewykształcony albo wyjątkowo leniwy mógł po pewnym czasie zrezygnować nawet z tego i bezpośrednio wykorzystywać pierwotną energię, by kosztem minimalnego wysiłku uzyskać maksymalny efekt. To rodzaj szamaństwa, w przeciwieństwie do czystości Wyższej Magii – takiej, jak czystość matematycznego równania.

Jasra o tym wiedziała. Odgadłem, że kiedyś w życiu odebrała formalne szkolenie. Przynajmniej tyle dobrze, pomyślałem, odbijając następną kulę ognia i przesuając się na lewo.

Zacząłem schodzić po schodach – bokiem. Ani na chwilę nie odrywałem wzroku od Maski. Byłem gotów natychmiast się bronić lub atakować.

Poręcz przede mną rozzarzyła się, a potem wybuchła płomieniem. Cofnąłem się o krok i schodziłem dalej. Szkoda marnować zaklęcia na gaszenie ognia. To wyraźnie było tylko na pokaz... No tak...

Była też inna możliwość, uświadomiłem sobie nagle widząc, że Maska tylko mnie obserwuje. Niczym już nie starał się we mnie rzucać.

To mogła być próba. Maska chce się przekonać, czy ogranicza mnie zapas wcześniej przygotowanych zaklęć... Czy też odkryłem, jak bezpośrednio czerpać z tutejszego Źródła mocy i zaraz przystąpię z nim do wymiany ciosów, do jakiej wyraźnie szykowali się Jurt i Jasra. Dobrze.

Niech się martwi. Skończona liczba zaklęć przeciwko prawie niewyczerpanemu Źródłu energii?

Jurt pojawił się nagle wysoko po lewej stronie, na parapecie okna. Zdążył tylko zmarszczyć czoło, kiedy opadła na niego kurtyna ognia. Zniknęli on i płomienie. Usłyszałem śmiech Jasry i jego przekleństwo, a zaraz potem trzask po drugiej stronie sali.

Kiedy wysunąłem nogę, by zejść niżej, stopień zniknął nagle. Podejrzewając iluzję, nadal wolno przesuwałem stopę. Nie napotykałem oporu i w końcu wydłużyłem krok, by przeskoczyć nad

szczeliną do kolejnego stopnia. Ten jednak zniknął również, kiedy przeniosłem ciężar ciała. Usłyszałem cichy śmiech Maski. Zmieniłem mój ruch w skok. Gdy byłem już w powietrzu, schody zniknęły kolejno, kiedy nad nimi przelatywałem.

Maska uważał z pewnością, że jeśli tylko potrafię sięgnąć do tutejszego Źródła mocy, uczynię to odruchowo i zdradzę istnienie połączenia. A jeśli nie, to i tak mogę łatwo zmarnować zakłęcie ucieczki.

Oceeniłem jednak odległość od widocznej teraz podłogi. Jeśli pozostałe schody nie znikną, mogę chwycić rękami za następny, zawisnąć na chwilę i zeskokczyć. Zupełnie niegroźny upadek. Jeśli chybię albo rozwieje się jeszcze jeden stopień... Uznałem, że wyląduję mniej więcej w całości. Lepiej po drodze w dół rzucić całkiem inny czar.

Pochwyciłem krawędź stopnia, zakołysałem się na rękach i opadłem, w locie odwracając ciało i wypowiadając słowa zakłęcia, które nazwałem Padającym Murem.

Fontanna zadygotała. Płomienie zafalowały i chlusnęły, przelewając się przez brzeg misy po stronie Maski. A potem sam Maska poleciał na plecy, gdy mój czar padał coraz niżej.

Maska uniósł ramiona. Jego ciało zdawało się wchłaniać wir blasku, który potem wypromieniowywał przez ręce. Między dłońmi błysnął jaskrawy łuk, potem kopuła na kształt tarczy. Utrzymał ją nad sobą, odbijając końcówą, niszczącą falę energii zakłęcia. Biegłem już w jego stronę. Nagle zmaterializował się Jurt: stał po drugiej stronie Fontanny, na brzegu misy, dokładnie nad Maską. Spoglądał na mnie z wściekłością. Zanim zdążyłem wyrwać miecz, rzucić Frakir czy wypowiedzieć następne zakłęcie, Fontanna wezbrała ogromną falą, zmyła go na podłogę i przeniosła obok Maski, przez całą salę, aż do stóp drugich schodów. Jasra schodziła nimi powoli.

– Nic ci nie da umiejętność przenoszenia się w dowolne miejsce – oświadczyła. – Jeśli wszędzie jesteś durniem.

Jurt warknął i poderwał się na nogi. Podniósł głowę, spojrzał poza Jasrę...

– Ty też, bracie? – zapytał.

– Jestem tutaj, by chronić twoje życie, jeśli to możliwe – usłyszałem odpowiedź Mandora. – Sugeruję, żebyś wrócił teraz ze mną...

Jurt wrzasnął – nie rozpoznałem słów, jedynie zwierzęcy ryk.

– Nie potrzebuję twojej opieki! – wykrzyczał zaraz potem. – Jesteś głupcem, skoro ufasz Merlinowi! To ty stoisz pomiędzy nim a tronem!

Ciąg błyszczących pierścieni, jakby lśniących kółek z dymu, spłynął z dłoni Jasry i opadł w dół, jakby miały opasać jego ciało. Jurt zniknął natychmiast, choć po chwili usłyszałem, jak krzyczy do Mandora z innej strony.

Nadal zbliżałem się do Maski, który osłonił się skutecznie przed moim Padającym Murem, a teraz wstawał powoli. Wyrzuciłem słowa Lodowej Ścieżki i nogi wyjechały spod niego. Owszem, przeciwko jego Źródłu mocy zamierzałem rzucić skończoną liczbę zakłęb. Nazywam to pewnością siebie. Maska miał energię. Ja miałem plan i środki, by go wykonać.

Kamienna płyta wyrwała się z podłogi, wśród trzasków i zgrzytów zmieniła w chmurę żwiru i pomknęła ku mnie niczym ładunek śrutu. Wymówiłem słowa Sieci i skinąłem ręką.

Wszystkie odpryski zebrały się razem, nim do mnie dotarły. Zrzuciłem je na Maskę, który wciąż usiłował się podnieść.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że wciąż nie wiem, dlaczego walczymy? – powiedziałem. – To był twój pomysł. Nadal mógłbym...

Na moment zaprzestał wysiłków. Lewą rękę wsunął w kałużę blasku, prawą wyciągnął ku mnie, otwierając dłoń. Kałuża zniknęła, a z prawej dłoni wystrzelił ogniasty deszcz. Popłynął w moją stronę

jak krople ze zraszacza trawnika. Na to byłem jednak przygotowany. Skoro Fontanna mieści w sobie ogień, musi być na niego odporna.

Padłem płasko na podłogę obok ciemnej konstrukcji, kryjąc się za jej podstawą.

– Może się zdarzyć, że jeden z nas zginie – krzyknąłem. – Nie hamujmy ciosów. Ktokolwiek to będzie, nie zdołam zapytać cię później: Co masz przeciwko mnie? Czym dla ciebie jestem?

Jedyną odpowiedzią był śmiech z drugiej strony Fontanny. Podłoga zakolysała się.

Z prawej strony, od nie uszkodzonych schodów, dobiegł głos Jurta.

– Wszędzie durniem? A co powiesz na walkę w zwarciu?

Spojrzałem. Pojawił się tuż przed Jasrą i chwycił ją.

I niemal natychmiast wrzasnął, gdy pochyliła głowę i dotknęła ustami jego ramienia. Odepchnęła go, a on runął z kilku schodów i padł sztywno. Nie ruszał się.

Poczołgałem się na prawo, wzdłuż Fontanny, przez ostre krawędzie płyt podłogi, które kołysały się i szarpały w matrycy potęgi Maski.

– Jurt wypadł z gry – zauważyłem. – Jesteś teraz sam, Masko, przeciwko nam trojgu. Poddaj się, a dopilnuje, żebyś żył dalej.

– Was trojgu? – rozległ się głuchy, zniekształcony głos. – Przyznajesz, że nie zdołasz mnie pokonać bez pomocy?

– Pokonać? Może dla ciebie to gra. Dla mnie nie. Nie będę się stosował do żadnych reguł, jakich ty zechcesz przestrzegać. Poddaj się albo cię zabiję, z pomocą czy bez, jak tylko zdołam.

Ciemny obiekt pojawił się nagle nade mną. Odsunąłem się, a on wylądował w misie. To był Jurt. Ze względu na paralizujące działanie ukąszenia Jasry, nie mógł się poruszać normalnie, więc przeatutował się spod schodów do Fontanny.

– Ty masz swoich przyjaciół, Lordzie Chaosu, a ja swoich – odparł Maska.

Jurt jęknął cicho i zaczął lśnić.

Nagle Maska, wirując, wzleciał w powietrze; podłoga zaczęła się rozpadać. Fontanna opadła słabnąc, a płomienna wieża strzeliła z nowego otworu w podłodze i uniosła Maskę na szczycie złotego pióropusza.

– I wrogów – dokończyła Jasra, podchodząc bliżej.

Maska rozłożył ręce i nogi. Wirował powoli w powietrzu, nagle odzyskując panowanie nad swoją trajektorią. Podniosłem się i wycofałem dalej od Fontanny. Na ogół nie radzę sobie najlepiej w centrum geologicznych katastrof.

Od rozdwojonej Fontanny dobiegał teraz szum i dudnienie, a wokół trwał wysoki pisk, dochodzący pozornie ze wszystkich stron. Wiatr dmuchnął między belkami stropu. Wieża ognia, na której szczycie płynął Maska, zataczała powolną spirale, a struga w osłabłej Fontannie zaczęła podobny ruch. Jurt drgnął, jęknął, uniósł prawą rękę.

– I wrogów – powtórzył Maska, wykonując ciąg gestów. Poznałem je od razu, gdyż sporo czasu poświęciłem, by je odkryć.

– Jasro! – krzyknąłem. – Uważaj na Sharu!

Jasra błyskawicznie odstaąpiła o trzy kroki w lewo i uśmiechnęła się. Coś bardzo podobnego do błyskawicy strzeliło spod sufitu i wypaliło miejsce, gdzie stała przed chwilą.

– Zawsze zaczyna od błyskawicy – wyjaśniła. – Łatwo przewidzieć jego ruchy.

Zakręciła się w miejscu i zniknęła w czerwonym rozbłysku, wśród brzęku jakby pękającego szkła.

Spojrzałem tam, gdzie stał starzec z imieniem RINALDO wyciętym na prawej nodze. Teraz opierał się o ścianę. Jedną rękę przycisnął do czoła, drugą rzucał proste, ale potężne zaklęcie ochronne.

Już chciałem wrzasnąć, by Mandor zajął się staruszką, gdy Maska uderzył czarem Klaksonu.



Ogłuszył mnie na chwilę i rozsadził naczyńia krwionośne w nosie.

Chlapiąc krwią, uskokczyłem i przekoziółkowałem, by wzlatujący w górę Jurt znalazł się pomiędzy mną a czarownikiem w powietrzu. Jurt zwalczył jakoś efekty ukąszenia Jasry. Dlatego wstając wbiłem mu pięść w brzuch i ustawiłem w lepszej pozycji, by służył jako tarcza.

Błąd. Doznałem wstrząsu – czegoś w rodzaju nieprzyjemnego szoku elektrycznego. Kiedy padałem, zdołałem nawet zaśmiać się krótko.

– Teraz jest twój – usłyszałem jego sapnięcie.

Kątem oka dostrzegłem, że Jasra i Sharu Garrul stoją naprzeciw siebie, a każde trzyma koniec jak gdyby długiego frędzla splecionego z grubych kabli. Linie pulsowały i zmieniały kolory, a ja wiedziałem, że są to raczej siły niż obiekty materialne, widzialne tylko dzięki Logrusowemu Wzrokowi, którego wciąż używałem. Puls przyspieszał; oboje wolno opadali na kolana, wciąż wyciągając ręce. Szybkie słowo i gest, a mógłbym zniszczyć tę równowagę. Niestety, miałem własne problemy. Maska pikował na mnie niczym olbrzymi owad – bez wyrazu, lśniący i śmiercionośny. Seria trzasków rozległa się wewnątrz frontowego muru Twierdzy: jak czarne błyskawice mknęły w dół zębate pęknięcia. Widziałem kurz opadający poza wirującą spiralą światła, słyszałem stuki i zgrzyty – ledwie rozróżnialne wśród dzwonienia w uszach, czułem nieustającą wibrację podłogi pod zdrętwiałymi stopami. Ale tak być powinno. Uniosłem lewą rękę, a prawą wsunąłem pod płaszcz.

Ognista klinga błysnęła w prawej dłoni Maski. Nie drgnąłem nawet; odczekałem jeszcze sekundę, by wypowiedzieć kluczowe słowa mojego zaklęcia "Fantazja Na Sześć Palników Acetylenowych". Cofnąłem rękę, by przedramieniem osłonić oczy, i przetoczyłem się na bok.

Cięcie chybiło, klinga wbiła się w kamień. Lecz lewe ramię Maski uderzyło mnie w pierś, a łokieć trafił pod zębra. Nie czekałem, by ocenić szkody – słyszałem już, jak ognisty miecz z chrzęstem wyrywa się z kamienia. Dlatego z półobrotu aż po rękojeść wbiłem w lewą nerkę Maski mój własny, całkiem materialny sztylet.

Rozległ się krzyk. Czarownik zeszytywniał i osunął się na podłogę. Niemal natychmiast ktoś kopnął mnie mocno powyżej prawego biodra. Uchyliłem się i kolejne uderzenie wylądowało na moim ramieniu. Jestem pewien, że było wymierzone w głowę. Kiedy przetaczałem się, osłaniając szyję i skronie, słyszałem przekleństwa Jurta.

Wstałem, sięgając po dłuższą klingę. Spojrzałem Jurtowi w oczy. Prostował się właśnie, trzymając Maskę na rękach.

– Później – rzucił i zniknął, zabierając ze sobą ciało. Na podłodze, tuż obok podłużnej plamy krwi, leżała niebieska maska.

Jasra i Sharu wciąż walczyli na klęczkach, zdyszani i zlani potem. Ich siły życiowe skręcały się wokół siebie niczym zakochane węże.

Nagle, jak ryba wypływająca na powierzchnię, Jurt pojawił się w wieży mocy poza Fontanną. Mandor cisnął dwie swoje kule, które zdawały się rosnać, pędząc w dół, by uderzyć w Fontannę i zmienić ją w stos gruzu. I wtedy zobaczyłem coś, czego – jak sądziłem – nigdy już nie miałem oglądać.

Echa padającej Fontanny sięgały coraz dalej, zgrzyty i jęki murów ustąpiły trzeszczeniu i kołysaniu, a wokół padał kurz, kamienie i belki, lecz ja parłem naprzód. Osłaniając płaszczem twarz, z wyciągniętym mieczem, wymijałem gruzy i obchodziłem nowe gejzery i jaśniejące strumienie mocy.

Jurt przeklinał mnie ciągle, gdy się zbliżałem.

– Zadowolony jesteś, bracie? – zapytał w końcu. – Zadowolony? Niech śmierć dopiero zaprowadzi pokój między nami.

Zignorowałem to zrozumiałe uczucie, gdyż musiałem lepiej się przyjrzeć temu, co chyba

dostrzegłem kilka sekund wcześniej. Przeskoczyłem nad odłamkiem ściany i wśród płomieni spojrzałem na twarz martwego czarownika, na głowę wspartą o ramię Jurta.

– Julio – krzyknąłem.

Zniknęli jednak, nim do nich podbiegłem. I wiedziałem, że pora już, bym zrobił to samo. Odwróciłem się i pomknąłem przez ogień.

# **SPIS TREŚCI:**

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1. 2](#)

[Rozdział 2. 12](#)

[Rozdział 3. 22](#)

[Rozdział 4. 32](#)

[Rozdział 5. 42](#)

[Rozdział 6. 52](#)

[Rozdział 7. 62](#)

[Rozdział 8. 72](#)

[Rozdział 9. 82](#)

[Rozdział 10. 91](#)

[Rozdział 11. 101](#)

[Rozdział 12. 109](#)